

X

PAMIĘTNIK

Z CZASÓW 1863 — 1872

STANISŁAW PÓŁKOZIC PLICHTA

PAMIĘTNIK

Z CZASÓW 1863 — 1872

OPOWIADANIE

WARSZAWA
Gebethner i Wolff

1911

KRAKÓW
G. Gebethner i S-ka

K-134/92

Hh



132427

Ojca już nie miałem.

Mieszkalem na wsi, w Rawskim.

Dnia 2 lutego odbieram list krótki, lakoniczny, z kilku słów zaledwie składający się: „Przyjeżdżaj natychmiast!” List był pisany ręką matki, która podówczas mieszkała w Puławach.

Byłem niepomiernie zdziwiony i anim się domyślał, co by list miał znaczyć. Pośpieszyłem jednak na wezwanie i, załatwiwszy trudności paszportowe, z którymi wówczas związane było podróżowanie po kraju, udałem się do Puław.

Gubiłem się w domysłach co do celu, w jakim mnie wezwano. Ostatecznie doszedłem do wniosku, iż matka moja nabyła dla mnie folwark, aby na nim wypróbować moje agronomiczne uzdolnienie, poparte roczną praktyką gospodarską, którą właśnie w Rawskim odbywałem. A że byłem młodzieńcem 19-stoletnim, wyobraźnię miałem młodzieńczo bujną, widziałem się więc dziedzicem dóbr i w dość radosnym nastroju przyjechałem do Puław.

Jakież było moje zdziwienie, gdy matka moja, zamiast mówić ze mną o przyszłych włościach, z pełną tajemniczością powagą oświadczyła mi krótko:

— Nie pojedziesz już na wieś, będziesz oczekiwał dalszych wypadków.

Znając surowość mojej matki, o nic nie pytałem.

wiedziałem bowiem dobrze, że żadnych wyjaśnień nie otrzymam. Zostałem więc w Pułtusk, nawet nie bardzo narzekając na przymusową bezczynność. Byłem młody, nie gardziłem rozrywkami, a że w Pułtusk znalazłem sposobność do miłego spędzania czasu, bawiłem się, bywałem w towarzystwach, brałem udział w zabawach, które dawano. Spostrzegłem jednak, że coś niezwykłego dzieje się dokoła mnie, że odbywają się jakieś tajemnicze narady, że coś się święci. Z półstówek, szeptów domyśliłem się, że kraj gotuje się do powstania i że to właśnie były wypadki, o których wspominała matka.

Domysły zmieniły się w pewność, gdy przygotowania stały się jawniejszymi, gdy w znajomych domach panny, zajęte szyciem konfederatek i czapraków dla powstańców, ofiarowały mi czaprak i konfederatkę. Wiedziałem już, że matka przeznaczyła mnie do szeregów. Czulem się jednak junackim wojakiem, pełnym fantazyi, i czekałem tylko wezwania. Nie miałem wprowadzić postawy rycerskiej, byłem szczupły, wątły, ale wrodzona mi odwaga dawała mi pewność, że żołnierz ze mnie będzie nie byle jaki.

Pewnego dnia, w połowie marca (czas był nad podziw łagodny) matka moja wzywa mnie do siebie. Gdym wszedł do pokoju, zwraca się do mnie i powiada:

— Pochodzisz ze starej szlacheckiej rodziny. Masz w rodzinie senatorów, kasztelanów i rycerzy. Ojciec twój był kapitanem strzelców konnych przed rewolucją i podczas niej. Brat twój był w Szkole Głównej. Powiadam: był, gdyż mam wiadomość, iż

już jest w rękach Murawiewa. Postanowiłam wysłać cię na plac boju; albo powrócisz zdrów, albo zginiesz śmiercią chwalebną. Będzie, co Bóg da. Spełnisz obowiązek...

To mówiąc, ze łzami w oczach wręczyła mi ciężki pałasz huzarski, przedpotopowy jakiś pistolet bez nabojów, rewolwer i różne utensylia rycerskie. Popłakaliśmy się oboje.

Przed domem czekały konie pocztowe, którymi dojechać miałem do miejsca, o kilka wioś od Pułtusk odległego, gdzie powinien był czekać na mnie koń.

Pocztarek zatrąbił, konie ruszyły z kopyta, a ja, opatrzony błogosławieństwem matczynem, ruszyłem na wojaczkę.

Pocztylion zaciął konie i wcale się mnie o drogę nie pytał: wiedział widać dokładnie, dokąd ma mnie zawieść. Minęliśmy przewóz na Narwi, wjechaliśmy w lasy nadnarwiańskie i zatrzymaliśmy się wreszcie przed osadą leśną, dokoła której uwijało się kilkunastu mężczyzn różnego wieku.

W leśniczówce byłem świadkiem sceny, która głębokie na mnie wywarła wrażenie, tem głębsze, że za zły omen ją sobie miałem. Pani domu, zrozpaczona tem, że zgubiła obrączkę ślubną, z którą się od dnia ślubu nie rozstawała, od zmysłów odchodziła, za zły sobie prognostyk mając ową zgubę. Widok beznadziejnej rozpacz, tarzania się po ziemi, wrywania włosów, silne na mnie zrobiło wrażenie. Obawy, muszę dodać, tej pani płonne nie były, gdyż, jak się o tem później dowiedziałem, w kilka dni po

wiedziałem bowiem dobrze, że żadnych wyjaśnień nie otrzymam. Zostałem więc w Pułtusk, nawet nie bardzo narzekając na przymusową bezczynność. Byłem młody, nie gardziłem rozrywkami, a że w Pułtusk znalazłem sposobność do miłego spędzania czasu, bawiłem się, bywałem w towarzystwach, brałem udział w zabawach, które dawano. Spostrzegłem jednak, że coś niezwykłego dzieje się dokoła mnie, że odbywają się jakieś tajemnicze narady, że coś się święci. Z półsłów, szeptów domyśliłem się, że kraj gotuje się do powstania i że to właśnie były wypadki, o których wspominała matka.

Domysły zmieniły się w pewność, gdy przygotowania stały się jawniejszymi, gdy w znajomych domach panny, zajęte szyciem konfederatek i czapraków dla powstańców, ofiarowały mi czaprak i konfederatkę. Wiedziałem już, że matka przeznaczyła mnie do szeregów. Czułem się jednak junackim wojakiem, pełnym fantazyi, i czekałem tylko wezwania. Nie miałem wprowadzić postawy rycerskiej, byłem szczupły, wątły, ale wrodzona mi odwaga dawała mi pewność, że żołnierz ze mnie będzie nie byle jaki.

Pewnego dnia, w połowie marca (czas był nad podziw łagodny) matka moja wzywa mnie do siebie. Gdym wszedł do pokoju, zwraca się do mnie i powiada:

— Pochodzisz ze starej szlacheckiej rodziny. Masz w rodzinie senatorów, kasztelanów i rycerzy. Ojciec twój był kapitanem strzelców konnych przed rewolucją i podczas niej. Brat twój był w Szkole Głównej. Powiadam: był, gdyż mam wiadomość, iż

już jest w rękach Murawiewa. Postanowiłam wystać cię na plac boju; albo powrócisz zdrów, albo zginiesz śmiercią chwalebną. Będzie, co Bóg da. Spełnisz obowiązek...

To mówiąc, ze łzami w oczach wręczyła mi ciężki pałasz huzarski, przedpotopowy jakiś pistolet bez naboju, rewolwer i różne utensylia rycerskie. Popłakaliśmy się oboje.

Przed domem czekały konie pocztowe, którymi dojechać miałem do miejsca, o kilka wioś od Pułtusk odległego, gdzie powinien był czekać na mnie koń.

Pocztarek zatrąbił, konie ruszyły z kopyta, a ja, opatrzone błogosławieństwem matczynem, ruszyłem na wojaczkę.

Pocztylion zaciął konie i wcale się mnie o drogę nie pytał: wiedział widać dokładnie, dokąd ma mnie zawieść. Minęliśmy przewóz na Narwi, wjechaliśmy w lasy nadnarwiańskie i zatrzymaliśmy się wreszcie przed osadą leśną, dokoła której uwijało się kilkunastu mężczyzn różnego wieku.

W leśniczówce byłem świadkiem sceny, która głębokie na mnie wywarła wrażenie, tem głębsze, że za zły omen ją sobie miałem. Pani domu, rozpaczona tem, że zgubiła obrączkę ślubną, z którą się od dnia ślubu nie rozstawała, od zmysłów odchodziła, za zły sobie prognostyk mając ową zgubę. Widok beznadziejnej rozpacz, tarzania się po ziemi, wyrwania włosów, silne na mnie zrobił wrażenie. Obawy, muszę dodać, tej pani płonne nie były, gdyż, jak się o tem później dowiedziałem, w kilka dni po

owem zdarzeniu z obrączką kozacy dom ich złupili, mieszkańców zaś, t. j. ją i jej rodzinę wymordowali.

Po kilku dniach tułaczki i ukrywania się na wypach narwiańskich dostałem się do partyi Padlewskiego; tak jednak byłem wycieńczony znośnięciem niewygód, do których nie nawykłem, i byle jaką strawą, że bardziej do szpitala, niż na pole bitwy udać mi się należało.

Pamiętam, że do obozu partyi przybyłem w nocy. Rankiem rozglądałem się ciekawie po obozie, ale to, com zobaczył, przykro mnie bardzo uderzyło. Zamiast karnego wojska z tysiąc może byle jakiej zbieraniny, z której część uzbrojona była w dubeltówki, pojedynki, skałkówki nawet; reszta zaś miała kosa, ale bardzo wielu było takich, co ledwie kije za całkowite mieli uzbrojenie. Jak wspominałem, byłem chory i wycieńczony, to, com zastał w obozie, nie podniosło ducha, czułem się więc przygnębiony ostatecznie. Ciągłe marsze, brak ciepłej strawy, bardzo chłodne noce, spędzane pod gołym niebem, zrujnowały moje zdrowie ostatecznie. Byłem zubożniały na wszystko, a na koniu ledwie się mogłem utrzymać, gdy właśnie pierwszy chrzest ogniowy wypadło mi otrzymać.

Rankiem jakoś zatrzymaliśmy się na odpoczynek. Położyłem się pod drzewem i zasnąłem. Obudzilem się na gwizd świstawki, alarmującej obóz: „Na koń“! Machinalnie wskoczyłem na konia i stanąłem w szeregu. Byłem tak nieprzytomny, że nie zdawałem sobie zupełnie sprawy z tego, co się dzieje. Pierwsze strzały, które za małą chwilę słychać było, żadnego na mnie nie zrobiły wrażenia, anim się dziwił, gdy kule bzykać mi poczęły koło uszu. Kozacy,

sprawcy wystrzałów, po krótkiej strzelaninie cofnęli się. Prawdziwa bitwa rozpoczęła się dopiero z chwilą, gdy oddział nasz znalazł się pod Szreńskiem. Wpadliśmy na konnicę, która gęsto sypała kulami, od flanków parla nas piechota, prażąc ogniem karabinów. Przeszliśmy Szreńsk, kierując się ku pobliskim lasom. Defilada ku lasom pod ogniem nieprzyjacielskim wielu nam z szeregów zabrała. Trup padał gęsto. O obronie nie było co myśleć, gdyż wobec rotowego ognia z karabinów strzały z dubeltówek myśliwskich nie były skuteczną odpowiedzią. Uciekano więc, każdy na własną rękę, byle przedrzeć się do lasu, gdzie łatwiej się można było ukryć od strzałów.

Siłą woli, trzymając się na siodle, z tyłu za partyą, gdyż wszelki szybki ruch o młodości mnie przyprawiał, zrezygnowany, a raczej obojętny i zdętwiały, jechałem gołym polem, wystawiony na strzały. Wtem, w odległości może wiorsty od miejsca, w którym się znajdowałem, spostrzegam lasek brzozy. Ostatnim wysiłkiem kieruję się w stronę brzeźniaka, lecz lasek tak był nędzny i rzadki, że nie człowieka, ale zająca na 1000 kroków spostrzedzby można było. Nie myśląc wiele, skrzyłem w bok od drogi. Przejechałem pięćset kroków, gdy z wyczerpania zemdlałem i zsunąłem się z siodła na ziemię.

Jak długo leżałem, nie wiem. Zbudziłem się dopiero późną nocą. Byłem tak słaby, że myśli zebrać nie mogłem; nie wiedziałem, ani gdzie jest, ani skąd się tu wziąłem. Gdy tak staram się zebrać myśli, słyszę ciche rżenie konia. Odrazu oprzytomniałem. Rżał mój koń, który, choć luzem puszczoney,

nie odbiegł, ale stał tuż koło mnie. Usiłowałem się dźwignąć, ale nie mogłem głowy nawet podnieść. Leżałem, jak martwy, niezdolny do najmniejszego wysiłku. Koń mój jednak rżał ciągle, tupał nogami, niecierpliwił się. Należało coś przedsięwziąć. Dźwignąłem się więc i w niewielkiej odległości dostrzegłem światła w oknach. Postanowiłem dowiec się do najbliższej ludzkiej siedziby. Na konia sięść sił nie miałem, wlokłem się więc piechotą, a koń, jak pies, cierpliwie szedł za mną. Do pierwszej z brzegu chaty zapukałem i wszedłem do wnętrza. Zastałem w izbie dwoje młodych ludzi, mężczyznę i kobietę, spożywających wieczerzę, jak dziś pamiętam, kaszę z mlekiem.

— Niech będzie pochwalony — odezwałem się.

— Na wieki wieków — odpowiedziano.

Kobieta spojrzała na mnie.

— Patrz, jaki młody! Chory widać? — I wnet położyła łyżkę i powiada do męża:

— Nie jedz! Niech pan je, to pewnie z głodu tak panu słabo!

Podziękowałem im, ale taki miałem wstręt do jedzenia, że łyżkibym nie przelknął. Prosiłem tylko, aby mnie do najbliższego dworu odprowadzono, gdzie zapewne gorącej dostanę herbaty.

Nie ociągając się ani chwili, gospodarz wstał i wyszedł ze mną z izby.

Tak byłem osłabiony, że o własnych siłach iść nie mogłem.

Mój przewodnik ujął mnie pod pachę i w ten sposób do dworu doprowadził. Właściciel wsi, nie wiem jak się nazywała, na mój widok wpadł w furę,

począł krzyczeć, rozpaczać, wyklinać mnie. Obawiał się, że Rosyanie wpadną do niego i, znalazłszy powstańca, zrujnują mu wszystko, jego zaś samego niechybnie zamordują. Gdy się nakrzyczał, nahałasował, na odczepne zaproponował mi nocleg w stodole, do której sam, z największymi ostrożnościami, bez latarni, mnie zaprowadził. Pokazał mi siano w sasku, zamknął za sobą wrota i zostawił mnie samego. Wpadłem w siano i nie wiem, czym zasnął, czy też zemdląłem, dość, że obudził mnie dopiero rwetes, gwałt na podwórzu, jakieś głosy. Usłyszałem później skrzypnięcie wrót od stodoły, głos: „da wot sieno“, szelest w sianie, zamykanie wrót — i głosy uciechły. Ocknąłem się zupełnie, nie wiedziałem jednak, co się stało. Po chwili wpada jegomość, właściciel majątku, z krzykiem. Spostrzegłszy jednak, że leżę na sianie, tam gdzie mnie wczoraj zostawił, umilkł ze zdziwienia, tak dziwnem mu się wydawało, że kozacy, oni to bowiem byli we wsi, biorąc siano, nie zoczyli mnie.

Istotnie dziwnym zbiegiem szczęśliwych dla mnie okoliczności dwukrotnie pewnej uszedłem śmierci. Raz, gdy na polu bitwy padł zemdlony, drugi raz, gdy kozacy brali siano, na którym leżałem.

Jegomość ów, nie bardzo uprzejmy gospodarz, a nawet nieludzki, gdyż, widząc stan, w jakim się znajdowałem, nie tylko po ludzku się ze mną nie obszedł, ale nawet szklanki herbaty nie zaproponował, postanowił pozbyć się mnie co rychlej i ofiarował się przewieźć mnie za granicę swej wioski, (wioska leżała nad rzeczką).

Rzeczką na łodzi odstawił mnie ów pan do jakiejś wsi klasztornej, w której na drugi dzień miał

się odbyć odpust, zaprowadził do gospody i tam zostawił.

Wcisnąłem się w kąt i siedziałem nieprzytomny prawie. Ludzie, idący na odpust do kościoła, wstępowali do gospody. Niektóry z pośród nich, spostrzegłszy niezwykłą moją bladość, jeśli dopytywać się, com zaczął i co mi jest. Odpowiedziałem, poradzono mi udać się do klasztoru, do ojca gwardyana, co też uczyniłem.

Gdy stanąłem przed gwardyanem, zostałem osypywany tymi samymi wymysłami, hałasami, co u owego obywatela. Przyjęcie różniło się tylko o tyle, że gwardyan sięgnął do szafki w murze, wyjął butelkę z winem i, nalawszy dużą szklanę, podał mi ją. Wypiłem duszkiem, a nie chcąc mą osobą robić ludziom subiekty, wyszedłem z celi, udałem się na podwórze, a ujrawszy koło stodół dworskich rozrzuconą słomę, zaszyłem się w nią i odurzony winem zasnąłem.

Zbudziłem się nazajutrz, na głos dzwonów klasztornych. Zbudziłem się zdrów.

Tegoż dnia jeszcze zaproszono mnie na obiad do dworu. Z jakim go jadłem smakiem, nie będę opisywał! Tak dawno nic ciepłego w ustach nie miałem! Nazajutrz wyruszyłem do matki, będąc najpewniejszym, że wojna była już skończona.

Przyjechałem w końcu kwietnia.

— Co tu robisz? Skąd przybywasz? — były słowa matki.

Opowiedziałem jej wszystko: o mojej chorobie, o bitwie pod Szreniakiem, o tułaczce.

— Uciekłeś! Zhańbiłeś siebie i mnie! Splamileś

honor rodziny i nazwisko! Widzieć cię nie chcę! Jeżeli chcesz, bym cię za syna uznała, czynem musisz zmyć plamę, którą się zbrukałeś!

Po tygodniowym ledwie odpoczynku znów wyruszyłem na wojaczkę.

Był już maj cudny, słoneczny, ciepły i radosny.

Byłem ułanem, zrazu w partyi Fritzego w Mławskiem. Później zmieniłem naczelników i partye, wiadomo bowiem, że jedne partye trzymały się dłużej, inne krócej. Niedobitki jednych partyi powiększały kadry innych, przechodziłem więc z komendy pod komendę. Nazwiska niektórych naczelników, szczególnie tych, którzy się krócej trzymali, zupełnie uleciały mi z pamięci. Opowiadać więc szczegółowo, w porządku chronologicznym, dziejów mojej wojaczki nie będę. Byłem szeregowcem i opowiem tylko epizody, które najbardziej w pamięci mi utkwiły, epizody z życia obozowego, są pomiędzy nimi takie, w których mnie, szeregowcowi, jak się to powiedziało, wybitniejszą wypadło grać rolę.

W czerwcu jakoś, pewnego pięknego upalnego wieczoru, zostałem wysłany na pikietę. Stanowisko miałem w lesie. Cicho było, tylko komary brzęczały w powietrzu parnem i gęstem od spiekoty. Stałem już dość długo. Czy to powietrze, czy nieruchomość, usposobiły mnie do marzeń, dość że myśli moje, moje młode myśli, rozbiegły się, jak ptaki, szybowwały daleko po marzeniach, po ukochaniach. Widziałem się jenerałem sławnym, wiodącym na czele hufców karnych i wyćwiczonych zwycięską wojnę, to znów

przed oczyma, jak gwiazdy, migaly mi oczy, w którym rad kiedyś patrzył. Ani mi w myśli był las, pikiet i niebezpieczeństwo. Nagle słyszę chrzęst podejrzany. Zmartwiałem, a choć w partyi do odważniejszych mnie zaliczano, włosy na głowie ze strachu mi się zjeżyły. Uciec — wstyd, hańba, wreszcie sąd polowy i kulka w łeb. Siegam więc i odwodzę jak umiem najciszej kurek u karabinka i czekam. Znow chrzęst, bliżej tym razem. Oczy wlepiam w las i po chwili spostrzegam huzara. Spojrzeliśmy na siebie, w tej chwili zawrócił konia i odjechał bez wystrzału. Dziwny mnie lęk zdjął, anim się z miejsca śmiać ruszyć. Gdy znow najniespodziewaniej z krzaków cichy posłyszałem świst i tuż koło mnie wynurzyła się postać włościanina z tamtej okolicy, który mnie zawiadomił, żeby corychlej wracał do obozu, gdyż naczelnik, uwiadomiony o sąsiadach, nakazał odwrót. Zdarłem konia i za chwilę byłem już w obozie, który już był w pełnym pochodzie. Przez różne kręte ścieżki i drożyny leśne około godz. 1 mniej więcej się zatrzymał w dużym lesie, niedaleko wsi Naguszewa. Zaledwie jednak zdążyłem zdjąć koniowi kulbakę, nadszedł od komendy rozkaz: „Nasz pluton z podoficerem na podjazd“.

Pojechaliśmy. Z podoficerem zaś oddawna już poróżniliśmy się tak ostro, żeśmy sobie wieczną zaprzysięgli nieprzyjaźń. Jedziemy. Wyjechaliśmy z lasu, aż tu widzimy: kilkunastu kozaków pędzi, co koń wyskoczy, za naszą pikietą. Spostrzegli nas. Huknęły strzały. Konie nasze spłoszone dęba stanęły, lub uskoczyły w bok tak nagle, że kilku, a między nimi nasz podoficer, spadło z koni. Zamieszanie ogólne,

rozsyпка, kozacy nacierają coraz bliżej. Zobaczywszy, co się dzieje, krzyknąłem: „Stać! Stanęli, jak wryci. Dopiero wróciliśmy się przeciw kozakom, którzy, widząc naszą gotowość, zawrócili konie i odjechali w stronę lasu. Konie bez jeźdźców udało nam się schwytać, podoficer siadł na konia, podjechał ku mnie, zaśalutował i podał mi rękę. Łzy mu się w oczach kręciły, powiedział tylko:

— Już też nie spodziewałem się was więcej oglądać!

Na rozmowy czasu nie było, gdyż właśnie z lasu czerń piechoty rosyjskiej następowała, galopem wróciliśmy do obozu.

Cały obóz już był zaalarmowany. Kotły ładowano na wozy. Konnica na koniach; piechota zaś robi ruch, jakby się miała do ucieczki. Wszędzie rozprzeżenie i nieład, nie słyhać komendy.

Widząc, co się dzieje, wołam: „Kawaleria, zastąpić piechocie! Kto będzie chciał uciekać, strzelać, jak do nieprzyjaciela! Naprzód marsz“!

Dziwna to jest natura ludzka! Przecież tam, w piechocie, byli ludzie wytrawniejsi i może dzielniejsi ode mnie, jednak wszyscy mnie, dzieciucha, usłuchali i, jak huragan, poszli naprzód. Wypadli z lasu i po polanie, jak lawa z krateru, się rozlali. Strzały z obydwóch stron szły tak gęsto, jakby kto kartofle sypał w twardy statek. Tak byli rozszalali, że, na nic się nie oglądając, szli naprzód, zadając nieprzyjacielowi ciężkie straty, szczególnie kosynierzy. Rosyanie, nie mogąc wytrzymać natarcia, cofnęli się do wsi Naguszewa, ukrywając się w stodołach i zabudowaniach gospodarskich. Ale gospodarze tej wsi,

naszej sprawie oddani, własnymi rękami swoje stodoły podpalali, czem o wielkie straty wojsko nieprzyjacielskie pripravili, gdyż mało pozostało budynków.

Ja sam jeden konno wpośród naszej piechoty aż do wsi dotarłem, ale przypomniawszy sobie, że Rosyanie muszą mieć tabor ze sobą i bagaże, zawróciłem do lasu, aby, odszukawszy konnicę naszą, skłonić dowódcę do uderzenia na nieprzyjacielskie podwoły. Wyjechałem więc na gościniec, widząc zaś po obydwóch stronach gościńca jakąś kawalerię, nie przypuszczałem, że to nieprzyjaciel. Zastanowiło mnie tylko, że strzały gęściej padać zaczęły. Zoczywszy naszą konnicę, podjechałem przed front i począłem wyrzucać naszym tchórzostwo i bezład. Koledy wzrokiem dawali mi do zrozumienia, bym się mitygował, gdyż naczelnik partyi stał właśnie przed frontem. Gdy się to działo o kilkanaście kroków od nas, wysunęło się z lasu kilku huzarów, ja zawołałem: „Patrzcie, mój nocny huzar“—tymczasem padła komenda: „marsz! marsz!“ i cały nasz oddział opuścił pozycję. Odjechaliśmy dość daleko od pola bitwy, choć jeszcze strzały słyhać było wyraźnie, gdy naczelnik nasz zakomenderował: „Stać!“ przejechał przed frontem i powiada:

— Niewiadomo, jak tam jest w Nagoszewie, czy są tam jeszcze wojska rosyjskie, czy już się cofnęły. Trzeba, żeby jeden z was pojechał na plac boju, rannych i poległych pouprzątać. W tym celu deleguję Plichtę. Wystąp z szeregu i jazda!

Była to zemsta za monit, jaki p.p. dowódcy ode mnie usłyszeli.

Chciał się zemścić, a zarazem pozbyć się mnie z szeregów, wysyłał mnie bowiem na stracony posterunek. Pojechać to znaczy wpaść w ręce nieprzyjaciela, z bronią w rękę napewno zginać. Nie pojechać to sąd polowy i kulą w łeb zaraz na poczekaniu. Zawróciłem konia i pojechałem na plac boju.

Droga wypadła mi polem, gdzieś lada chwila kuli czekał; później, w lesie, otucha we mnie wstąpiła, myślałem bowiem sobie, że jakoś się przekradnę. Gdy już miałem z lasu wyjechać na pole do wsi, dopadł mnie chłop i ostrzegł, bym do wsi nie jechał, gdyż nieprzyjaciel właśnie swoich poległych i rannych zbiera z pola bitwy. Dopiero w nocy do wsi się dostałem.

Na drugi dzień, w niedzielę, zjechało się z różnych stron mnóstwo ludzi, i ci bez mojej pomocy pogrzebali naszych poległych (było ich coś około stu) pod figurą, w asyście księży, z ostentacją. W ten sposób prawie cało z tak ciężkiej przygody wyszedłem, mówię: prawie, gdyż zostałem raniony w tyłkę, co mi dopiero później dało się we znaki.

Po spełnieniu polecenia należało powrócić do partyi. Ale gdzie jej szukać?

Prócz rozkazu udania się do Nagoszewa nie usłyszałem nic więcej, ani jednego słowa, z którego mógłbym wywnioskować, dokąd się udać dla złączenia się z partyą. Jechałem więc, trzymając się śladów, z zachowaniem jak największych ostrożności, aby w ręce kozaków się nie dostać. Wreszcie odnalazłem partyę; trafilem na zmiany, dezorganizację, czy reorganizację. Naczelnikiem partyi został niejaki Jasiński.



Staliśmy nad Narwią, w miejscowości, która bodaj że Magnuszew się nazywała. Z tamtej strony Narwi z lasów wystąpiła ku nam piechota rosyjska. Z naszej strony odkomenderowano piechotę do obrony przeprawy. Po wymianie strzałów karabinowych Rosjanie zaczęli strzelać do nas z kartaczości i w ten sposób zmusili naszą piechotę do odwrotu. Jednocześnie nieprzyjaciół, wiedząc o brodzie na Narwi, przeprowił się na drugi brzeg i oskrzydlił nas, odwrot zmienił się w ogólną rejteradę.

Podczas rejterady, gdy raz z innymi starałem się ująć pogoni, omal że nie zginąłem, a to z powodu, że popręg odpiął się, kulbaka się odkręciła, a ja wraz z nią najniespodziewaniej znalazłem się na ziemi. Koń tak nieszczęśliwie uderzył kopytem w kulbakę, że ją prawie rozbił. Miałem się już za zgubionego, gdyż za sobą słyszałem dość gęste strzały kozaków, którzy, jak mi się zdawało, w największym pędzie gonili naszą rozbitą partyę. Z zimną krwią jednak podniosłem z ziemi kulbakę, włożyłem na konia, który kręcił się niespokojnie, płoszony strzałami, i wyrwał się za innymi końmi. Nareszcie dosiadłem konia i, jak wicher, pędziłem za partyą. A czas już był wielki, gdyż krzyki: „Hi, ha“ coraz bliżej słyszeć było.

Szczęśliwie dostaliśmy się do lasu i rozłożyliśmy się obozem. Ja zająłem się reperacją mojej zepsutej kulbaki; narządziwszy ją jako tako, włożyłem na konia, a sam chciałem choć krótką chwilę wypocząć. Po krótkiej chwili przychodzi rozkaz od dowódcy: „Podjazd, konie w pogotowiu!“ Porucznik, niejaki Smoleński, wywołuje nazwiska tych, co na podjazd

jechać mają, i zaraz na pierwszym miejscu woła: Plichta! Muszę tu dodać, że bądź dzięki mojej odwadze, bądź dzięki sprawności i zimnej krwi, jaką posiadałem, do podjazdów i wogóle służby wywiadowczej stale byłem używany, szczególnie wówczas, gdy wyprawa była niebezpieczna i gdy niewiele było na nią ochotników. Tego dnia właśnie najmniej do udania się na podjazd czułem się usposobiony. Byłem zmęczony, zdenerwowany, miałem rozbitą kulbakę, co mogło spowodować poważne niebezpieczeństwo dla mnie przy spotkaniu z nieprzyjacielem. Odpowiedziałem więc porucznikowi, że jechać nie mogę.

— Co? nieposłuszeństwo? Nie pojedziesz?

Porucznik poszedł ze skargą do naczelnika.

Naczelnik, nie wysłuchawszy sprawy, nie rozpatrzywszy jej, jak należy, zawołał:

— Paniecyki! Dla przykładu jutro rozstrzelać!

Pomrukiwali i szemrali głośno współkoledzy, którzy po mojej byli stronie.

W niespełna pół godziny — alarm. Ruszyliśmy. Po całonocnej wędrowce zatrzymaliśmy się w lesie. Spałem tej nocy tak dobrze, jadąc na koniu, że tylko gałąź, czasem musnąwszy po twarzy, do przytomności mnie przyprowadzała. Byłem zupełnie wywczasowany, gdyśmy się obozem rozłożyli; dwie rzeczy tylko spokoju mi nie dawały: sprawa kulbaki i nocnego zajścia z oficerem, dotąd nie załatwiona.

Omiałem do nowej nie przyszło awantury. Nasz naczelnik, Jasiński, znużony i utrudzony całonocnym marszem, oraz wrażeniami dnia poprzedniego, zapragnął odpocząć przyzwolicie i jak wypada ludziom.

którzy nie uznają żadnych obowiązków względem otoczenia, ani też o nie nie dbają, a że lubił wygodę i nie chciał, czy nie umiał zastosować się do okoliczności, zapragnął więc przespać się w szalasie, który mieli zbudować moi towarzysze i ja.

— Nie pójdę — odpowiedziałem na wezwanie — nie mam czasu.

Moja odmowna odpowiedź wywołała taką burzę, że omal natychmiast nie nastąpiła katastrofa, jedynie mir, jakim się cieszyłem u towarzyszy, no i bliskość nieprzyjaciela uratowała mnie tym razem.

Usiadłszy na skraju lasu, zająłem się reperacją kulbaki, uprzednio napoiwszy i nakarmiwszy mego najwierniejszego towarzysza, konia. Po chwili ujrzałem całą procesję okolicznych włościan z dwójkami, garnuszkami, kobiałkami, każdy niósł, na co go stać było. Wkrótce nadeszły wozy z prowiantami. Zawartość wozów została wypróżniona, prowianty zjedzone, głód zaspokojony.

Było pogodnie i ciepło. Żadnego niebezpieczeństwa nie przeczuwano (Jasiński pikiet nie rozstawił dookoła obozu). Po obfitem śniadaniu każdy starał się o jak najlepsze wywczasowanie, niektórzy, rozebrawszy się, jak do łóżka się kładli.

Cisza była, tylko anioł śmierci przechadzał się i znaczył tych, co wkrótce przed Oblicze Boga stawić się mieli.

Reperowałem moją kulbakę dość długo, parałem się z nią kilka godzin zapewne, gdyż niektórzy z pośród moich kolegów wyspać się przez ten czas zdążyli i zeszli się do mnie na gawędkę. Utworzyło się duże koło z leżących na ziemi. Ja, ostatecznie

narządziwszy moją kulbakę, włożyłem ją na konia i, ucieszony z moich rymarskich zdolności, wskakuję w sam środek koła. Spoglądam w bór i nieludzkim głosem wołam: Kozacy! Milczkiem śpiących zeszli. Byli już tak blisko, że, nie myśląc wiele, na przelaj przez polanę błotnistą puściliśmy się, mknąc, jak na skrzydłach. Strzały za nami padały gęsto. Przebiegłem polanę, wpadłem w bór, słyszę tętent za sobą. Pewien, że to kozacy, a nie mogąc dalej uciekać, odwracam się, zrezygnowany na wszystko. Patrzę, zdziwionym oczom nie wierzę! Mój koń bez trenzli, z workiem na łbie goni mnie! Stanął, parsknął, obejrzał się! Jak ja go serdecznie uściśkałem! Dosiadłszy konia, lasem prosto przed siebie pędziłem, wpadłem do jakiejś wsi, wystarałem się o trenzel, a wypawszy się należycie, ruszyłem dalej.

Znów prawie cudem ocalałem, a w ciężkich bardzo znalazłem się tarapatach, tem bardziej, że noga, w którą otrzymałem, był postrzał pod Nago-szewem, coraz bardziej mi dokuczała. Nie opatrywałem jej, jak należy, zlekka tylko płócienną przewiązawszy szmatką, jeździłem, chodziłem. Rana się zagniła i mocno mi dokuczała. A że niedaleko od miejsca, w którym się znalazłem, był lazaret, w Szczawinie, udałem się więc do lekarza z prośbą o poradę. Lekarz ranę obejrzał, pokiwał głową i nuż osypywać mnie wymówkami za moją opieszałość. Groził mi odjęciem nogi, gdyż, jak mówił, niedaleko było do gangreny.

Zostałem więc kilka dni w Szczawinie, prze-siadując w pewnej rodzinie włościańskiej, dość za-możnej, bezdzietnej, licznie odwiedzanej przez są-

siadów. Odwdzięczałem się moim gospodarzom, jak umiałem, przeważnie pieśni im nabożne wyśpiewując. Pocieszne to było widowisko!

Przebyłem tam, pod Szczawinem, kilka dni, zajeżdżając co pewien czas do Szczawina; bawiła tam bowiem pewna młoda osoba, która niezwykle mnie zainteresowała.

Przez wioskę, w której bawiłem, przechodziło kilkakrotnie wojsko; ale, że do chat chłopskich nie zaglądało, nie obawiałem się nawet odkrycia.

Raz, pamiętam, jakiś większy oddział rosyjski, wysłany na tropienie partyi, przechodził przez naszą wieś. Kozacy i piechota, podpiwszy sobie w pobliżem miasteczku, raczej w pojedynkę, niż w szyku bojowym, karabinami i spisami podpierając się, ciągnęli.

Maruderów było bez liku. Jednemu z nich odebrałem karabin i w stogu siana ukryłem. Wstydzę się dziś tego bohaterstwa wobec odurzonego wódką człowieka, tem bardziej, że żołnierz ów świętymi słowami zaklinał mnie, bym mu broni nie odbierał.

Po kilku dniach, prawie zdrów, wyruszyłem w świat, nie bez żalu, że rozstaje się, nazawsze może, z uroczą prasnyszanką!

Po różnych tułaczkach dostałem się do partyi, lepiej zorganizowanej, opatrzonej w broń. Otrzymałem też po raz pierwszy mundur, rewolwer na sznurach, pałasz kawaleryjski, który pół łokcia wiół się za mną po ziemi. Mina mi zgęstniała! Czekam tylko na okazję, by okazać się godnym munduru. Podczas jednak całej mojej w tej partyi wojaczki ani jedna

okazja się nie zdarzyła. Zdobywaliśmy tylko Pułtusk, a jak się to stało, opowiem.

Razu jednego podchodzi do nas nasz naczelnik i odzywa się:

— Muszę mieć ze dwudziestu ludzi, zdecydowanych na wszystko. Mam im do zlecenia pewną dość niebezpieczną ekspedycję! Kto wychodzi na ochotnika!

Nikt nie wyszedł z szeregu.

— A więc nikt się nie znajdzie?

— Panie naczelniku — mówię — czy wolno mówić?

— Mów.

— Dokąd mamy iść?

— Będziecie Pułtusk zdobywać.

— Idę — powiadam.

— Wystąp z szeregu! Kto więcej?

Rażno występowali ochotnicy, więcej niż połowa obecnych chciała brać udział w wyprawie.

— Dość — zawołał naczelnik. — Wybrać dwudziestu ludzi — zwrócił się do oficera. — Szykować się do drogi!

Oficer zakomenderował: marsz! I pojechaliśmy.

Było już koło dziesiątej wieczorem, gdyśmy dotarli do Pułtuska.

Gdy światła miasteczka zabłyśły przed nami, oficer skomenderował: Stać! Z konia, pałasze podnieść, karabinki w pogotowiu, piechotą marsz!

Idziemy. Cicho. Po głowie myśli mi wirują. Widzę już miasto zdobyte, siebie na czele zwycięzców. Tryumfotorem biegnę do matki i padam jej do nóg. Zmyta hańba uciekinierstwa.

Idziemy, ale coś nie mogę zmiarkować, jak to ma być z przeprawą przez Narew piechotą? Doszliśmy do rzeki, wprost pałacu biskupiego, który wojska rosyjskie zajmowały.

Ustawiliśmy się jeden o dziesięć kroków od drugiego i poczęliśmy strzelać do okien pałacu.

W jednej chwili z tamtej strony posypały się na nas strzały. Miasteczko, zaalarmowane strzałami, zaroilo się, zakipiało w niem, jak w ulu. Kule koło nas tak gęsto padać zaczęły, że dziwić się wypada, iż żaden z nas nie zginął. W tej chwili cofnęliśmy się jak najspieszniej do swoich, i na tem zdobycie miasta zakończyło się. Nasza strzelanina miała być dywersją, źle się jednak dla nas cała ta wyprawa skończyła, gdyż w krótkim czasie rozbito całą naszą partyę, z której tylko kawaleria ocalała.

Później dostałem się do partyi, będącej pod dowództwem niejakiego Mystkowskiego, oficera wojsk francuskich, dzielnego człowieka, nie wygalonowanego fanfaroną, ale żołnierza, co się zowie. Nie kryliśmy się po lasach, czekając, rychło nas rozbiją, lecz sami występowaliśmy zaczepnie, zawsze prawie z powodzeniem, znosząc mniejsze oddzialiki rosyjskie. Nasz Mystkowski miał znakomitą służbę wywiadowczą, o każdym ruchu nieprzyjaciela dokładnie był poinformowany, a że sprężysty był, nieugięty, miał więc karny oddziałik, dobrze uzbrojony, zagrzany męstwem dowódcy. Odnosiliśmy pod jego dowództwem nawet zwycięstwa, w potyczce jak np. pod Stoczkiem, gdzieśmy kilkunastu huzarów wzięli do niewoli.

Prowadziliśmy ich za sobą, związawszy słowem,

że nie uciekną; aliści przy nadarzonej okoliczności uciekli wszyscy, prócz jednego, majora Kontrymowicza, który danemu słowu wiernym został¹⁾.

Wojaczka pod naczelnikiem Mystkowskim to najmilsze wspomnienia moje z całego powstania. Czułem się pod jego dowództwem żołnierzem. Służba była ciężka; ciągle podjazdy, potyczki, starcia, w braku ich musztry forsowne; ale co za przyjemność była nie czuć nad sobą widma strachu, nie czuć piętna tchórzostwa, które na nas ciągle włóczęga od jednej kryjówki leśnej do drugiej wyciskała! Z Mystkowskim gościńcamiśmy manewrowali, w miastach i w miastach na kwaterze stawali, a jak nas zacni mieszczanie i mieszczańki fetowali, to opowiedzieć się nie da.

Ponieważ walczyliśmy z powodzeniem, pomniejsze oddzialiki polskie, któreśmy po drodze spotykali, chętnie się z nami łączyły i szły pod komendę naszego naczelnika. Pamiętam, że połączyły się z nami partye Plucińskiego i Ostaszewskiego. Wkrótce jakoś po tem połączeniu nastąpiła niefortunna dla nas potyczka pod Czyżewem, w której padli Mystkowski, Pluciński i Ostaszewski, partya zaś omal że rozbita nie została. Mystkowski otrzymał wiadomość, że przez Czyżew przechodzić ma pociąg wojskowy z kasą, postanowił więc napaść na konwój, a kasę zasekwestrować. Rosyanie, uprzedzeni najwidoczniej, wysłali kilka sotni kozaków, i te przez

¹⁾ Spotkałem go, jadąc na Sybir, dokąd i on został wysłany, za zaniechanie ucieczki miał bowiem wytoczoną sprawę przed sądem wojennym.

kilka godzin w tem miejscu, gdzie ustawiliśmy się w zasadzce, defilowały, to zbliżając się ku naszym stanowiskom, to cofając. O rozbiciu ich mowy być nie mogło, gdyż na widok naszej kawalerii kozacy cofali się co rychlej w lasy, by za chwilę znów się ukazać.

Nadszedł pociąg i, mignawszy nam przed oczyma, przeleciał dalej. Posypało się z obydwóch stron kilka strzałów, lecz bez następstw. Dopiero, gdy pociąg minął linię naszych strzelców, zatrzymano go, i pod osłoną wagonów Rosyanie rozwinęli ogień karabinowy. Nasi ostro się wzięli do wagonów: jedni natarli na te wozy, gdzie było wojsko, inni znów na wagony, gdzie się znajdowały konie, które rozbiegły się wnet po polu. Na nieszczęście, w chwili gdyśmy tak gorąco atakowali, naczelnicy nasi wysunęli się nierozważnie na front, i wszyscy trzej w jednej chwili od kul karabinowych padli. Ten wypadek zmieszał nas, z czego nieprzyjaciół skorzystał i umknął, zostawiając w naszych rękach 30 koni.

Partya cała okryła się żałobą, nazajutrz oczywiście pogrzebaliśmy naszych naczelników.

Aureola dawnych zwycięstw otaczała nas jeszcze, nieprzyjaciół obawiał się zbliżać do naszych stanowisk, kilka dni mieliśmy spokój. Wreszcie, powziawszy widać wiadomość o stratach, jakie ponieśliśmy w utarczce pod Czyżewem, Rosyanie, podzieliwszy się na trzy oddziały, otoczyli nas i postanowili zgnieść.

Był wczesny ranek, gdy kilkudziesięciu pijanych „objeszczyków“ z fantazją natarło na naszą

kawalerię, przypuszczając najwidoczniej, że sam ich widok wystarczy do zupełnej naszej porażki.

Kilku zaledwie z pośród śmiałków zdażyło uciec do swoich, inni poległi; nie dano pardonu nikomu, mimo że niektórzy z pośród zuchwalców ze łzami o darowanie im życia błagali.

Z lasu zaczęła się wysypywać piechota i zasypywała nas kulami.

Nas, kawalerię, wysunięto z lasu, i rozwinęliśmy się frontem na polanie. W tej samej chwili mnie, com jako podoficer stał na czele plutonu, pada koń i przygniata do ziemi. Zerwałem się, koń również, gdyż zaledwie lekko był raniony. Z boku następują na nas kozacy. Wzięci przez przemagające nas siły w dwa ognie, mimo że broniliśmy się dzielnie, doszczętnie zostaliśmy rozbici, gęsto trupem zaścielać pole.

Po tej porażce dostałem się na Kurpie do oddziału, którym dowodził niejaki •Nemetti, Węgier z pochodzenia. Niewiele miałbym do opowiadania o tej partyi; zaszedł wówczas wypadek, który był omaal że nie fatalny dla mnie, a który przytaczam tu jako charakterystyczny.

Było to tak. Niejaki Ł., syn pono lekarza z miasta powiatowego, w jednej z poprzednich utarczek tyle wykazał męstwa, że, aby łatwiej ująć pościgu, buty, jakie miał na nogach, zdjął i uciekał boso, co sił starczyło.

Bohater ten, zesromany tym, że boso powracać by musiał do obozu, jak głosiła wersja, zdjął trzewiaki na pobojuwisku buty i, wystrojony w nie, zjawiał się w kilka dni po bitwie, w której taki chlubny

brał udział. Świadkowie naoczni potwierdzili wiarygodność wersji, mieliśmy więc p. Ł. za tchórza i obdziercę.

Łatwo wystawić sobie, co się ze mną działo, gdy naczelnik nasz p. Nemetti prowadzi pana Ł. przed front i mianuje go naszym oficerem. Szmer przeszedł po szeregach, nikt jednak z otwartym protestem wystąpić nie śmiał. Wtedy ja wystąpiłem przed front i powiedziałam:

— Nie może to być! Nie chcemy p. Ł. za oficera, bo się ucieczką zhańbił, buty z nieboszczyka zdart i jeszcze teraz może w nich chodzi!

Ł. stał blady, jak trup, i nie odzywał się zgoła, mnie zaś do aresztu wzięli i zaraz sąd miał być. Lecz zanim sędziowie się zeszli, alarm: „Wojsko idzie!” i na całą noc marsz!

Wkrótce też dobrą wiedliśmy rozprawę. Gorąco nam było, ale i myśmy rozbić się nie dali. Pan nowookreowany oficer znikł po owej rozprawie, jak kamfora, ani go się było doszukać.

Gdyśmy na spokojniejsze przyszli miejsce i w szeregach stanęli, wyjeżdża nasz Nemetti, wywołuje mnie przed front i... mianuje wachmistrzem. Zamiast kulki w łeb — epolety, nigdy się tego nie spodziewałem! Zdziwiłem się jeszcze bardziej, gdy Nemetti w kilka dni po tym wypadku podchodzi do mnie, na bok odprowadza i prosi, by, gdyby zaszła bitwa, nie odstępować od niego.

Widać coś przeczuwał, no i trafnie, gdyż w kilka dni wpadliśmy w pułapkę: zostaliśmy otoczeni, i pozostawało nam albo zginąć, albo uciekać przez trzęsawiska, do których byliśmy przyparci. Nie na-

myślając się długo, skoczyłem w te bagna, puszcza-
jąc luzem konia i przewracając się, zapadając po
kolana, gramoląc na czworakach, zasypywany gradem
kul, uciekałem co sił. Samym środkiem tych błot
płynęła rzeczka. Właśnie byłem się do niej docią-
gnął, gdy, widzę, po tamtym już brzegu przewala się
jakaś obłożona masa jeźdźca z koniem, tak utyłłani
oboje, tak komiczni w tej sytuacji, że, mimo że
wcześnie się do śmiechu nie czułem usposobionym, ro-
ześmiałem się serdecznie.

W niefortunnym jeźdźcu poznałem naszego na-
czelnika. Wyciągnąłem go z błota i, podtrzymując
pod ramię, poprowadziłem. Koń, zostawiony sobie, po-
dażył za nami (mój koń szedł za mną ciągle). Do-
wlekliśmy się jakoś do lasu, a że kule przestały do-
latywać, wyciągnęliśmy się za parkanami bez tchu
prawie i odpoczywaliśmy. Ocalałem i tym razem
prawie cudem!

Ta potyczka zakończyła moją karierę wojsko-
wą. Przez cały przeciąg powstania 63 r. w szesnastu
byłem bitwach, z których, prócz lekkiej rany w no-
gę, żadnych więcej niemiłych nie wyniosłem na so-
bie pamiątek. A ile chwil miłych przeżyłem, ile
przygód, ile niebezpieczeństw! Ile razy śmierci w oczy
zaglądałem, ile ran widziałem, ile krwi! Nawet ko-
nia nie straciłem!

Dziś z lubością wspominam te chwile mojej
dziarskiej młodości, chwile, gdy czułem się Polakiem,
obowiązek spełniającym.

.....

Była już późna jesień, gdy dostałem się na zimową kwaterę w okolicy Przasnysza.

Ludzano się powszechnie, że, byle zimę przetrwać, z wiosną można rozpocząć znów wojnę zaczepną, licząc na pomoc obcych mocarstw, na interwencję europejską.

Stałem kwaterą w Łęczynie Nowym, w domu szlacheckim, lecz gościem byłem jedynie na mojej kwaterze, ku wielkiemu zadowoleniu moich gospodarzy, żyjących pod wiecznym strachem rewizyi, aresztowań i t. p., które nieraz śmiercią pod knutami dla ukrywających u siebie powstańców się kończyły. Jeździłem, jak to mówią, rzemiennym dyszlem po całej okolicy, najmniej się moim gospodarstwem narzucając.

Pewnego dnia, a było to przed samem Bożem Narodzeniem, powróciłem dość późno z jakiejś wycieczki do Łęczyna i, nie chcąc budzić gospodarstwa, jak umiałem najciszej wśliznąłem się do pokoju gościnnego, który zajmowałem. Zmęczony byłem, usnąłem więc natychmiast. Wtem budzę się, zawołany po imieniu, otwieram oczy. Dokoła mego łóżka stoi pani domu, jej dwie córki w bieli, jak aniołowie.

— Panie Stanisławie, wojsko w podwórze! Za chwilę będą tu we dworze! Ubieraj się pan!

Żaden wykwinie nie miał takiej usługi, jak ja w tej chwili. W okamgnieniu byłem ubrany i obuty. Oficer, wojskiem dowodzący, dobijał się do drzwi coraz gwałtowniej. Zdażyłem tylko krzyknąć paniom: „Brat“, gdy zniknęły mi z oczu.

Pani domu wyszła na ganek do oficera, który zapytał, kto jest we dworze? Odpowiedziała mu, że

brat; tę samą odpowiedź dały jej córki, wreszcie i ja ukazałem się na progu. Kto zacz? pyta oficer. Brat właścicielki, odpowiadam.

Zaaresztowano mnie jednak i łącznie z właścicielem Łęczyna odstawiono do komendy, do Chorzela. Pułkownik, dowodzący oddziałem, po wybadaniu nas rozkazał nam wrócić do Łęczyna i stawić się do niego po upływie tygodnia.

Po tygodniu stawilem się w komendzie i, czy to, że uwierzono w moje z właścicielami Łęczyna pokrewieństwo, czy dla innych powodów, dość, że uwolniono mnie zupełnie.

Nie powróciłem już do Łęczyna, lecz mając wiele domów znajomych w okolicy, jeździłem od domu do domu i zimowałem, czekałem wiosny i nowego pod broń powołania.

W styczniu jakoś w jednym znajomym domu spotkałem się z niejakim Wiśniewskim, oficerem niegdyś wojska rosyjskiego, kapitanem wojsk powstańczych. Postanowiliśmy włóczyć się nadal we dwójkę; ale towarzysz mój lubił wódkę namiętnie, często też sobie głowę zalewał, a wtedy skory był do burd i awantur.

Raz nawet, po pijanemu, wyzwał mnie ów Wiśniewski na pojedynek, i strzelaliśmy się jednym jakimś przedpotopowym pistoletem, gdyż broni nie było. Później padliśmy sobie w objęcia i trzy dni piliśmy na zgodę. Jeżdżąc tak po dworach, zajechaliśmy pewnego wieczoru do jednego dworku szlacheckiego, położonego wśród dużego parku, otoczonego z trzech stron żelaznymi sztachetami, a z czwartej przylegającego do dużego bagna, rozciągającego się

na kilka wiorst, podmarzłego w tej porze, pokrytego gęstemi kępami olszyny.

Siedzieliśmy właśnie z całym towarzystwem w bawialni i graliśmy w jakąś grę towarzyską, gdy wtem wpada jakiś mały chłopczyna i woła: „Wojsko!“ W tej chwili, wybiwszy okno, wyskoczyłem do sadu, jak stałem, w mundurze (czapkę i rękawiczki zawsze miałem w kieszeni) stamtąd do parku i na błota. Uciekając, słyszałem, jak wojsko cały dwór otaczało, później wystrzał jakiś. Dopadłem błota, minąłem rzeczkę i zasiadłem w jednej z kęp na bagnisku po tamtej stronie rzeczki. Przez całą noc i dzień nosa z kępy nie pokazywałem.

Na drugą noc głodny ruszyłem do wsi, gdzie miałem znajomych, po prowiant i na zwiady. Dowiedziałem się, że wojsko jest w okolicy; zabrałem więc coś do zjedzenia i powróciłem do mej kryjówki, której przez trzy dni i cztery noce nie opuszczałem, co wieczór prowiant z dworu otrzymując. Czwartego dnia pod wieczór wysunąłem się z kryjówki i prze-nocowałem we wsi. Nazajutrz udałem się do dworu i tam dowiedziałem się, że Wiśniewski, widząc wchodzących żołnierzy, sam się zabił, strzelając sobie w usta z pistoletu. We dworze zastałem żalobę: właściciela wywieziono do Modlina, cały dom zrujnowano, szukano mnie, gdyż miano wiadomość, że dwóch powstańców bawiło we dworze.

Zabrawszy swego konia, pozostawionego przez wojsko, pojechałem w stronę Mławy i oparłem się we dworze, należącym do pani Chmielewskiej, która mieszkała tu z dwiema córkami i guwernantką, zajmując połowę domu. W drugiej połowie mieszkał

dzierżawca tej wsi, p. Biedrzycki, miły, uprzejmy człowiek, typ sympatyczny niezwykle. Było mi w tym dworze, jak w raju. Zaprzyjaźniłem się ze wszystkimi, a panny, piękne, jak anioły, milem nad wyraz były towarzystwem. Pewnego dnia siedziałem właśnie w pokoju pani domu, która, chorowitą będąc, leżała w łóżku i czytałem jej romansidło jakieś dość nudne. Wtem obie panny wpadają do pokoju, w którym się znajdowałem, obdzierają mnie do naga, że i koszuliny mnie nie zostawiły, naciągają na mnie zgrzebny jakiś lachman, kubrak połatany, parcianki i wypychają do kuchni. Jednocześnie oficer z wojskiem wjeżdżał na podwórze, lecz goście, szczęściem niedługo zabawiwszy, odjechali, ja zaś w takiej wobec współudziału pańien w przebieraniu mnie znalazłem się pozycyi, że ani z kuchni wyjść, ani na oczy się pannom pokazać. Przez drzwi więc tylko pożegnałem się z mojami zawstydzonemi bohaterstwem pannami i pojechałem w świat.

Trafiłem znow na dom p. Babeckich. Ledwom tam zajechał i przywitałem się z gospodarstwem, gdy p. Babecki oświadczył mi, że list ma dla mnie. Ucieszyłem się z tej wiadomości. Sądziłem, że list jest od matki, a tak chciałem mieć qd niej wieści! Spodziewałem się też zasiłku pieniężnego, który pozwoliłby mi na sprawienie sobie cywilnego ubrania, gdyż mundur, jaki nosiłem, zwiększał tylko niebezpieczeństwo, na jakie byłem narażony. Zdziwiłem się bardzo, zobaczywszy pieczęć na kopercie i adres, nieznanym mi charakterem nakreślony. Rozerwałem kopertę; list był krótki, lakoniczny.

„Poleca się Stanisławowi Plichcie, aby na dzień 28 stycznia b. r. stawił się do majątku „Wójt” dla odebrania poleceń.

Podpisano: Członek Rządu Narodowego
podpis niewyraźny“.

Co zrobić? Rozkaz, służba, jechać trzeba. Oświadczyłem więc p. Babeckiemu, że jadę do Wójtów. Widziałem, że to moje oświadczenie sprawiło mu przyjemność, na co zwróciłem mu uwagę.

— Mam być szczerym? — zapytał.

— Proszę — odpowiedziałem.

— Nie tylko ja, ale wszyscy takim gościom dziś nieradzi.

— To prawda! Wiem o tem i po śniadaniu natychmiast wyjeżdżam.

Późno już było, gdy dojechałem do Wójtów. Nazajutrz w południe zjawił się do Wójtów jakiś jegomość i doręczył mi pakiet papierów i marszrutę, dokąd mam jechać. W każdym punkcie, oznaczonym na marszrucie, miał mnie oczekiwać przewodnik, i w ten sposób dojechać miałem do miejsca przeznaczenia. Zostałem więc z ułaną kuryerem, ten awans nie bardzo przypadł mi do smaku.

Jechałem lasami, manowcami, a tak szybko, że ani z konia zsiąść, ani odpocząć. Wszędzie radzi mnie się pozbywali, przewodników już zastawiałem gotowych do drogi, a gospodarzy, przynaglających do odjazdu. Wreszcie, znużony, postanowiłem oprzeć się przemocą, wypocząć, przespać się, nabrać sił do dalszej wędrówki. W pierwszym więc napotkanym dworze, który mi moja wskazywała marszruta, zatrzy-

małem się, oświadczając stanowczo, iż dalej bez odpoczynku nie pojadę.

Właściciel owego dworu, a szczególnie pani, mocniej w lata posunięta, rozwinęła cały zasób talentu krasomówczego, by mnie od mego postanowienia odwieść. Przedstawiła mi w bardzo jaskrawych barwach, na co cały ich dom narażam przez mój u nich pobyt; później starała się mnie wzruszyć własnem mojem nieszczęściem, każąc się spodziewać rychłej śmierci z ręki rosyjskiej. Wreszcie oświadczyła mi, że, ponieważ ona widoku trupów nie znosi, ja zaś, o ile u nich dłużej niż chwilę zabawię, niechybnie zabitym zostanę, mam się na cztery wiatry wynosić. Straszyla mnie wyrzutami sumienia, gdy na nich ściągnę nieszczęście, kazala obawiać się swej do mnie nienawiści. Jej wymowne argumenty nie zmieniły mej decyzji.

— Zostanę na noc — odpowiedziałem niezmiennie.

Odeszła, rzuciwszy mi na pożegnanie krótkie: to niegodziwe.

Rozumiałem aż nadto dobrze obawy tych ludzi, ale cóż miałem ze sobą i z koniem począć? Jechać nie mogłem dalej: koń tak był zmęczony, że o dalszej podróży mowy być nie mogło bez narażenia się na poważne niebezpieczeństwo w razie jakiegoś wypadku.

Dano mi nocleg w jakiejś ruderze, w stancji nie opalonej, przysłano nawet coś do zjedzenia. Nie wiele jadłem, ale się wyspał znakomicie, nie obudzilem się wcześniej aż o południu dnia następnego. Poprosiłem o konia i przewodnika i odjechałem.

Przewodnik rychło mnie opuścił, tłómacząc się,

że taki ma rozkaz. Wszyscy, jak od trędowatego, ode mnie uciekali! Nie bardzo już potrzebowałem przewodnika, gdyż jeszcze tylko jeden miałem etap, i okolica była mi znana. Jechałem piękną, widną, niemroźną nocą i po trzykrotnem błędzeniu, skutkiem którego znużyłem konia i siebie, dobiłem do celu wędrowki.

Człowiek, któremu według rozkazu doręczyć miałem powierzone dokumenty, mieszkał w małej osadzie za wsią. Wyglądał na dostatniego włościanina, lub szlachcica zagrodowego. Gdy stanął przed domem, pan ów natychmiast odprowadził konia do stajni, ja zaś rzuciłem się, jak stałem, w ubraniu na słomę i zasnąłem. Dzień był już dobry, gdy się zbudziłem; było to święto Matki Boskiej.

Z owej osady miałem się dostać do jakiegoś folwarku, leżącego przy szosie, prowadzącej do Makowa. Ponieważ zaś po szosie w obydwie strony chodziły gęsto patrole, chodziło o przemknięcie się między nimi, co nie było rzeczą łatwą. Łamaliśmy z moim gospodarzem głowę, jak to najlepiej uskutecznić. Wreszcie wysłaliśmy na zwiady wyrostka na szosę. Koło jedenastej przybiega nasza wideta i oznajmia, że wojsko przyjechało do Makowa, ludzi zaś, śpieszących na odpust (święto było M. B., jak wspominałem), równie na gościńcu nie widać, można więc było jechać. Otrzymaawszy od mego gospodarza wskazówki, jak się mam po przyjeździe do folwarku zachować, z największymi ostrożnościami wyruszyłem w drogę.

Przyjechałem na folwark i wszystko zastałem

tak, jak to było umówione. Spełniłem, co do mnie należało, i w otwarte drzwi wszedłem do dworu.

Na środku pokoju stała jakaś dama w średnim wieku, strojnie w jedwabie ubrana, skłoniłem się jej. Nie czekając z mejej strony przedstawienia, oświadczyła mi, że mąż jej jest w kościele, natychmiast powróci, ja zaś mam czekać jego przybycia. Wyszła, zostawiając mnie samego. Pokój, w którym się znalazłem, była to jadalnia, wykwintnie umeblowana. Stół, równie pięknie i bogato nakryty na cztery osoby, zajmował środek pokoju. Gotujący się samowar stał obok kredensu. Obejrzawszy wszystko, co znajdowało się w pokoju, od tapet na ścianach aż do mebli, nudziłem się, czekając dość długo sam jeden na zjawienie się gospodarza, gdyż pani gospodyni nie pokazała się wcale w pokoju.

Wtem usłyszałem tętent koni. Ktoś zajechał. Jednocześnie w drzwiach ukazała się pani domu ze słowami: mąż przyjechał. Drzwi się otworzyły i... proszę wystawić sobie moje zdumienie, gdy ujrzałem w nich mężczyznę w średnim wieku, rosnącego, przystojnego, ubranego w pełny mundur generała wojsk rosyjskich.

— Witam pana — rzekł, podając mi rękę, i przeszedł do dalszych pokoi.

Po chwili wszedł jakiś cywilny młodzieniec, podał mi rękę i znikł za temiż drzwiami. Po chwili wszyscy ześli się przy stole, do którego i mnie bardzo uprzejmie zaproszono. Widocznie najdokładniej byli uprzedzeni o mojem przybyciu, skoro wszystko zastałem przygotowane, do tego stopnia, że nakrycie czekało na mnie.

Przy stole rozmawialiśmy o rzeczach obojętnych,

prowadziliśmy zwykłą salonową rozmowę. Obiad był wystawny, z kilku dań. Po herbacie, gdyśmy wstali już od stołu, gospodarz poprosił mnie do drugiego pokoju.

Z umeblowania kawalerskiego, jak to się mówi, sądząc, wywnioskowałem, że pokój, w którym się znaleźliśmy, nie był gabinetem pana domu, lecz raczej mieszkaniem owego młodzieńca, z którym obiadowałem.

Pan generał, gdyśmy zasiedli, odzywa się do mnie w te słowa:

— Proszę pana, jest pan w moim domu, siedzieliśmy przy jednym stole i tu siedzimy razem, jednak niewiadomo panu, kto jestem ani jak się nazywam. Niepotrzebne to panu. Niech pan pamięta, że w razie nieszczęścia jakiegoś aniś mnie pan znał, ani widział kiedykolwiek. Spodziewałem się, co prawda, że przysłał mi kogoś poważniejszego od pana, i mocno się zdziwiłem, gdy pana zobaczyłem.

— Papiery, mi poruczone, oddałem panu generałowi w całości, z polecenia więc wywiązałem się należycie — odpowiedziałem, nieco urażony.

— Dziękuję panu. Lecz nie koniec na tem, to początek dopiero. Oto — rzekł, podając mi jakiś papier — nominacya na porucznika dla pana. W tych dwóch paczkach są papiery niezmiernie ważne, które, jak pan widzi, należy doręczyć w Libawie naczelnikowi województwa. Te dwie, mniejsze, są to tłoki do pieczęci. Należy doręczyć je w Nimborgu naczelnikowi oddziału. Zresztą, według adresu, na każdej paczce wypisanego, odda pan po przybyciu na miejsce. Wszystko zależy w tym wypadku od

przytomności umysłu pana, no i od szczęśliwej jego gwiazdy, że tak powiem. Te zaś papiery wyłącznie są dla pana przeznaczone. Oto jeden: rozkaz, by wszystkich napotykanym partyzantom kierować do Nimburga i jako zasilek dawać każdemu po dwa ruble. Drugi zaś, również rozkaz, by wszelką broń, o jakiej może się pan dowiedzieć, lub o której panu wiadomo, zebrać i, wysmarowawszy lojem, ukryć w bezpiecznym miejscu. Ma pan wybadać na miejscu, czyby nie można było założyć polskiej mennicy. Trzeba się jak najprędzej zająć tą sprawą i jak najszybciej w czyn wprowadzić. Nakoniec polecam panu zaareztować niejakiego Smoleńskiego, który groźbą wyłudza pieniądze, jeżdżąc w okolicy Przasnysza po dworach. Należy wymierzyć mu karę, na jaką zasłużył. Resztę instrukcyi znajdzie pan na piśmie w tych papierach. Na wydatki zaś asygnuję panu sześćdziesiąt rubli. Więcej nie mogę, gdyż sam nie mam. Za najważniejszy mam sobie obowiązek uprzedzić pana, że ciąży na nim odpowiedzialność wielka, grozi zaś panu niebezpieczeństwo wielkie. To, że pan został tu przysłany, jest dla mnie rękojmią, iż polecenia moje zostaną spełnione. Gdyby zaś, co nie daj, Boże, wpadł pan w ręce nieprzyjaciół — tu pan generał zamyslił się, potarł ręką czoło, wreszcie po chwili powiedział — coby to było? Tyle rodzin zgubionych. A pan, taki młodzieniec, czy wiadomo panu, coby z nim było?

— Wiem dobrze, panie generale — odpowiedziałem. — Lecz proszę mi wierzyć, że umiałbym porządzić mojem życiem, nie czekając, aż mi je odbiorą.

— W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego jedź pan z Bogiem!

Pojechałem. Byłem żołnierzem z krwi i kości, służbiwą. Ani mi na myśl nie przyszło namyślać się, lub nad treścią rozkazu zastanawiać. Gdybym był odrazu po tej rozmowie poddał się refleksyi, rozjechał się dokładnie w warunkach, w jakich działać mi wypadło, musiałbym uznać, że rozkaz jest niewykonalny: dotrzeć do Nimburga lub Libawy mimo trudności nie było niepodobieństwem, ale zbierać broń, ochotników, którym prócz zachęty należało dawać dwa ruble, wreszcie założyć fabrykę pieniędzy, wszystko to było poezją z bajki, niemożliwą do urzeczywistnienia nie tylko dla mnie, ale wątpię, czy znalazłby się ktoś, co by to w czyn wprowadzić potrafił.

Jak już wspominałem, nie zastanowiłem się jednak nad możliwością wykonania zlecenia; posłuszny rozkazowi, wyjechałem. Postanowiłem przedrzeć się ku granicy pruskiej.

Narażałem się na tysiączne niebezpieczeństwa. Drogi publiczne pełne były wówczas wojska, koło wsi urządzone były „zastawy“ chłopskie, których obowiązkiem było chwycić każdą podejrzaną osobistość i odstawić do komend rosyjskich. Jechałem okolicą pełną kup pańszczyźnianego ciemnego chłopstwa, usposobionego jak najbardziej wrogo dla powstania. Miałem na sobie mundur, konfederatkę, łatwo więc mogłem być poznany, schwytany i powieszony. Kryłem się po lasach, jeździłem po większej części w nocy, unikałem spotkań, osaczony, nieraz jedynie szybkości decyzyj i nóg końskich zawdzięcza-

tem ocalenie. Często, szczególnie w spotkaniach z obławami chłopskimi, musiałem się uciekać do rewolweru, który miałem przy sobie. Dokąd znajdowałem się w znanej mi okolicy i czułem wolniejszy grunt pod nogami, raźniej mi było, lecz im bardziej zbliżałem się ku granicy, tem okolica stawała się bardziej obcą, a niebezpieczeństwa piętrzyły się na mej drodze.

W papierach, które miałem przy sobie, znalazłem wyszczególnienie dworów, na których przychylność liczyć mogłem. Nie bardzo jednak serdecznie witano takiego gościa, jak ja, nawet tam, gdzie w myśl instrukcyi na pewną sympatyę liczyłbym powinien. Starano się mnie zbyć byle czem, aby jak najprędzej pozbyć się z domu.

Do jednego z takich dworów, na samem pograniczu, zajechałem późnym wieczorem. Gospodarstwo przyjęli mnie kwaśno, ale znośnie. Zanocowałem we dworze. Mój gospodarz osobiście wybrał się na wywiady, czy rzeczkę graniczną, Działdówkę, przebyć można. W drodze dwukrotnie spotkał się z „objeszczykami“, którzy go jak najdokładniej zrewidowali; obecność „objeszczyków“, pilnie, jak wiadać, strzegących granicy, nie była przeszkodą, można ich było wyminąć. Najgorzej ta rzeczka, podmarznięta zaledwie w tej porze, była zupełnie nie do przebycia. Brzegów pilnie strzegli „objeszczycy“, o przedostaniu się więc przez granicę mowy być nie mogło.

Po rozmowie z moim gospodarzem postanowiłem na ten raz zrezygnować z przejścia granicy i cofnąć się w głąb kraju.

Skierowałem się w stronę Łęczyna, mojej daw-

nej kwatery. Nie pojechałem tam jednak, lecz wstąpiłem do wsi Zawady, do niejakich p. Zamojskich, znanych mi jako zacnych i uczynnych ludzi.

Całą drogę do Zawad przebyłem w usposobieniu tak ponurem, że z rozpaczą prawie graniczyło. Przejrzałem bowiem dzieciństwo i nieopatrność tych, którzy, nie biorąc wcale pod uwagę możliwości wypełnienia rozkazu, obarczyli mnie poleceniem nad siły. Czyż wobec warunków, w których się znajdowałem, można było dotrzeć do Nimburga, aresztując po drodze Smoleńskiego, gdy ja sam lada chwila mogłem być schwytanym i powieszonym.

Pelen nie bardzo wesółych myśli, zajechałem przed dom p. Zamojskich w Zawadach. Obaj, ojciec i syn, przyjęli mnie serdecznie, jak zawsze. Miałem we dworze swój ką, gdyż dość często dawniej bywałem w Zawadach i korzystałem z gościnnych pokojów pustego dworu, Zawady bowiem były własnością mego imiennika, wysokiego urzędnika, mieszkającego stale w Warszawie, pp. Zamojscy zaś, jako dzierżawcy, mieszkali w oficynie.

Pelen smutnych myśli, położyłem się spać. Nazajutrz, po rannym pacierzu, którego nigdy nie zaniedbywałem, zasiadłem do śniadania.

Trzeba dodać, że, gdyby nie modlitwa, którą się w każdej okoliczności wzmacniałem, którą żyłem niemal, gdyż ona to w mojem sercu utrzymywała dobrą nadzieję, że zło minie, że cało i zdrowo Bóg mnie ze wszystkich przygód wywiezie i do celu doprowadzi, trudnoby mi przyszło ufność do końca dochować. Rozmawiałem też z Bogiem często, i to jedyną mi było pociechą.

Po śniadaniu siadłem na konia, stojącego przed gankiem, i poddając się dziwnej rzewności, która w tej chwili całe moje jestestwo wypełniała, ze łzami w oczach żegnałem zacnych moich gospodarzy, którzy aż do progu mnie odprowadzili.

— Bóg wam wielki zapłać — odpowiedziałem — za tę jasną chwilę, którą pod waszym spędziłem daczem. Ani wiecie nawet, kogoście gościli, jak wielką ciężyła na was odpowiedzialność i ile znieściebyście musieli, gdyby mnie tu u was ujęto. Odjeżdżam, bądźcie spokojni... Konia do kieratu! — zdażyłem krzyknąć, sam zaś wpadłem napowrót do domu, torbę i rewolwer zrywam i, oddając p. Zamojskiemu, mówię: jeżeli znajdą, jesteście zgubieni!

Sam zaś zrzucam ze siebie wszystko ubranie i wypadam na drogę, byle mnie we dworze nie znaleźli, gdyż w takim razie wielka p. Zamojskim groziłaby odpowiedzialność. Widząc pomieszanie ogólne, rzuciłem krótko: Wojsko idzie, trąbkę słychać — i uciekałem co sił.

Miałem oczywisty dowód opieki Boskiej, bo, kiedy już siedziałem na koniu i żegnałem się z domownikami, jak z pod ziemi usłyszałem trąbkę wojskową. Pocziwy kapitan, prowadzący oddział, zanim wszedł do wioski, kazał zatrąbić, dając w ten sposób znać, że wojsko się zbliża. Gdyby nie to, że dźwięk trąbki usłyszałem, byłbym się, jak to mówią, w garść dostał, a ze mną koń, broń, papiery, pieczęcie. Oj, ciepłoby mi było, ciepło!

Kiedy się przebierałem, czyli zrzucałem ubranie, wpadł mi w oczy kożuch nie kryty, który też na to,

co miałem na sobie, t. j. koszulę i cztery łokcie płótna, zarzuciłem i szedłem wprost przez wieś.

Wieś była dość duża. Na końcu wsi mieszkał Żyd krawiec; wpadłem do niego; lecz przestraszony mojem wtargnięciem, Żyd tak głośno zaczął krzyczeć, że pozostać u niego było niepodobieństwem, wyszedłem więc na ulicę i w tejże samej chwili zostałem schwytany. Nie robiono sobie ze mną ceremonii: krzyczano, potracano, bito nahajką, a że i ja zacząłem kły pokazywać, otrzymałem więc kilka uderzeń kolbą, które mnie ubezwładniły, i pod groźbą bagnetów zaprowadzono mnie do prowizorycznego aresztu, do karczmy.

W karczmie był tłok i zgietk, gdyż kilku aresztantów przede mną przyprowadzono, każdemu zaś towarzyszył konwój żołnierzy.

Ludzie na całym świecie są ludźmi, różnią się zaś rozumem i nauką. Człowiek zaś prosty, nieoświecony, obcując ciągle z równymi sobie wykształceniem, t. j. wpółdzikimi, jak on sam, może wyróżniać się z pośród otoczenia tylko posiadaniem instynktu, który wskazuje mu, jak ma wobec bezbronnego i słabego postępować.

Otóż, gdy do owej karczmy zostałem przyprowadzony, stałem się przedmiotem naigrawań się i znęcań dla żołnierzy; znalazły się jednak jednostki, które nie tylko że udziału w tem wszystkim nie brały, lecz owszem, pierściami mnie swemi zasłaniały przed brutalnością współkolegów. Nawet jakimś kartoflami, w popiele pieczonymi, poczęstowano mię, które przez grzeczność jadłem.

Kapitan, prowadzący oddział, zajechał wprost

do dworu, dokąd też zaraz z aresztu zostałem przeprowadzony. We dworze spostrzegłem nieład, domyśliłem się, że wszystko przetrząśnięto, lecz jednocześnie zauważyłem, że moi zacni gospodarstwo, pp. Zamojscy, niezbyt strapione mają miny. Ucieszyłem się nadzwyczajnie, gdyż upewniłem się, że przy rewizji nic nie znaleziono.

Znałem całą okolicę, w niespełną godzinę wieść rozeszła się o mojem aresztowaniu i dobiegła do okolicznych dworów; trzy panny, mieszkające w sąsiedztwie, dobre moje znajome, natychmiast przyjechały do Zawad, by wstawić się za mną do kapitana. Kapitan, zacności człowiek — dużo serca później doznałem od niego — nie mógł nic dla mnie uczynić, obawiał się bowiem, że, gdyby był dla mnie łaskawszy, niż to nakazywały jego instrukcje, łatwo mógłby za to ciężko odpokutować, tem bardziej, że kozacy jego oddziału mogli go u jego władzy za denuncyować.

Najbardziej rad byłem, iż przy rewizji nie znaleziono moich papierów. Wiedziałem, iż życie tylu ludzi od tego faktu zawisło! Rad też byłem niewymownie, że, choć polecenia nie spełniłem, nikogo jednak nie naraziłem, nikt na mą lekkomyślność płaćć nie będzie miał powodu.

Kapitan wezwał mnie do siebie. Miałem podpisać protokół. Nie było co kręcić. Przyznałem się do udziału w powstaniu, wymienilem partye i naczelników, pod których komendą służyłem i walczyłem. Zacny i dzielny Mystkowski najpoważniej brany był w rachubę.

Kapitan bardzo grzecznie prowadził indagację.

Rozmawiając ze mną, zwrócił uwagę na kozuch, który miałem na sobie.

— Skąd pan ma taki kozuch? — pytał, śmiejąc się. — Nie bardzo panu w nim do twarzy! To nie pańska własność!

— Panie kapitanie, zimno i chłód nocny zmusiły mnie do zaopatrzenia się w odzież cieplejszą. Zamieniłem moje ubranie na ten kozuch. Od chłopca, jadącego z Przasnysza...

— Pańskiego konia znaleziono w stajni—przerwał mi kapitan, dając znak, że wykrety nie tu nie pomogą.

Odprowadzono mnie do aresztu. Od tej chwili byłem jeńcem wojennym.

Oddział wojska, pod którego opiekę się dostałem, przeznaczony był widocznie do wyławiania partyzantów, bo coś tydzień włóczyliśmy się po okolicy, a ilość aresztowanych z dnia na dzień się zwiększała.

Między mną a kapitanem, prowadzącym oddział, dość dziwnie ułożyły się stosunki. Niewiem, czemu mam to przypisać, ale pan kapitan dziwnie lubił ze mną przestawać: jechał konno najczęściej przy mojej podwodzie, i poczynaliśmy gawędzić spokojnie, jak dobrzy znajomi. Opiekował się mną w podróży jak mógł najtroskliwiej. Gdy zajechaliśmy do któregoś z dworów na nocleg, osobiście prosił, by mi z kuchni dworskiej przysłano jedzenie (reszta współtowarzyszy moich jadła z kotła), żał mu mnie było podobno, tak przynajmniej opowiadał.

Po kilku dniach wędrówki dojechaliśmy do Chorzel. Byłem już tam z Łęczyna. Tenże sam pułkownik, któremu podczas pierwszej mojej bytności zawdzięczałem ocalenie, robił przegląd więźniów; poznał mnie widocznie, gdyż przypatrywał mi się długo. W kilka chwil po przeglądzie zostałem dokładnie obejrzany od stóp do głów przez jakieś podejrzane indywiduum, szpiega zapewne, który miał za zadanie wskazywanie komendom rosyjskim członków żandarmeryi powstańczej. Szczęście, że twarz moja

dość mu się widocznie podobała, gdyż uznał, że udziału w żandarmeryi nie miałem. Pan taki mógł być jednym słowem, z palca wyssanem, skazać mnie na śmierć, gdyż wyroki śmierci na powstańczych żandarmów stale wydawano.

Z Chorzel udaliśmy się do Janowa, gdzie kilka dni nas zatrzymano.

Jednej nocy zostałem wezwany do badania. Wprowadzono mnie do pokoju pułkownika, gdzie zastałem mego znajomego kapitana, towarzysza rozmowy i opiekuna. Zaczynał ten człowiek, chodząc po pokoju, czekał na mnie i, gdy znalazłem się w pokoju, podszedł szybko ku mnie i cicho, wyraźnie powiedział: Śmiało, nie płatać się w odpowiedziach i nie zmieniać pierwszego zeznania! Rzuciwszy mi tę przestrożę, szybko się oddalił. Jednocześnie, z drugiego pokoju usłyszałem głos pułkownika: proszę, dalej do stołu!

Ledwie wszedłem do pokoju, aż tu moi instygatorzy, nie wyłączając pułkownika, na mój widok głośnym wybuchnęli śmiechem. Było ich chyba z ośmiu, a każdy z nich z osobna mnie oglądał i pokładał się ze śmiechu. Nie rozumiałem, czem w tak dobry humor wprowadziłem panów oficerów, jeden dopiero młody jakiś oficer, zanosząc się od śmiechu, wytłumaczył mi, że to kostyum mój tak niezwykle wywołał weselość. Pułkownik uciszył śmiechy i, spodziewając się widocznie wiele ode mnie ciekawych rzeczy dowiedzieć, zaprosił łaskawie do stołu, przy którym panowie oficerowie raczyli się herbatą. Kazał „denszczykowi“ nalać dla mnie szklanek i, gawędząc niby, badał, gdzie był, w jakich partyach,

jaki stopień miałem, wielu przypuszczałnie na tamten świat wyprawilem i t. p. Odpowiedziałem śmiało, com wiedział, gdy zaś pytania dotyczyły wiadomości sztabowych, odrzekłem, że jako szeregowiec, pełniłem rozkazy jedynie, żadnych zaś tajemnic, ani specjalnych wiadomości nie powierza się pierwszemu z brzegu żołnierzowi, nie więc powiedzieć nie mogę. Odprowadzono mnie do aresztu, i na tem indagacya się skończyła.

Z Janowa odstawiono nas do Przasnysza. Konwojem dowodził wachmistrz, który za najświętszy miał sobie obowiązek upić się gruntownie na drogę; za jego przykładem poszli inni szeregowcy, tak że niemal wszyscy żołnierze, konwój składający, byli pijani i nieprzytomni. Nudę drogi skracali sobie strzelaniem do celu, zrazu celem tem były wrony, później jednak przyszło im na myśl, że my, więźniowie, równie dobrze, jeżeli nie lepiej za cel służyć możemy. Osobliwie jeden uparcie do nas strzelać się obiecywał, ledwo go inni, trzeźwiejsi, umitygowali i wepchnęli na wóz, na którym zasnął i szczęśliwie do Przasnysza dojechał.

W Przasnyszu na postoju z miasta nadsyłano nam prowiant, ciepłą strawę. Jakieś nieznane mi osobistości odwiedzały mnie, dopytując się o szczegóły aresztowania. Gniewały mnie te odwiedziny, których celu nie rozumiałem, zapowiedziałem więc, aby nikt nie ważył się mnie nachodzić, gdyż ja nikogo nie znam i znać nie mam potrzeby. Gdy zaś zapowiedź moja nie poskutkowała i zjawił się u mnie jakiś jegomość, powiedziałem mu ostro, pokazując

moje cudaczne ubranie: kożuch zadługi, zarzucony na bieliznę.

— Opiekujesz się pan mną, choć go o to nie prosiłem! Spójrz pan, jak jestem ubrany! Gdybyś pan zawiadomił matkę moją, zamiast nachodzić mnie tu i zanudzać pytaniami, lepiejbyś pan uczynił.

Na drugi dzień otrzymałem przesyłkę z miasta, zawierającą ubranie i bieliznę, co mnie odrazu w dobry humor wprowadziło.

W Przasnyszu byłem wzywany do spisania protokołu, i wkrótce potem odwieziono nas do Modlina. Jakiś młodziutki oficerek prowadził nas przez Ciechanów do Płońska; w Ciechanowie mnie i niejakiego Węgierskiego, stałego odtąd mego towarzysza niedoli, własnym kosztem w restauracyi nakarmił i tak się w nas rozmiłował, że kolegę swego, który od Płońska do Modlina miał nas dostawić, prosił, aby specjalny na nas miał wzgląd. Nasz nowy opiekun, spełniając prośbę kolegi, dał nam na noc osobną kwaterę, przystawiając żołnierza do pilnowania. Żołnierz w nocy zasnął, a nam uśmiechała się możliwość ucieczki. Mój towarzysz, wspomniany wyżej Węgierski, nie miał jednak dość odwagi, by ryzykować, a i ja rozmyśliłem się i postanowiłem nie uciekać, by niewdzięcznością naszemu oficerkowi nie odpłacać.

Rano wyruszyliśmy z Płońska, popołudniu stanęliśmy u celu, to jest w Modlinie. Bez wystrzału wdarliśmy się do twierdzy, zdobyliśmy fortecę! Narazie zadowoliliśmy się redutą, w której... osadzono nas.

Gmach półokrągły, zawierający sześć sal na dole, tyleż na górze, zapelnionych tak szczelnie, że trudno nam było się poruszyć, stanowił nasze locum przymusowe. Ja i Węgierski udaliśmy się na górę, gdzie nieco lepsze znalazło się towarzystwo, i umieściliśmy się, jak na to warunki pozwalały. Odtąd żyliśmy życiem więziennem, monotonnem, jednostajnem, nużącym ze względu na brak swobody.

W Modlinie przebyłem siedm miesięcy. Nie mogę powiedzieć, by życie więzienne przyprawilo mnie o melancholię. Towarzystwo było liczne (około siedmiuset), a choć dość rozmaite, to jednak może tej barwności i różnorodności przypisać należy, że nudzić się nie było można.

Zresztą, każdy więzień, mając dobro ogólne i osobiste na względzie, wydobywał ukryty lub zapomniany talent, który posiadał, i popisywał się nim ku ucieście ogólnej. Nie brakło nam śpiewaków, akrobatów, prestidigitatorów, deklamatorów; graliśmy teatry amatorskie, urządzaliśmy zapasy atletyczne, śpiewy chóralne. Jakimś zręcznym manewrem wydobyte karty skracaly czas tym, co lubili grywać; szachy i warcaby miały wielkie powodzenie, prócz tego gry towarzyskie, szczególnie piłszka, w której celowałem, dużo miały między nami zwolenników. Korzystaliśmy wewnątrz więzienia ze względnej swobody, tem większej, im większe były fundusze, gdyż za pieniądze wszystkiego dostać było można.

Zarząd więzienny wyznaczał na głowę dziennie trzy funty chleba, prócz tego na obiad otrzymywaliśmy zupę, kapuśniak na mięsie gotowany, t. zw.

„szczy“, roznoszony w cebra, tak cuchnącym i brudnym, że niczem się od naczyń, stawianych na noc na podwórzu więziennem nie różnił. Prócz zupy otrzymywaliśmy mięso gotowane w kawalkach, nadziewane na drewniane patyczki, t. zw. „szytyki“. Potrzeba zmusiła nas i tym razem do wynalazczości. Szytyczki, w stanie surowym, to jest tak jak nam były podawane, prawie niemożliwe były do spożycia; wpadliśmy jednak na pomysł przyrządzania z nich potrawki. Zbierało się więc szytyczki z kilku dni, myło dokładnie i pitrasilo w tłuszczu, zbieranym z zupy, a który za drobny datek otrzymać można było od kucharza. Mój Węgierski celował w kucharstwie, najsmaczniejsze przyrządzał potrawki. Uczty potrawkowe bywały kolejno u każdego z nas, w ten sposób stale zapas szytyczków się formował, zaś w razie zupełnego braku można się było zaopatrzyć u kucharza.

Herbaty nie dawano nam wcale. Kilku z pośród współwięźniów miało samowary i ci pozostałym sprzedawali wrzątek za drobne wynagrodzenie.

Z pośród moich współtowarzyszy żaden prócz Węgierskiego, z którym na długo losy mnie wiązały, niczem się nie wyróżniał. Byli, jak się to już powiedziało, między nimi ludzie rozmaici: dobrzy i źli, tych ostatnich jednak bardzo mało. Umieliśmy karać dosadnie każde przekroczenie przeciwko prawu własności; delikwent, obity sówicie, na całe życie pamiętał, że, co cudze — to święte.

Miedzy innymi pamiętam zaaresztowany był i osadzony w Modlinie wspólnie ze mną mój dawny znajomy jeszcze z czasów, gdym w Łęczynie nowym

był na zimowej kwaterze, właściciel majątku Łęczyn stary. Niemłody był to człowiek, przekpisz wielki, osobliwie z rzeczy Boskich nic sobie nie robiący; o siebie mało dbał, cały rok w jednym ubraniu chodził, co miał, między potrzebujących hojnie rozdawał, sam lichy żyjąc i byle czem. Aresztowany, oskarżony o należenie do organizacyi, gdy ujrzał przed sobą widmo szubienicy, którą za udział w organizacyi karano, zmienił się do niepoznania. Z dawnego dowcipnisa i ateusza mrukiem się stał, a cały dzień krzyżem na podłodze leżał i płakał. Skąd mu się tam łzy brały nie wiem, dość, że, gdy wstawał, miejsce, na którym krzyżem leżał, mokre było. Z nikim nie rozmawiał, tylko oczyma badał obecnych, czy czasem komuś wyrok na niego nie wiadomy.

Kpili też z niego, to nowiny o szubienicy, którą jakoby na podwórzu więziennem stawiają, przynosząc, to znów strasząc, iż wyrok śmierci już na niego wydany. On, nie nie odpowiadając, znów krzyżem na ziemię padał i płakał, modlił się, żeby to Bóg odmienił. Raz jakoś pamiętam, wezwano Węgierskiego do badania; na badaniu usłyszał Węgierski, iż nasz pokutnik, zamiast na karę śmierci, na osiedlenie skazany, o czem po powrocie do reduty zaraz opowiedział. Pan z Łęczyna humor odzyskał odrazu. Z podłogi się podniósł, krzyżem leżeć przestał, natomiast dowcip mu wrócił, i odplącał teraz z naddatkiem tym, co przedtem z niego pokpiwali. Dziwnej zręczności to był człowiek; najsilniejszych sztuką jakąś kładł na ziemię, czem sobie na uznanie ogólne zasłużył.

Dużą rozmaitością w życiu więziennem były tak zwane „swidania“, t. j. widzenia się z odwiedzającymi, które regularnie dwa razy na miesiąc się odbywały. Wywołują nazwisko danej osoby, prowadzą do miejsca, umyślnie na ten cel przeznaczonego, wprowadzają pojedynczo do pokoiku, przegrodzonego dość gęstą siatką, i po stronie więźnia staje zwykle podoficer, lub żołnierz, z drugiej zaś strony siatki staje osoba odwiedzająca i komendant placu lub jego pomocnik. Treść rozmowy ściśle jest cenzurowana, równie ruchy rozmawiających poddawane są ścisłej kontroli. Więźniom niewolno podawać przez siatkę żadnych przedmiotów, pieniędzy i t. p.

Jednak kilkakrotnie udało mi się odebrać przez siatkę po kilka rubli, co się dotyczy bielizny, produktów spożywczych, rzeczy zbytku przeważnie jak np. herbatę, cukier, kielbasy, szynki, pieczenie, ciasta, bułki, te produkty po przejrzaniu ścisłem, zrewidowaniu—więźniowi oddawali. Matka moja staruszka kilka razy tylko mnie odwiedziła, zwykle siostra przyjeżdżała.

Nadchodziła Wielkanoc. W wielkim tygodniu wypadało „swidanie“. Przyjechała siostra, i z tej racyi zawezwano mnie do mównicy. Po przywitaniach, wiadomościach z domu, których mi siostra udzieliła, oświadczyła mi, że jest dla mnie koszt o dwóch uszach od bielizny ze święconymi różnymi produktami, których, rozumie się, nikt nie byłby w stanie sam jeden zjeść, to też kilka dni trwać mogła uczta świąteczna z towarzyszami; prawdopodobnie na to też było rachowane.

W czasie naszej rozmowy siostra papierek pię-

ciorublowy, zwinięty w trąbkę, podała mi przez siatkę. Bystre oko mojego Argusa tę manipulację dostrzegło; w tej chwili rękę do czoła: „Wasze Prewoschoditelstwo, deŋgi podany!“ Słyszając to, w tej chwili ów papierek upuszczam na podłogę i nogą nań nastąpiłem. Plackomendant natychmiast siostrę odsunął od siatki, całe „swidanie“ wstrzymał, przeszedł na moją stronę i ścisłą zrobił rewizję. Nieszczęsna moja godzina! Tego papierka, podawanego mi przez siostrę—rozstap się, ziemio—przepadł! ani sposób znaleźć.

Miałem na sobie szkaplerz i w tem zaszytych było kilka rubli. „Co to jest?“ „Szkaplerz“. „A świętości! Rozpruć, co jest we środku? Co ten święty taki gruby; czego on napeczniał?“ „To tak zwana sukienka M. B.“ „Rozpruć, zobaczmy ową sukienkę. Musi być z grubego materiału, kiedy taka gruba!“ Rozpruta. „To takie są u was świętości, a toż to u nas jest dziesięć rubli, a u was sukienka? Ja to zabieram—nie wolno pieniędzy mieć przy sobie, a M. B. może się obejść bez takiej sukienki!“ Ot i święta tak wiele obiecujące!

P. plackomendant rozkazał natychmiast zaprowadzić mnie do tak zwanej „ciemnej“, a koszt z owymi produktami zanieść do swego mieszkania dla zrewidowania, czy przypadkiem niema w nich jakich ważnych dokumentów.

Prowadzą mnie do ciemnicy: drzwi się otwierają—wchodzę—ciemno, jak w grobie, ale słyszę parę głosów, rozpatruję się i pytam: „Jest tu kto? bo nic nie widzę!“—Głosy: „My jesteśmy“ — „Dużo was jest?“ — „Dwóch!“ — „A ja trzeci?“ — „Tak.“

Po niejakej chwili wpatruję się, można było rozpoznać przedmioty.

Cela była niewielka, prawie, że na trzy osoby; okienko, jak to zwykle w piwnicach, tylko, że bardzo wysoko i mocno okratowane, nadto szyldwach ciągle koło niego chodził, gdyż stapanie ciągle było słyhać. „Co słyhać? skąd? jak? co się stało?“ — krzyżują się pytania i odpowiedzi. Puk, puk, w ścianę. „Co to jest, ktoś puka?“ — „Telegraf“, odpowiada jeden z towarzyszy i przystępuje do ściany. Pukania trwała jakiś czas obopólna. „Co on chce?“ „Powiada, że był dzisiaj do wyroku, skazany został na karę śmierci przez powieszenie.“

Dopiero mnie objaśniają, że te cele są wyłączne dla tych, którzy się kwalifikują na karę śmierci, a przynajmniej na długoletnie ciężkie roboty.

Pomyślę sobie, toć przecież takiej zbrodni nie popełniłem, ażeby do tej ostateczności przyjść miało! Z tem wszystkiem cela ta przyjemnego wrażenia na mnie nie zrobiła; trzeba było jednak się z losem, jaki sobie mimowolnie zgotowałem, pogodzić. Całe więc święta niczem się dla mnie jako i dla wszystkich nie odznaczyły.

Późno już wieczorem tegoż dnia niefortunnego przyszedł do nas praporszczyk, t. j. gospodarz więzienia, pytając mnie, co się właściwie stało z pieniędzmi, „bo, jeżeli Pan ma je przy sobie — powiada — no to dobrze. Ja ich ani odbiorę, ani też doniosę. Ale jeżeli tam gdzie zostały, toć to szkoda, trzeba ich poszukać. Jeżeli się znajdują — oddać ich panu nie mogę, boby mnie oskarżyli, ale kiedyś to je panu oddadzą.“ — „Porzuciłem je na podłogę, tam

muszą leżeć; żeby poszukać ze światłem, toby i znalazł“. — „A więc kiedy tak, to chodźmy szukać!“

Żołnierze z karabinami stanęli rzędem na korytarzu, abym przypadkiem nie czmychnął, i z praporszczykiem i kilkunastu żołnierzami poszliśmy szukać. Oni chodzili na czworakach po podłodze, szukali i powiadają, że niema, ja zaś zaledwie przyszedłem w to miejsce, gdzie pierw stał, przypatrzyłem się dobrze i zaraz w szparze podłogi dostrzegłem w tutkę zwinięty papierek. „Oto są tutaj, wydłubawszy je — pokazuję. Co to za dziw był, że oni i poprzednio jeszcze szukali i teraz, a żaden nie dostrzegł pieniędzy.“

Trzeciego dnia na korytarzu dał się słyszeć większy ruch, po chwili otwierają się drzwi i wchodzi placcomendant, a za nim wnoszą ów kosz ze święconem. Wypowiedział mi admonicę, już nie pamiętam na jaki temat, zapewne, żeby, jeśli drugi raz przez siatkę pieniądze będę odbierał, to mam to czynić ostrożniej, aby nikt nie dojrzał. Zawołał prapora, aby dał markę, oraz dwóch żołnierzy, aby mnie do reduty odprowadzili oraz przesyłkę za mną odwieźli.

Kiedy stanąłem na miejscu, przywitania, zapytania, tłumem się do mnie cisnęli koledzy; mnie się tak jednak zdawało, że to niekoniecznie za moją osobą tęsknota ich do mnie ciągnęła, ale kosz więcej ze swoją zawartością, pociągał. A więc zaraz zawołałem, ażeby herbata była, i w te pędy do rozpakowania kosza się wziąłem.

Horrendum! co to jest? Kawa pomieszana z herbatą, baby, placki pokruszone, nie można było roz-

poznać, co babka, a co placek. Szynka pokrajana na kawalki, kielbasy porozrywane. Były i mazurki, ale z tych tylko proszek pozostał. Słowem, taki bigos, że nie było sposobu jednej jakiej części oddzielić od drugiej. Części stałe, jak mięsiwa np., to się więcej kupy trzymało, że w tem jakaś większa jedność i zgoda zauważyć się dało, tylko obficie okruciami z ciasta były obsypane, co zaś do tego ostatniego, straszne rozprężenie, żadnych stałych części, wszystko — okruczy. Cała zawartość kosza prawie że za jednym zamachem do dna wytrząśnięta została.

Wiele to takich koszy byłoby potrzeba, aby choć w części wszystkim się dostało. Tymczasem i tem musieliśmy się zadowolić.

Tak to schodziły dni, tygodnie i miesiące, do uprzykrzenia. Kiedyniekiedy jakaś między nami szczerba się zrobiła, to kogoś wywieźli na Sybir czy do innej kaźni, to znów niespodziewanie wywołali i gdzieś się zaprzepaszczal, i nikt nie mógł ani wiedzieć, ani się domysleć, co się z nim stało. Dwa razy na tydzień była większa „odprawka“, przeważnie na Sybir. Wysyłanym zazdrościło się, boć zamknięcie pod mocnym dozorem wielce się przykrzyło.

W całym tem naszym zgromadzeniu ciągle się ludzie zmieniali. Jednych wywożono, innych gdzieś zaprzepaszczano, być może, że i puszczano i na odwrót znów innych przywożono. Ciągły więc był przypływ i odpływ ludzi.

Wobec tego rozmaici też tam byli, ale moge otwarcie powiedzieć, że dużo wśród nich było szubrawców.

Razu jednego podchodzi do mnie jeden z bliższych towarzyszy i powiada: — „Wiesz, kiepska sprawa! Łazi tu jakiś niedawno przywieziony i powiada, że ciebie zna, żeś był w żandarmach“. — „W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen. A co on się wściekł, czy oszalał! A gdzież to on mógł mnie w żandarmach widzieć?“ — „Powiada, żeś był na koniu w Szreńsku i że widział ciebie, jakieś rozkazy wydawał drugim, co przyprowadzili jakiegoś niby to szpiega, i tego kazaleś powiesić“. — „Bój się Boga, człowieku, nigdybym nikogo, największego wroga nawet, nie kazał wieszać, moja natura tego nie znosi. Przywidziało mu się! Bój się Boga, wytłómacz mu to. Ja z nim wcale nie chcę rozmawiać“. Taka to przyjemność mnie miała spotkać.

Tłómaczyli owemu jegomościowi, że nieprawda, że się pomylił. On zaś ciągle twierdził, że tak, że mnie widział. Całe moje szczęście, że niezadługo został wywieziony.

Na pożegnanie przyszedł do mnie i w oczy się z tem oświadczył. Nie chce korzystać z tego, powiada, gdyż wie, żeby mnie zgubił. Miałem dwa ruble przy sobie i te dałem, mówiąc: „Mój bracie! to ci się przywidziało, nigdy żandarmem nie byłem i nigdy nikogobym nie wieszał. Co mam, to ci oddaję, a to, co mówisz, to fałsz!“ On zaś odpowiada, że nigdy go nikt nie przekona. — „Bo ja z pewnością pana widziałem!“ No i co na to było począć! W sądzie uwierzyliby i najniesłuszniej, najniewinniej na śmierć skazali, jedynie skutkiem widzi mi się kpa jakiegoś.

Wreszcie wezwali nas, t. j. mnie i Węgierskiego,

do wyroku, skazującego nas na osiedlenie na czas nieograniczony do wschodnich gubernii syberyjskich. Radziśmy byli, że przecież niezadługo nas z tej dziury wywiozą — niestety — jeszcze blisko półtora miesiąca trzeba było poczekać. Zasilek pieniężny po tem niefortunnem odebraniu od siostry dwa razy odebrałem od jakiegoś jegomościa, nie przez niego bezpośrednio, lecz przez poczciwego praporszczyka, który to zapewne jakąś część i dla siebie miał ofiarowaną, ale resztę sumiennie mi doręczył.

Dłuższy już czas nikt do mnie nie zajrzał, nie wiedziałem, co by to znaczyło, kiedy jednego razu, nie w czasie, naznaczonym dla widzenia z rodziną, lecz w dzień zupełnie zwyczajny, wezwano mię do kancelaryi. Różne przedstawiłem sobie okoliczności, i różne przypuszczenia przychodziły mi do głowy, ale na szczęście nic złego się nie przydarzyło, tylko wezwany byłem dla widzenia się.

Kiedy wszedłem, zobaczyłem za siatką matkę we łzach. Po przywitaniu powiedziała mi, że sama jest teraz zupełnie, bo siostra za jakieś tam dowiedzione czynności aresztowana została. Podając mi czapkę niepozorną, powiada do mnie: „Przywiozłam ci czapkę“, kiedy zaś wspominałem, że mam i lepsze i porządniejsze, odrzekła: „Weź i tę, może ci się przyda“, wreszcie dodała: „Uważaj w lampasie, może ci będzie dogodna!“

Czapkę wziąłem, pożegnałem się i wróciłem do siebie. Po powrocie, jak zwykle, pytań co nie miara. Odpowiedziałem, że do widzenia się z matką byłem wzywany. — „A to rzecz ważna zająć musiała, kiedy pozwolili na widzenie się!“ — „Jak w domu na-

szym, to ważna“. — „A co to za czapka?“ — „Matka mi przywiozła, ale nie jestem z niej zadowolony“. — „To daj mnie“, powiada niejaki Osłowski. Pomyślałem chwilę. — „Czy nie masz?“ mówię. — „Mam, ale bardzo licha i bez podszewki“. — „Nie, tej ci nie dam, ale mam lepsze. Masz tę oto“. I tę niepozorną czapczynę zatrzymałem przy sobie.

Jaki ja byłem niedomyślny! Później się okazało, że w niej były w lampasie trzy papierki po dwieście rubli.

Nareszcie w pierwszych dniach września, do „odprawki“ pomiędzy innymi i ja, oraz nieodstępny satelita, t. j. Węgierski, byliśmy wywołani.

Co to za ulga! Takie monotonne życie, urozmaicone tylko wywoływaniem do sądu, czy też do wyroku, mocno mi dokuczyło. Tych, z którymi się żyło i których myśli były z naszymi jednakie, coraz to mniej, pusto było dokoła mnie. Nic dziwnego, że coraz bardziej czułem się przygnębiony. Usposobienie moje, zwykle żywe, ruchliwe, zmieniło się w sentymtalne, melancholijne. Całemi godzinami mogłem przez sale chodzić, niby z myślą, a właściwie bez myśli. Szamotałem się, jak ptaszyna, świeżo do klatki wsadzona, szukająca gdziekolwiek wyjścia. O swobodzie nie marzyłem, ale duch mój buntował się.

Jeżeli się nie mylę, dnia 5-go września wywołali nas do „odprawki“ do Cytadeli w Warszawie. Serdeczne było pożegnanie ze współtowarzyszami. Niektóre rzeczy zbyt kosztowne, które służyły przez ciąg siedmiu miesięcy w Modlinie, jak: miseczki, szklanki, spodeczki oraz coś z ubrania, potrzebującym więcej,

zostawiliśmy, ostatni raz napiliśmy się herbaty i jeszcze raz pożegnali.

Wreszcie wszyscy wywołani wytoczyliśmy się na dziedziniec więzienny, ustawili parami, porachowali nas, jeszcze raz sprawdzili obecność każdego, otoczyli wojskiem. Bramę otworzyli, i wszyscyśmy się na zewnątrz bramy znaleźli. Sądziliśmy, że będziemy mieli podwoły, tymczasem przeszliśmy most, podwód ani śladu, a więc każą tych parę czy kilka — bo nawet nie wiem wiele — mil iść piechotą. Niektórzy z pośród nas, a pomiędzy innymi i mój Więgierski, co mieli cięższego na sobie, przechodząc przez Nowy Dwór, rzucali na ulicę. Co się z temi rzeczami stało, tego nie wiem. Thumy ludu, przeważnie żydowstwa, wyległy na ulicę, kiedy nas prowadzono, zapewne oni pozbierali.

Oddział jakiś major prowadził; tegi był, przysadzisty, marsowaty, nieprzystępny, a nadewszystko nie mający na nic względu. Jeżeli kto całkiem zemdlał, że nóg nie mógł zbierać, to, pomimo że kilka podwód szło za nami, siadać na nie nie pozwalał; dopiero jak się przewrócił na drodze, wtedy z wymysłami kazał wsiadać na podwoły.

Otóż taki to jegomość prowadził nas. Zdaje mi się, że pod wieczór przybyliśmy do tak zwanego „Fortu Śliwickiego“.

Rozmyślenia moje, podczas których tak biegalem w Modlinie po salach, tu mi się przydały! Nogi do chodu były wprawne, przez co mi tak nie dokuczała owa przymusowa przechadzka. Ci zaś, co podobnych ćwiczeń zaniedbali, w drodze poprostu

przewracali się, iść nie mogli. W Forcie Śliwickim, zdaje się, niedługo nas trzymano; po kilku dniach wyprowadzono nas na brzeg Wisły i tam kazano do przygotowanych łodzi wsiadać.

Cicho było i pogodnie; w przeciwnym razie ciężar trzydziestu ludzi (po tylu mieszczono w jednej łodzi) mógłby łódź zatopić. Burty równiuchno były z poziomem wody, najmniejsze chybnienie, a nabrałoby się wody do łodzi, a co za tem idzie, i utonięcie jej byłoby nieuniknione. Nie wiem jak kto, ale ja pływać nie umiałem, na to więc wspomnienie i dziś po tylu latach coś przechodzi po ciele, jakby widmo jakieś niedobre, które się odpycha, by nie zakłóciło spokoju biegu myśli.

Szczęśliwie jakoś dobiliśmy do przeciwnego brzegu, tuż pod Cytadelą, dokąd też nas zaprowadzono. Nie mogę opowiedzieć, jakie wrażenie mogła na mnie zrobić ta twierdza, bo dziś ani dobrze pamiętam, ani też wtedy się jej przyjrzałem, zamknięty też nic nie widziałem. W każdym razie jeszcze nam tam zeszło kilka dni.

Dnia 16 września, po południu o niczem nie wiedziałem, ani też nie przewidywałem, kiedy raptem otwierają się drzwi i wchodzi dorożkarz z walizką, stawia ją na podłodze. Zdażyłem tylko przeczytać na wierzchu wypisane dużemi literami: „Stanisław Plichta“, kiedy w tej chwili wpadli żołnierze i dorożkarza za kark wyrzucili.

W każdym razie już wiedziałem, że ktoś przyjechał, aby się ze mną pożegnać i na drogę opatrzyć. Wkrótce też wszedł oficer i mnie wywołał.

W sali, dokąd mnie wprowadzili, oprócz różnych stopni wojskowych i warty, zastałem wysokiego mężczyznę, już wiekowego, studenta z gimnazjum i matkę. Ów mężczyzna i student byli to: p. Wołowski, właściciel kilku kamienic w Warszawie na rogu Grzybowskiej, a matki mej wielki przyjaciel, z synem.

Zaraz na wstępie wystąpiłem z pretensją do matki, że tak dawno jestem bez grosza i musiałem żyć tylko wstrętnem więziennem jedzeniem.—„Jak—to—tak prędko jużes wydał trzydzieści rubli?“—„Jakie trzydzieści rubli, kto mi je dał?“—„Ja sama ci je przyniosłam w czapce, masz tę czapkę?“—„A ot ona, mam ją w ręku!“ W tej chwili odpruwać lampas, a tam leżą rzędem trzy dziesięciurublowe papierki. Wartownicy, widząc to, ogromnie się dziwili, że pieniądze miałem przy sobie, a nie o nich nie wiedziałem. Na „odprawkę“ już wolno było pieniądze mieć przy sobie i odbierać je od odwiedzających, przeto matka zaopatrzyła mnie, o ile mogła, na drogę.

Interesy finansowe matki mej już były poważnie zachwiane, starania różne o uwolnienia, osobliwie siostry, ciągle rozjazdy, wsparcia różnych potrzebujących oraz różne, przeróżne, a nieprzewidziane wydatki, jak w owej chwili, często się przytrafiające, zrujnowały ją prawie do szczytu; mimo stoicyzmu posunęła się też bardzo i postarzała.

Jeden ze starszych oficerów, obecnych przy widzeniu się z matką, odezwał się, aby się śpieszyć, gdyż już czas. Wtedy matka, nie roniąc łzy, odzywa się do mnie: „Dotychczas nie mam powodu być z ciebie niezadowoloną, co było w twojej mocy i za-

leżało od ciebie—spełniłeś i wywiązałeś się z poleceń z honorem. Nie wiem, czy Bóg pozwoli, aby moje stare oczy ciebie jeszcze oglądały, ale gdybyś miał zejść z drogi, choćby to nawet była i cierniowa, jaką do dziś kroczyłeś, nie daj Bóg, bym cię kiedy widzieć miała! A teraz przyjmij to ostatnie moje błogosławieństwo!“

Przy tych słowach padłem jak długi matce do nóg i zalałem się łzami. — „Wiesz, że jesteś Polakiem, i to błogosławieństwo moje niech ci będzie na drodze życia twego pancerzem od wszelkich niegodnych pokus, ale tylko w tym razie, jeżeli zawsze takim, jak dotąd byłeś, pozostaniesz. Bądź zdrów, jedź z Bogiem! W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.“

Wstałem, pożegnałem się, ucałowawszy ręce obojga starców, i wyszedłem. Już nic więcej z pod łez nie widziałem, tylko, że podeszło dwóch oficerów do mnie i, podając mi ręce, powiedzieli: „Jedź pan z Bogiem. Da Bóg, wrócisz szczęśliwie“.

Po siedmiu latach matka mi opowiadała, że przy pożegnaniu i błogosławieństwie oficerowie, a nawet wartownicy obcierali łzy, tak ich to rozrzewniło.

W nocy z 16 na 17 wyprowadzono nas piechotą na kolej. Całe miasto było uśpione; na naszej drodze żadnego, najmniejszego ruchu, ani pieszych, ani konnych się nie spotykało, tylko w czasie naszego pochodu często się lufciaki otwierały, to światło zabłysło, to chustką białą powiewano, takie to były oznaki, że w domach żyją ludzie i że są nam

blizy, choć tym sposobem wyrażając nam swoją sympatyę oraz współczucie.

Nocleg czyli resztę nocy przepędziliśmy na Pradze przy kolei. Dnia 17 września zaraz rano nie pojechaliśmy, jakoś się zwlokło blisko do południa z formalnościami. Wreszcie przyszedł oddział żandarmów, ustawiono nas rzędem, żandarmów podobnie i wywoływano: jednego z naszych i jednego żandarma, który obowiązany był strzedz i prawie że obsługiwać danego zesłańca, aż do samego Tobolska. Nareszcie podszedł przeznaczony pociąg z bydlęcymi wagonami, czy może już specjalnie do tego przeznaczonymi, nie wiem. Żandarm musiał wiedzieć o mnie i o moich rzeczach, przeto o walizę moją nie miałem potrzeby się troszczyć. Wsiadliśmy, nie widząc świata — pojechali.

Dnia chyba dopiero trzeciego na południe stanęliśmy w Petersburgu.

Już nas do żadnych dziur nie zaganiano, tylko na dworcu w poczekalni do zmiany pociągu zatrzymano.

Zanim zmieniono pociąg, bardzo wiele wysoko położonych i dekorowanych osób do nas przychodziło: wojskowych i dam; czego oni chcieli, czy znajomych szukać, czy współczucie nam okazać? — dziś nic o tem powiedzieć nie mogę.

Wreszcie pociąg podszedł i nas wyprowadzili. O dziwo! wagony trzeciej klasy, przyzwoite, prosto z pod stempla, przynajmniej świat się widzi i wie się, że się żyje, a w ciemnych wagonach wyobrażało się połową w grobie. Niedługo światłem i okoli-

cą można się było nacieszyć, gdyż noc wkrótce zapadła i świat zakryła.

Cała droga nasza niczem się nie odznaczyła; rano byliśmy w Tweri, a chyba na wieczór w Moskwie. Moskwa, „matuszka Rossii“! Tam nas przetrzymali dziesięć dni, po co, dlaczego? Skądże ja mogę wiedzieć; żeby przynajmniej można było po mieście chodzić, ale zapakowano nas do jakiegoś kąta, nie się przeto nie widziało; prowianty można było sprowadzać, jakich kto potrzebował, gdyż nie dawano nam życia więziennego, ale pół rubla dziennie na głowę, które dawano na ręce. Drogo to wszystko kosztowało, gdyż strasznie z nas darli posługacze, osobliwie, jadąc koleją, drugie tyle trzeba było dokładać.

Wreszcie wyprowadzono nas wprost na dworzec kolei Niżninowgorodzkiej. Trochę można było przyjrzeć się miastu. Niektóre ulice przyzwoite, domy podobnie, tylko miasto nadzwyczaj rozwlekłe. Parkanów moc, cerkwi jeszcze więcej. Przeważnie: cerkiew, parkan, kamienica piękna, kilkupiętrowa, cerkiew, kamienica, parkan. Rzadko, żeby kamienice wciąż ze sobą się łączyły, tylko ciągle przegrody, a już cerkiew to prawie że co drugi dom. Mieszczanie często wypadali z domów, widząc prowadzonych aresztantów, i dawali jałmużnę.

Już to, co prawda, że chyba w żadnym kraju, ani u nas nawet takiego miłosierdzia dla więźniów, jak w Rosyi, nie znajdzie. Przez ten czas, cośmy byli w Moskwie, pieczywa nie potrzeba było kupować, gdyż codzień kosztami nam znoszono tak, że

i żandarmi nasi mogli z niego korzystać. U nas w kraju nie podobnego nie zauważyłem.

Nareszcie doszliśmy do dworca, wprowadzili nas na salę pierwszej klasy. Publiczności niewiele, ale co za różnorodność! Rosjanie, Tatarzy, Czerkiesi, Żydzi „cybulizowani“! jakie typy, kostiumy! Prawdziwie świat wschodni, w którym przeważnie reprezentowana była Azja.

Pod wieczór wsadzono nas do wagonów, i całą noc jechaliśmy do Niżnego. W nocy po ciemku nie było widać okolic; tylko wagony miejscami i to dosyć często tak się nachylały, że zdawało się, jakby się przewracały, zapewne położenie musi być górzyste i zakrętów dużo.

Rano stanęliśmy w Niżnym, i prosto z dworca zaprowadzono nas na pocztę. Tam wypadło nam dłuższą chwilę poczekać na podwozy czyli właściwie tak zwaną pocztę. Jechało nas dwudziestu czterech—i pomyśleć, co to zachodu dla tych kilkunastu ludzi! Trzeba trzymać podwódy, składających się z „powózki“ krytej, w trzy konie zaprzężonej. W każdej powozie siedział: „jamszczyk“ na koźle, dwóch zesłańców i dwóch żandarmów, w ostatniej zaś podwodzie jechał z nami od samej zdaje się, jeżeli się nie mylę, Moskwy — pułkownik.

Jak ja przeklinałem mojego żandarma za te wszystkie „powózki“! Bo to proszę sobie wystawić pokrakę, na przodzie o wiele wyższą, niż na zadzie, bez resorów, krótką, tak zwaną „telegę“; gdy się jedzie na niej, każdy flak wewnątrz wyskakuje ze swego miejsca, płacze się, i trzeba dłuższego czasu,

ażeby napowrót wszystkie na swoje miejsca trafiły. Na domiar złego owa „powozka“, czyli nakrycie powozowe, prawdziwa buda, jest tak niska, że tylko leżąc albo też bezpośrednio siedząc na dnie można jechać; wtedy jednak trzeba nogi mieć w górze, a pozycję siedzącą wpuścić głęboko, co jest fizycznym niepodobieństwem.

Przy szybkiej jeździe proszę sobie przedstawić figurkę z nogami w górę podniesionymi, w rozmaitych podrygach skaczącą.

Ja kładłem walizę w miejsce siedzenia, którego tam nie znają; ale trzeba było z głową ostrożnie i ciągle być w pałąk zgiętym, gdyż wystarczało zapomnieć się i chcieć wyprostować, a wtedy następowały szybkie jedno po drugim, o twarde budy żebra uderzenia, nadzwyczaj bolesne. Tortury prawdziwe trzeba było znosić.

Co ja też swemu żandarmowi nawymyślałem! on siedział cicho; widocznie kazano mu pilnować mnie tylko, a zresztą na wszelkie wyskoki, osobliwie ustne, nie zwracać uwagi.

W każdym razie moje wymyslania miały swój skutek! Trafiały się tak zwane tarantasy, były one po większej części bez budy, na drążkach, które to resory zastępowały, podczas jazdy tylko się buja w tych tarantasach. Mój żandarm, naglony moimi wymysłami, szybko zeskakiwał z kozła na postojach i dążył pomiędzy furmanki. Jak zobaczył „tarantas“, już go nie puszczał; walizę ustawiał, zadowolony, mnie sprowadzał i sam się sadowił.

Rozumie się, że przecie i jemu chyba było przyjemnie wygodnie jechać, to i dla siebie to ro-

bił, a że żandarmów było dwóch, jak się rozbiegli, to zawsze, jak nie jeden, to drugi wynalazł nam tarantas. Pułkownik zaś, co z nami jechał, miał swój powóz europejski, w Niżnym na całą drogę do Tobolska najęty, tylko konie mu zmieniano.

Jechaliśmy dzień i noc, rzadko się zatrzymując na spoczynek czy pożywienie, gdyż była to właściwa poczta i tylko zatrzymywaliśmy się na stacyach pocztowych, na których już konie stały i czekały na nas. Rzeczy przekładali—i dalej jazda! To też ciągle się drzemało. Za ręce z Węgierskim związaliśmy się, by przy szalonej jeździe który nie zleciał, zresztą żandarmi nas strzegli, jak oka w głowie.

Tak więc przejechaliśmy przez Perme, dosyć duże i rozległe miasto. Świat nam się zupełnie zmienił, gdyż wjechaliśmy w kraj z dziwną kulturą; tyle różnych typów, narodowości z mową gardłową, a brud i niechlujstwo na każdym kroku spostrzedz było można. Wieś każdą zaduch oznajmiał, że węchem ją poznać można było.

Była to okolica, w której mieszkał lud, zwany Altajskim, a zamieszkujący przeważnie kraje północnej Syberyi. Brzydki to był naród: gęby płaskie, z nosem szerokim; kobiety przeważnie po męsku chodziły, bardzo często trójką koni z nami jechały, powożąc bardzo dobrze. Są wsie mahometańskie, to znów niby to prawosławne, ale wszystkie zwyczajne i obyczaje podług wyznania mahometańskiego zachowujące lub też szamanizmowi hołdujące.

Po tylu latach nie można pamiętać miejscowości, przez które się przejeżdżało, nie będę więc opowiadać tego; zupełnie mi to z głowy wywietrzało.

Nareszcie wjechaliśmy w góry Uralskie, zdaje mi się, że po drodze mineliśmy pomnik na pamiątkę jakiegoś polowania, wreszcie, o ile sobie przypominam, słup graniczny, oddzielający Europę od Azji. A więc jesteśmy w Azji właściwej.

Mój Boże, gdym był w gimnazjum i uczył się o drugiej części świata, gdzie młoda imaginacya błądziła! wiele ludów, a wszystkie to takie dziwnie dzikie, barbarzyńskie przed oczami się widziało! Jestem w tej kolebce rodu ludzkiego, podług zasad biblijnych. Narazie nie mogłem odnaleźć różnicy w krajach, którymi przejechałem; wszystko jednakie, tak to, jak i tamto — Azya!

Góry Uralskie! Imaginacya moja wyobrażała sobie, że trzeba będzie wspinać się aż pod niebiosa, pełno przepaści, myślałem sobie, a ja do zawrotu głowy skłonny jestem. Być może, że w innem miejscu tak jest, tu zaś, gdzie nam jechać wypadło, nic podobnego zauważyć się nie dało. Ot, zwyczajne wyniosłości, to niższa, to wyższa, dosyć przykre i spadziste, ale nigdzie, żeby niebezpieczeństwem grozić miały, lub też żeby przejechać końmi nie można było.

Koniki permskie drobne, wytrzymałe, a zwinne, biegły, jak szalone, „z górki na górkę“, że łbów nie poskręcały, albo nóg nie połamaly, to godne zastanowienia, gdyż im bardziej pod górę, tem bardziej jak oszalałe pędziły, i ani się spostrzegłem, jak już się było na górze, z której znów szalonym pędem wdzierały się na następną owe koniki—i tak dalej. Wszystko dokoła lasem porośnię, pola przy

drodze uprawnego możem nie zauważył, a może też niema go wcale.

Pierwsze miasto, które przyzwoite na nas wrażenie zrobiło w tych górach, był Ekaterynburg. Jak na taką dziką ustron, Ekaterynburg zupełnie przypominał Europę. Kamienice kilkupiętrowe, liczne fabryki, zarząd główny zakładów górniczych uralskich, skład główny drogich kamieni, z których tu wyrabiają rozmaite przedmioty, obserwatorium, szkoła górnicza oraz liczne inne zakłady.

Dalej zaś po drodze widzieliśmy miasto Tiument, nad ładną i dużą rzeką Turą położone. Miasto dość obszerne i słynne z jarmarku, najświetniejszego na całą Syberyę.

Od Tiumentia niedaleko już do brzegów rzeki Irtysza. Noc była czysta, gwiazdzista, mroźna i wietrzna. Mieliliśmy się przeprowiać promem, jak zwykle dotąd przeprowialiśmy się. Tymczasem zatrzymali nas nad rzeką. Co się stało? Nie można jechać przez rzekę. Dlaczego? Rzeką marznie. Dzień się już robi, wychodzimy wszyscy nad rzekę, przyglądać się przeprowie. Mróz taki, o jakim nie miałem pojęcia; ze wschodem słońca potęguje się, do tego dmie wiatr.

Kiedyśmy przyszedli nad rzekę, gdyby nie widok wspaniały, który nas zatrzymał, każdy uciekałby, gdzie pieprz rośnie. Obszar wód niezmierny, bałwany biją i te fantastyczne, w przeróżne figury strzały, o przecudnych formach floresy w powietrzu marzną. Miejscami już do snu zimowego w biegu wody zatrzymane, miejscami zaś jeszcze walczą fale, ale te już wkrótce ulegną.

Co za widok wspaniały, kiedy fala chce rozbić skute wód bałwany, one zaś o lodową powłokę się rozbijają w cienkie pasma, w górę wytryskujące, które w oka mgnieniu marzną i tak zastygłe do wiosny pozostają! Proces zamarzania rzeki tak się szybko odbywa, że mieszkańcy twierdzą, iż, jeżeli do wieczora mróz potrwa, to na noc można jechać bezpiecznie przez rzekę. Mróz rzeczywiście nie tylko nie zmniejszył się, ale spotęgował. Rzeką wkrótce na całej przestrzeni skuta była w lodowe okowy, aleśmy tego dnia nie pojechali.

Na drugi dzień rano z wszelkimi ostrożnościami w dalszą pusciliśmy się drogę. To też, wynagradzając ten przymusowy odpoczynek, prawie bez wytchnienia dojechaliśmy do Tary, obszernej, drewnianej mieściny, stamtąd zaś siedemnastego dnia podróży, licząc od Niżnego, dojechaliśmy do Tobolska.

Sanna już bogata była i mrozy niegorsze. Dojeżdżając do miasta, mój jamszczyk się odwraca i mówi: „Ten gubernator jest Polak, ale zły! Broń, Boże, jakie nieporządki, srogo karze! Ty „barin“ się strzeż, bo może być źle!“ — „A prędko dojedziemy?“ — „A ot zaraz“. — „Pułkownik z „powózki“ wyszedł i idzie, pewnie, że gubernator już jedzie, bo on często tak sam partyę spotyka“ — dodał po chwili.

I rzeczywiście widać było zdaleka naszego pułkownika salutującego i opodał gromadkę umundurowanych. Jeden z pomiędzy nich po cywilnemu był ubrany, można się było domyślić, że właśnie ów cywilny jest gubernatorem. Po co on ze swoją świtą wyszedł naprzeciw i po takim głębokim śnie-

gu kopał się, nie miałem pojęcia. Myśmy z sań nie zsiadli; cała gromada gubernatorska stanęła na boku, mineliśmy ich i w ogrodzenie więzienne wjechali, wysiedli, według zwyczaju ustawili się w szeregi, porachowali nas, nareszcie każdego z imienia i nazwiska wywołano i do sali więziennej odprowadzono.

Gubernator niedługo kazał na siebie czekać; niespodziewanie ze swymi satelitami się zjawił w naszej sali, przeszedł pomiędzy nami, tego i owego spytał się o nazwisko, zapytał się, czy nie ma kto jakiej skargi lub też prośby, gdyż w takim razie można i po polsku napisać, wspominał, że, jeśli kto ma potrzebę wyjścia na miasto, to nie będzie mu wzbronione. „Broń, Boże, aby się przyzwolicie zachować, do szynku nie chodzić, pijaństwa, ani burd żadnych nie wyprawiać, gdyż w przeciwnym razie może każdy spotkać się z karą, nieprzyjemnością!“, co powiedziawszy, gubernator z całą swoją asystą wyszedł.

Prześliczny był to mężczyzna ten gubernator: wysoki, brunet. Nazywał się Zenowicz. Kiedyśmy przyjechali do Tobolska, to jeszcze było dużo dnia, ale posiliwszy się, prawie każdy rad był po tej szalenie utrudzającej drodze odpocząć. Już prawie zasypiałem, kiedy przyszedł mój żandarm pożegnać się ze mną; nie wiedziałem, co z tym fantem zrobić?

Wyjąłem trzy ruble i na chybił-trafił, nie wiedziałem bowiem, które pożegnanie będzie miłsze: ustne czy też czynne. Żandarm ze mną się pożegnał, ale z trzyrubłową bardzo serdecznie się przywitał; życzył mi wszystkiego dobrego, mówiąc: „Zły, bo zły, często mnie wymyślał, ale dobry pan jest i niech Bóg panu wszystko dobre daje“.

Na drugi dzień kazali z partyi więźniów wybrać jednego starostę, który byłby odpowiedzialny za porządek, zajął się potrzebami, odbierał „kormowyje“ na życie, robił zakupy. Starosta znosił się z władzami i przez niego tylko można było skargi, prośby i t. d. podawać.

Do dnia wczorajszego dostawaliśmy dziennie na życie po pół rubla na osobę. Z dniem zaś dzisiejszym tylko po piętnaście kopiejek. Kto nie miał swoich, za 15 kop. ciężko mu się było wyżywić. Co prawda, wszelkie produkty bajecznie były tanie, a że trzeba było wszystkim wspólnie zakupy robić i jeden kociel prowadzić, wiele taniej to uczyniło.

Kiedyśmy powstali, napili się herbaty, znalazło się kilku amatorów bez potrzeby, co chcieli iść na miasto; trzeba było opowiedzieć się „nadziratielowi“, który zwykle pozwalał, aby tylko na czas do rachunku stanąć. Otóż takich dwóch było, co za pierwszy obowiązek sobie mieli nagrodzić długą wstrzemięźliwość i iść do szynku.

Kiedy ich zamroczyło, zamiast wracać do domu, oni jeszcze więcej pili. Było w szynku kilku mieszkalców miejscowych, z tymi owi pijanice awanturę wszczęli. Gubernator miał swoich ludzi, którzy śledzili takich jegomościów; natychmiast więc o tem donieśli. W tej chwili sam poszedł, wytrząsał opojów po fizyognomiach i kazał zabrać do kozy; tam o głodzie przesiedzieli do dnia następnego. Zabronił im również gubernator wychodzić na miasto, wypowiedział reprimandę, że swoim postępowaniem wstyd mu robią, i na tem się cała awantura skończyła. Dowiedzieliśmy się potem, że Zenowicz często

się przebierał i tak po mieście chodził, przez co porządek był w mieście i ład.

Tobolsk był to pierwszy punkt zborny, w którym zesłańców segregowano; kilka dni trzeba było czekać na dalszą „odprawkę”. Jednego wieczora przybiegl Węgierski do mnie przestraszony z wieścią: — „Wiesz? jutro odprawka!” — „No to co?” — „Ja, będąc pod sądem, wyparłem się szlachestwa, gdyż sądziłem, że jako szlachcic srożej będę skarany.” — „Tak, no i co teraz?” — „A ot byłem teraz w kancelaryi i naczynają mnie etapem!” — „Bój się Boga! Jakże to? to ty całą drogę, aż do miejsca, musisz piechotą iść?” — „A tak, to też przyszedłem do ciebie, abyś mnie poratował.” — „Jak?” — „W kancelaryi tutaj wszystko można przerobić, tylko chcą pięć rubli!” — „No to tutaj niedrogo szlacheństwo kosztuje!” — „Ale ja i tego nie mam!” — „No, masz pięć rubli, leć prędko, bo może być zapóźno”.

W godzinę mój Węgierski przyszedł uradowany, uściskał mnie. — „Pomyśl, co by to było, gdyby się było nie udało! Do Jenisiejskiej gubernii to prawie jeszcze dwa razy tyle drogi, cośmy przejechali etapem, piechotą przez pół roku nie wiem czy zaszedłbym; a co najgorsza, że się ma tylko z samymi prostymi żołnierzami do czynienia. Na każdej stacyi jest stale oficer, najczęściej dziwak, któremu się wydaje, że jest gubernatorem, sam partyi nie odprawia, tylko żołnierze, a oni na tych pustkach tak zdzieli, że bardzo mała w nich częśćka pozostała ludzkości, przeważnie jednostki zwyrodniałe!”

Na drugi dzień w dalszą wyprawili nas drogę. Do Tobolska jechaliśmy pocztą, prawie że dzień

i noc po trzy konie zakładano do powozki, z dzwonkami pod dęgą. Od Tobolska już do samego miejsca przeznaczenia jechaliśmy na tak zwanych obywatelskich podwodach.

Jaka to jazda była pocieszna! Nieraz, kiedy jedna podwoda już do drugiej stacyi dojeżdża, to ostatnia jeszcze z pierwszej nie wyruszyła, a podwód było chyba ze trzydziści. Kiedyśmy dojeżdżali do stacyi, to przeważnie podwody już czekały na nas; czem prędzej więc każdy „jamszczyk” zabierał swoich pasażerów i jechał z nimi do siebie do domu. Stacje były odległe od siebie o pięćdziesiąt wiorst.

Konwoju od Tobolska już żadnego nie było, gdyż tylko z papierami jechał naprzód kozak, który i podwody dla nas zamawiał; wobec tego okropne było rozprężenie. Nikomu to jednak szkody żadnej, ani krzywdy nie przyniosło, tylko, jak mieliśmy do jakiego miasta dojeżdżać, wtedy na przedostatniej stacyi kozak się zatrzymywał i nie odjeżdżał dopóty, aż się wszystkie podwody razem nie zebrały i uroczyście jedna za drugą do miasta nie wjechały.

Marna to była płaca za te podwody, jednakowoż jeden przez drugiego dobijali się, obywatele syberyjscy o nie, bo choć zapłata mała, lecz za nocleg, za samowar, chleb, jakieś jedzenie kilkanaście kopiejek od zesłańcy dla nich w braku innych źródeł było dobrodziejstwem.

Swoją drogą, co to za bogactwo kraju! Ziemie, jakie się widziało, jakimi się jechało, to wszystko czarnoziem; mnóstwo rzek, rzeczek i strumyków przepływa. Każda stacya, miasto, miasteczko, każda wioszczyna, jeżeli nie są na spławnej, to w każdym ra-

zie nad rzeką położone, na której mnóstwo niewielkich, zwyczajnych młynków turkoce. A wszystkie rzeki rybne, brzegi niebotycznymi lasami porośłe, w których moc jagód i zwierzyny dzikiej; na niezmiernych moczarach dzikiego ptactwa miliardy się żywi i gnieździ.

Ludzie, zwierzyna i ptactwo, wszystko przypomina czasy pierwotne, bajeczne, przedhistoryczne. Kiedy się jest daleko ode wsi, nie przy trakcie, gdzie można jeszcze spotkać kogoś drogą jadącego lub karawanę z towarem, ale tam, gdzie tylko kierować się można za pomocą busoli lub instynktem syberyjskim, w puszczy, człowiek może poznać, jak jest maluczki ze swym wielkim rozumem, jakim jest prochem wobec potęgi wszechświata! Wyobraźnia cofa się do początku rodu ludzkiego, kiedy to nie oprócz zwierząt i bogatej natury oraz grozy potęgi wszechświata człowiek nie znał!

Nowy ten świat mocno mnie zainteresował. Wiele to ludów mogłoby się tu pomieścić, w jakim dobrobycie wszyscy żyćby mogli! Tymczasem jednak wiele się tą kwestyą nie było czasu zajmować, bo, jakkolwiek jazda nasza była marudna, ale zawsze trzeba było ciągnąć za drugimi, absorbowała w myśli kwestya najżywotniejsza: kiedy się zajedzie i jak to będzie dalej, jeżeli mrozy większe ścisną, gdyż dotychczas śniegi przeważnie padały.

Trudno dziś opisywać dalszą podróż, po tylu latach! Nie sposób wszystko zapamiętać, wreszcie zimno i nużąca dzień w dzień jazda nie pobudzały do zastanawiania się nad okolicą, którą się przejeżdżało.

Wnioski wszystkie jednakie: wygląd chat zależał od zamożności danej okolicy lub też zabiegłości i pracowitości właściciela. Jeżeli pracowity, dbały, oszczędny, a nie pijak, to i zamożność znacząca, siedziba okazalsza, obszerniejsza, oparkaniona porządnie; brama wjazdowa cała, przyzwoita, a w dzień świąteczny na przyjęcie gości otwarta. Jeżeli domek marny, z pewnością tam się gnieździ próżniactwo, pijatyka albo też złodziejstwo i pomimo takiego bogactwa gleby i natury, zazwyczaj nędza w tym domku rozpościera swe panowanie. Pokazuje się więc, że i wobec pełnej misy natury niedbaluch zawsze będzie łaknący i głodny.

Grudnia już była chyba połowa, kiedyśmy mocno zużeni do Tomska dojechali, jak Żydzi wieczni tułacze dzień w dzień—jedź i jedź! Na domiar złego przyjeżdżamy do Tomska w nocy, i przyjąć nas nigdzie nie chcą, tak wszystkie nasze lokale przepelnione, dopiero w głównem więzieniu za miastem miejsca się trochę znalazło.

Przyjechał pomocnik policmajstra i naszym ułożeniem się zajął. Pomocnik policmajstra sprawdzał podług listy transport więźniów; gdy przeczytał moje nazwisko, zastanowił się i spytał: — „Czy pan ma siostrę?“ — „Mam—odpowiadam.—Jest wywieziona na Syberyę, ale dokąd, nie wiem. Czyżby tu była?“ — „A jak jej na imię?“ — „Kazimiera“.—„Tu jest w takim razie. Obecnie jest chora i leży w szpitalu, mogę pana do niej zaprowadzić. Są tam dwie panie i trzecia pańska siostra. Zajmuje osobny pokój; jest tu kilku lekarzy Polaków, ci się niemi opiekują. Nic niebezpiecznego, pewnie wkrótce wyzdrowieją“.

Przez wzgląd na obce panie nie mogłem być po nocy dobijać się do chorych, zwłaszcza, że i ja potrzebowałem spoczynku.

Wieżenie w Tomsku było, jak wszystkie inne podobne instytucje w Rosyi. Był to gmach obszerny, którego całe piętro objęliśmy w posiadanie; dół zaś był właściwem więzieniem, gdzie się mieścili zamknięci i strzeżeni pilnie miejscowi zbrodniarze. Na dole stała warta, pilnowała ona więźniów miejscowych. My zaś wszyscy z góry wolniśmy byli, i każdy w każdym czasie i kiedy mu się spodobało, swobodnie mógł wyjść, kiedy chciał, po mieście chodził. To też wszyscy z tej swobody korzystali.

Nazajutrz po przyjeździe, rozpatrzywszy się w sytuacji, po śniadaniu wyszedłem do owego szpitala; nie chciano mnie wpuścić, ale po wylegitymowaniu się wszedłem do szpitala. Cóż to za radość, jakie ożywienie, wiele wrażeń z podróży! Różne tym podobne pytania i odpowiedzi: co słyszał w domu? czy zdrów jesteś? i t. d.

Wszystkie te trzy panie właściwie nie były chore, lecz strudzone bardzo; nie mając w Tomsku żadnego mieszkania, z drogi prosto udały się do szpitala, aby wypocząć i pomyśleć, co przedsięwziąć nadal. Dziś już nazwisk tych pań nie pamiętam. Jedna była właścicielką majątku z Płockiego, druga była panną, córką aptekarza z Grodna, i trzecia moja siostra. Okazało się, że z tych trzech pań tylko jedna moja siostra może na siebie w Tomsku zapracować, gdyż posiada języki: francuski, niemiecki, oraz zna muzykę i bardzo ładnie gra na fortepianie.

Postanowiliśmy po naradzie, że, nim mnie w dal-

szą drogę wysła, mam się postarać o miejsce dla siostry u kogoś zamężnego w Tomsku. Wychodziłem więc często na miasto i pukalem w różne miejsca; chodziło mi bardzo o to, bym moją siostrę oddał w dom przyzwoity i tym sposobem mógł zapewnić jej opiekę. Ciężkie to było zadanie; nie mogłem nic odpowiedniego znaleźć. Ale często się po ulicach włócząc, mnóstwo znajomości pozawierałem, zwłaszcza urzędnicy dobrze mnie znali, gdyż często miałem w gubernii interesy; często też na ulicy spotykaliśmy się, zawsze byli dla mnie pełni grzeczności.

Nie domyślałem się, czemu ten respekt mam przypisać, dopiero później się dowiedziałem, że właściwie mojemu płaszczeni ze stojącym, oficerskim kołnierzem; przypuszczali bowiem, że byłem studentem z uniwersytetu albo też oficerem w wojsku. A że się mnie nie wypytывali, nie o tem ich przypuszczeniu nie wiedziałem, a dowiedziawszy się, nie miałem potrzeby przeczyć i tak do samego końca przez nich byłem poważany.

Trzeba powiedzieć, że wobec tak wielkiej ilości zesłańców musiały się wkraść i nieporządki w biurowości, gdyż przeważnie ci byli wyprawiani w dalszą drogę, którzy byli na placu. Ja, że jeszcze nie załatwiłem swoich spraw w Tomsku, wiedząc, na przykład, że „odprawka“ ma być jutro, już dziś się wynoszę do innego locum, tam przenocuję, a nazajutrz po „odprawce“ na swoją kwaterę przychodzę, unikając w ten sposób wysłania z Tomsku. O to kwestyi nie było żadnej.

Dopiero przypadek mnie zdradził, z czego dużej wynikły dla mnie nieprzyjemności. Papiery moje

zaraz przy pierwszej „odprawce“ poszły, ale liczą mnie w Krasnojarsku, rozumie się, odnaleźć mnie nie mogli i po kilku tygodniach zaczęto mnie szukać.

Ale o tem — potem.

Z wynalezieniem czegoś odpowiedniego dla siostry z dnia na dzień schodziło, nie się nie trafiało, a tu czas naglił... Jednego razu, idąc ulicą, spotykam jegomościa dosyć korpulentnego, odzianego w futro, mróz był wtedy 40-stopniowy. Ten jegomość jakby mi był znajomym, ale gdzieś go widział, sam nie wiedziałem. On też, spojrzawszy na mnie, coś sobie przypomniał, a że był dziś bardzo wesołego usposobienia, przeto przystanął, zatrzymał mnie, mówiąc: „Gdzieś pana widziałem, a nie mogę sobie przypomnieć gdzie?“ — „Na ulicy zapewne, bo i ja sobie pana przypominam“. — „Być może. Pan chyba Polak?“ — „A po czem pan poznaje?“ — „Po mowie“. — „Tak, rzeczywiście nim jestem“. — „A ja jestem... (nazwiska sobie nie przypominam). Sędzia tutejszego okręgu. Ot, wystaw pan sobie, jaki ja jestem kontent, przy 40-stopniach mrozu toż to dla mnie zdrowie! Jak Boga kocham! Chodź pan do mnie, to się przekonasz, że tak jest“.

Ni stąd, ni zowąd, na poczekaniu znajomość, a że ów sędzia niedaleko mieszkał, długo też nie potrzebowaliśmy iść. Pan sędzia mieszkał z komfortem, mieszkanie miał obszerne, elegancko umeblowane. Zostałem zaraz przedstawiony pani sędziny i dwu córeczkom. W sali zobaczyłem fortepian. „Któż gra?“ spytałem. Sędzia zaraz się wyrwał z odpowiedzią, że nikt, a fortepian stoi dla parady. Otwo-

rzyłem klawiaturę, zacząłem wygrywać kawałki, które pamiętałem.

Panienki zaczęły skakać i klaskać w ręce z radości i prosić mnie, żebym je grać nauczył. — „Nie, ja w Tomsku długo już nie będę, gdyż przeznaczony jestem do Jenisiejskiej gub., ale jeśli byście państwo życzyli sobie, tobym dał osobę, która rzeczywiście gra ładnie i umie uczyć grać, ja zaś brzdąkam ledwie, gdyż wszystko zapomniałem“. — „A czy ta osoba umie po francusku?“ — „Owszem, osoba ta jest wysoko wykształcona. Może udzielić i innych nauk“. „Któż to jest?“ — „Polka, moja siostra, zesłana tu do Tomska na mieszkanie“.

Narazie nasza co do tej kwestyi rozmowa na tem się zakończyła. Sędzia poprosił mnie do swego gabinetu, tam też było i jego łóże, przy którym stała, o dziwo! pierwszy raz w życiu coś podobnego widziałem, bania szklana, ale tak wielkich rozmiarów, że w niej było najmniej dwanaście garncy wódki, zaprawionej korzeniami. Z tej butli nalał butelkę; przekąska składa się z konfitur i suchych owoców. Takich butelek wypiliśmy dwie, że zaś ta wódka nie była zbyt mocna, więc upić się nie można było; usposobiła nas ta libacya trochę marzycielsko i humoru dodała. Potem zaprosili nas na obiad, i w ten sposób znajomość, a nawet, jak pan sędzia się wyrażał, przyjaźń, została na poczekaniu zawarta.

Pytałem się pana sędziego, na jak długo ten gąsior wystarczy. — „Ot nie wiem, czy na miesiąc. Zdaje się, że nie. Dla mnie jednego na dzień sztof to mało, a często ktoś ze mną pije, to wtedy na miesiąc nie starczy!“ Po obiedzie, pobrzdąkawszy

trochę, pożegnałem się i zostałem zaproszony na jutro na obiad. Dali mi też lekko do zrozumienia, że może się zdecydować na nauczycielkę. Z tą wiadomością udałem się czempredzej do szpitala podzielić się z siostrą. Towarzyszeki mojej siostry były zadowolone z tej wiadomości, jakby to ich ona dotyczyła. W każdym razie pewien spokój uczułem, gdyż pewien byłem, że pobyt mój w Tomsku nie da się już dłużej przeciągnąć.

Nie zapomniałem o zaprosinach, punktualnie na oznaczoną stawilem się godzinę. W gabinecie sędziego powtórzyła się wczorajsza z gąsiorem operacya, a przy obiedzie sędziostwo wyjawili mi swoje życzenie, aby siostra mogła być u nich z wizytą. O umówionej porze oboje z siostrą zajechaliśmy do różką przed dom pp. sędziostwa. Pani sędzina udawała, że mówi po francusku, chciała się popisać przed mężem i córeczkami. Do przedstawienia i przywitania kilka banalnych frazesów z książki starczyło, choć i te tak przekręciła, że dziwolągi z tego wyszły.

Siostra biegle francuskim władała, szybko więc odpowiadając i opowiadając, postawiła p. sędzinę w położeniu bez wyjścia, bo nie a nie nie rozumiała tego, co mówiła moja siostra. Sędzia dopiero wyprowadził wszystkich z fałszywej sytuacji, odzywając się: — „Wy mówcie po rusku, a to ja ni czorta nie ponimaju, co wy mówicie!“ Zaczęła się wówczas rozmowa właściwa, gdyż p. sędzina nie chciała się narażać na drugą taką kompromitację.

Obiad zeszedł nam dosyć wesoło, rozumie się, cała rozmowa była prowadzona tylko w języku miejscowym. Po obiedzie widocznie sędziostwo chcieli

się dowiedzieć, jak wysoko jest siostra moja muzyczna, poprosili więc, by zagrała. Jakkolwiek siostra moja naukę muzyki pobierała tylko w domu, jednakowoż tak była wykształcona, że miała patent z konserwatorium, gdyż zdawała egzamin z gry fortepianowej. Grą swoją wszystkich z zachwytem wprowadziła, no i rozumie się, że wobec tego siostra została jako nauczycielka w ich domu.

Byłem z tego powodu w siódmym niebie, gdyż spodziewałem się, że niedługo już w Tomsku będę mógł panować. Zaraz też w parę dni siostra zainstalowała się do sędziostwa, a i ja też byłem już uspokojony, gdyż głównie troszczyłem się o to, by zapewnić siostrze pomieszczenie i opiekę.

Zawsze locum swoje miałem tam, gdzie mnie przywieźli w nocy, t. j. w więzieniu, ale często nocowałem w gmachu, tak zwanym: „Roty aresztanckie“. Tam też, podobnie jak i w więzieniu, góra była zajęta przez politycznych, a dół przez skazańców miejscowych, zwykle, gdy groziła mi „odprawka“, tam na noc chodziłem.

Otóż przychodzę jednego razu do więzienia, powiadają mi: „Wiesz? tu ciebie szukali. Był pomocnik policmajstra, wypytywał się o ciebie; podobno warta nie będzie dziś na miasto przepuszczała. Jutro będzie „odprawka“. Zaniepokojony temi wieściami, nie nie mówię, tylko sakum pakum, wynoszę się na miasto. Warta mnie nie puszcza, ja w nogi. Zaalarmowali żołnierzy, którzy wpadli i złapali mnie. Byłoby źle ze mną, gdyby nie zbiegli się koledzy i już nie pamiętam jakim sposobem zdołali mnie uwolnić.

Najgorsza jednak sprawa, jak się za miasto wy-

dostać. Byłem w bardzo dobrych stosunkach z „nadziratem“, t. j. naczelnikiem więziennym; poszedłem więc do niego, prosząc, by mi pozwolił wyjść. Zgodził się i kazał mnie przepuścić warcie. Widocznie „nadziratel“ nie wiedział, że mnie szukają i że z mojej to przyczyny więźniów wogóle na miasto nie wypuszczają.

Po południu wywołują do „odprawki“ między innymi i mnie, a mnie niema. Jak to już mówiłem, w jednej z pierwszych „odprawek“ na liście wysyłanych i ja byłem zamieszczony. Nie wiem jednak, z jakiej przyczyny przeoczono mnie czyli, że według papierów, pojechałem był do Krasnojarska, naprawdę zaś byłem ciągle w Tomsku. Zanim się jednak spostrzeżono w Krasnojarsku, że mnie tam niema, zeszło parę tygodni.

Zapytano o mnie z Tomsku, nie zaraz też nadeszła odpowiedź, że jestem wysłany. W Krasnojarsku uderzono na alarm, że ważny przestępca polityczny uciekł; na tej więc zasadzie wprost na ręce gubernatora przyszło z Krasnojarska zapytanie, co się stało z takim to i takim? Gubernator—gwałt; policmajstrowi i pomocnikowi zagroził dymisją. Ci, zrozpaczeni, chcąc bądź co bądź mnie odnaleźć, obławę na mnie urządzili.

Ja się na noc zakwaterowałem do „Rot aresztanckich“. Ponieważ często tam przychodziłem i często nocowałem, znali mnie też prawie wszyscy. Przyszedszy, powiadam, że jutro mam „odprawkę“, podobno, że mnie szukają.—„Ciekaw jestem, czy mnie tu znajdą?“ Jeden z kolegów powiada: „Jeżeli odpowiesz na wywoływanie z listy: jestem—to musisz

jechać!“ — „Ja też nie mam ochoty się odzywać, że jestem. Dlatego też przyszedłem do was nocować.“ — „No to dobrze; będziemy zaraz grać w preferansa!“ — Światła już zapalone — noc. Ja i trzech moich kolegów w rogu sali urządziliśmy sobie pulkę. Usadowiliśmy się tak, że trzech kolegów siedziało frontem do sali, ja zaś tyłem, a że w sali ciągle gwar i ruch panował, nikt żadnej na nas nie zwracał uwagi.

„Pomocnik policmajstra przeszedł teraz“ — odezwał się jeden z kolegów — „w ciebie się wpatrywał.“ — „Naprawdę?“ — „Tak, o, tam idzie!“ — „No to ja już grać nie będę, weźcie sobie innego na moje miejsce“, z temi słowy wstałem.

Rzeczywiście dostrzegłem pomocnika policmajstra o kilkanaście kroków przede mną; szybko skręciłem we drzwi, sądziłem, że może mi tak i ujdzie. Chciałem już iść i dokończyć preferansa, kiedy się drzwi otwierają, i znów wchodzi tenże pomocnik policmajstra, tym razem z dwoma żołnierzami. Żołnierze stają przy drzwiach, on zaś prosto dąży w to miejsce, gdzie grał w proferansa. Jakież było jego rozczarowanie, jaki przestrah, kiedy w miejscu, gdzie ja siedział, innego zobaczył! Stanął i prawie ze łzami w oczach się odzywa: — „Panowie! miejcie litość nade mną! Dostanę dymisję, jeśli Plichty nie znajdzie! Dopiero w tem miejscu siedział, i niema go; powiedzcie, na miłosierdzie Boże, gdzie jest?“

Wtedy dopiero niejaki Waga, poważny człowiek, występuje i w te się słowa odzywa: — „Kapitanie, wchodzimy w pańskie położenie, ale swoją drogą przykroby nam było, gdyby z tej blahej przy-

czyny Plichta miał być karany. Niech nam pan kapitan da słowo honoru, że Plichte nic nie będzie, to go zaraz wydamy“.

Wtedy kapitan przysiągł, że, co od niego zależeć będzie, wszystko uczyni, aby mi się co złego nie stało. Nie było sposobu ukrywać się dłużej, wyszedłem z ukrycia. Rozżalony kapitan, złożywшы ręce na piersiach na krzyż, odezwał się: „Ach, co wy mnie uczynili? Być może, dymisyę dostanę“.— „Panie kapitanie, daję panu słowo, że zaraz tu przyjdę, tylko pozwól mi się z niektórymi pożegnać kolegami“—powiedziałem.

Pozwolił. Szybko przebiegłem salę, pożegnałem się i wyszedłem. Narazie nie wiedziałem, co ze mną będzie. Pomocnik policmajstra był na tyle delikatny, że nie wzywał żadnej pomocy, aby mnie odprowadzić do przeznaczonego miejsca. Przeszliśmy oświetlony korytarz, zeszli ze schodów i wyszli na podwórze. Tam czekała na nas sprowadzona umyślnie dorożka. Nic nie mówiąc, kapitan wskazał mi miejsce obok siebie, siedzimy, i dorożkarz ruszył. Już widać wiedział, gdzie miał jechać, gdyż nie pytając się, skreślił dorożkę do więzienia.

Kiedysmy przed więzienie zajechali, mój towarzysz zawołał w progu: „Oficer karaulny!“ Oficer natychmiast się zjawił i salutując stanął w pozycji wyczekującej. „Macie dwa pokoje?“ „Tak“, odpowiada. „Proszę pana o odstąpienie jednej stancyi dla tego pana“, wskazał na mnie, „do jutra“. „Dobrze“—była odpowiedź. Bez asysty oficera pomocnik policmajstra wprowadził mnie do pokoju, odzywając się: „Mógłbym rozkazać oficerowi, aby pana krokiem

stąd nie puścił, ale tego nie zrobię. Wymagam tylko, aby mię pan słowem zapewnił, że, dopóki ja tu nie wrócę, krokiem się pan nie ruszy“.— „Ma kapitan słowo moje, że nie wyjdę na miasto, dopóki pan kapitan mnie do tego nie upoważni“. (Naiwny! jeszcze się łudziłem, że to jakoś łatwo pójdzie i jeszcze raz się wykręcę).

Pożegnaliśmy się dość czule. On uniewinniał się, że służba, że musiał tak postąpić, prosił, aby się na niego nie gniewać, bo nie jego to wina; zadowolony był, że tak grubą rybę tak łatwo dało się ułowić.

Rozejrzałem się po moim tymczasowym lokalu, czy jest gdzie głowę położyć. Stół, sofa jakaś przedpotopowa i parę stołków kulawych. Długo nie marudziłem. Poleciwszy się Bogu, spać się położyłem. Spokojny byłem na sumieniu, zbrodni żadnej nie popełniłem, wolne też myśli moje były od wszelkiej trwogi. Przypuszczałem, że, oprócz bezwarunkowego wysłania, nic więcej mnie nie czeka; z temi też myślami spokojnie zasnąłem. Rano ubrałem się i nie zatrzymywany poszedłem na górę.

Koledzy, zobaczywszy mnie, biegli jeden przez drugiego z wiadomością, że mnie wczoraj szukali, że dziś „odprawka“ i że chyba o tem nie wiedziałem. „Wiem, moi drodzy“—odpowiedziałem — „dajcie herbaty, to wam opowiem, co ze mną wczoraj było“.

Zasiadłszy do herbaty, wśród śmiechu i wesołości opowiedziałem kolegom moje wczorajsze przygody. Wszyscy byliśmy dobrej myśli; wierzyliśmy, że się teraz tylko na tem skończy, że „odprawki“

nie uniknę, to więcej niż pewne. Kiedy tak rozprawiamy nad tem, czy nie udałoby się jeszcze wymknąć i uniknąć „odprawki“, wpada zdyszany nadzorca, biegnie wprost do mnie i prosi, abym zaraz szedł do kancelaryi.

„A co tam ma być?“ — „Nie wiem“. — „A kto tam jest?“ — „Policmajster“. Myślę sobie: to coś rzeczy czy inny obrót biorą! Chyba mi tego nie darują, żem tak długo się wykręcał! Ha, niema rady; miny nie tracę, schodzę ze schodów do kancelaryi. Nadzorca drzwi otwiera i przepuszcza przed sobą.

Wchodzę, na środku pokoju stoi policmajster, podchodzi do mnie, podaje rękę, witając: „Zdrastwujcie!“ Serdecznie uściśnięciem rękę, kontent, że to jakoś gładko przejdzie, kiedy on raptem odstępkuje ze dwa kroki i, stanawszy naprzeciw mnie, powiada: — „Pan pozbawiony praw?“ Jak błysk, przemknęło mi przez głowę: oho! to nie na żarty sprawa! Jeżeli pyta się, czy ja pozbawiony praw, to może przyjąć im do głowy postąpić ze mną tak, jak z tymi, co do katorg idą? W tej chwili jednak przyszła mi myśl: papiery moje już od sześciu tygodni są w Krasnojarsku (wiem o tem, bo mi urzędnicy mówili w gubernii).

Ufny więc w to, że papierów moich na miejscu niema, a więc nie będą dochodzić, czy ja pozbawiony praw, czy nie, odpowiedziałem: „Ja nie wiem. U was papiery, można się przekonać.“ — „Tak ty pozbawiony jesteś praw!“ — Kiedy się policmajster pytał, czy pozbawiony jestem praw, mówił mi przez „wy“, odkąd zaś sam sobie odpowiedział, że praw jestem pozbawiony, traktował mnie przez „ty“, a jed-

nocześnie zawołał: „kuznieca!“. Na kowala nie trzeba było długo czekać; już wcześniej był zamówiony. Natychmiast wszedł z kajdanami.

Policmajster wzburzony szybko chodził po kancelaryi; mnie kazano usiąść i — kowal zaczął zakładać nogi moje w kajdany. Co się ze mną w tej chwili stało! zdawało mi się, że lecę w przepaść, że świat cały ze mną się zapada; to znów świadomość, że jestem w kajdanach, nasuwała mi myśl, żem straszną zbrodnię popełnił.

W tej zadumie mimowolnie łzy obficie z oczu mi trysnęły, w nieutulonym żalu się pograżyłem. W czasie operacyi kucia policmajster zaczął wołać: „lekko, lekko! dość!“ Mnie się zdawało później, że to wszystko była tylko komedya. Kiedyśmy wyszli z kancelaryi, policmajster spytał mnie, czy mówię po francusku, kiedy odpowiedział twierdząco, powiada: — „Chodź pan!“ — weszliśmy do pokoju oficerskiego. Policmajster poprosił oficera, aby użyty mi jeszcze na kilka godzin mieszkania, gdy zostaliśmy sami, w najczulszych słowach począł mnie przepraszać za nieprzyjemność, która mnie spotkała, tłómaczył się, że on temu nie winien. Tak się uniewinnił, przepraszał i prosił, żeby mu darować, gdyż w razie gdyby mnie nie odszukał, byłby wraz z pomocnikami dymisję otrzymał. Gubernator rozkazał, aby tak okutego odesłać mnie do Krasnojarska, co może źle wpłynąć na dalsze losy moje. — „Ja co będę mógł i co będzie w mej mocy, uczynię, aby panu ulżyć. Proszę mi powiedzieć, może w czem innym będę mógł przyjąć z pomocą? Każę obiad przysłać od siebie!“ Podziękowałem za współczucie i za

obiad, gdyż koledzy o mnie pamiętają i obiad przyniosą, a więcej, jak na teraz, nic mi nie potrzeba.

Sam zostałem z memi myślami i niewesołości; do tego kajdany tak były lekko wintowane oraz tak były obszerne, że tylko było trząsnąć niemi, z nóg leciały, nie można było jednak tego zrobić bez narażenia się na groźniejsze następstwa; sam więc starałem się na nogach je utrzymać, by mnie nie posadzili o samowolę, co mnie w prawdziwy kłopot wprowadzało.

Wtem na placyku przed więzieniem większy ruch dał się słyszeć. To warta wystąpiła i komuś przyjezdnemu oddaje honory. Ktoś wszedł do sieni, o coś się spytał i wprost szedł do mnie. Zobaczyłem przystojnego, jeszcze dość młodego, eleganckiego, po cywilnemu ubranego mężczyznę; czapkę miał z lampasami i oznaką urzędnika. Ja stałem, oparty o okno z nogami podwiniętymi, gdyż mocno mnie te żenowały kajdany.

Wszedł, przystanął, popatrzał i po chwili powiedział: „A co, wstyd teraz? No i co zrobić, trzeba do Krasnojarska tak jechać—w kajdanach! Jakże to, bo tam powiedzą: ot ptaszek, kiedy w kajdanach przysłali! Nie można to się było dowiedzieć, gdzie wicegubernator mieszka? A teraz?” — Na te jego słowa spojrzałem mu w oczy i jak naiwny odpowiedziałem: — „Teraz, gdyby chciał, to wszystkoby zrobił!” Lekko się uśmiechnął. — „Zapóźno“, odpowiedział i z temi słowy wyszedł.

Coprawda nie bardzo go zrozumiałem. Dlaczego zapóźno? Czy żeby z kajdan mnie rozkuć, czy też żeby w Tomsku zostać na stałe.

Zaczęły też już podwody się zjeżdżać. Mróz był niewielki, ale śniegi leżały ogromne. Przyjechał sam policmajster z urzędnikiem. Mnie to aż żenowało, tak dużo opieki i współczucia mi okazywał, oświadczył na podwodę mnie przeprowadził. Za towarzysza dano mi jakiegoś oberwańca, by mi w drodze usługiwał. Policmajster sam otulił mi nogi, a wypytywał, czy aby mi w nogi nie zimno. Tak usadowiwszy mnie, spokojny odjechał. Zaraz ruszyliśmy, ale jeszcze jakieś trzeba było formalności załatwić, więc nas przed magistratem zatrzymali.

Załatwianie formalności trwało do nocy. Przez ten czas przyjechał do mnie policmajster i pomocnik, każdy osobno. Wreszcie już w nocy przyjeżdża pomocnik poliemaistra i powiada, że na swoją odpowiedzialność każe mnie rozkuć, i woła kowala. Na te słowa ja się podniosłem, nogami trząsnąłem i kajdany spadły; zobowiązał mnie tylko, żebym głupstwa nie robił i gdzie się nie schował. Pomiarkowałem więc z tego wszystkiego, że to była tylko komedia, zrećtnie odegrana.

W godzinę może dopiero wyruszyliśmy w drogę, ku Krasnojarskowi.

Cale życie borykałem się z przeciwnościami, majątku nie zrobiłem, najczęściej, jak to mówią, wiał mi wiatr w oczy. Nie znałem, co to skrzywdzić kogoś, nie umiałem oszukać, słowa danego nie dotrzymać, a trafiało mi się jednak często lekko-myślnie dać przyrzeczenie i najczęściej z niepowetowaną krzywdą swoją—wypełnić. W wielu razach grubą niewdzięczność za podziękę otrzymałem. W wielu razach narażałem się na niebezpieczeństwo życia,

aby tylko temu komuś zadośćuczynić, a choć była chwila, że sam byłem godzien pożalowania, o prawdziwą należność nie umiałem i nie śmiałem się upominać.

Przytrafiali mi się jednak wrogowie, jedynie dlatego, że wszystkiemu wierzyłem, że wszystkiemu ufałem, gdyż wszystkich pod jedną, na swój wzór, miarę brałem. Wobec więc tego nie dziwnego, że życie moje przeplatane było przeciwnościami, byłem łatwowierny w obcowaniu z ludźmi. Ale uważałem się, abym nie miał szczęścia do ludzi, nie mogłem. Jakkolwiek więc zdarzało mi się, abym otrzymał pomoc materialną w potrzebie, za to w razie nieszczęścia, czy niepowodzenia, czy jakichkolwiek okoliczności niepomysłnych doznawałem zawsze współczucia. Nie więc dziwnego, że to tak jakby się należało, jakby to konieczne było, aby policmajster i jego pomocnik byli dla mnie względni i życzliwi. Tak to szczęśliwemu trafowi przypisać trzeba, że uniknąłem większych przykrości.

Do Krasnojarska przykra była podróż. Mrozy się wzmogły, myślałem, że nie dojadę do miejsca przeznaczenia. Bywało: szalony mróz i wiatr się zrywał; jeżeli lasami się jechało, pół biedy, ale jeżeli stepem, mróz wtedy do szpiku kości przejmował. Ani spojrzeć w świat, gdyż wiatr, śnieg, przez mrozy wysuszony, porywa i jak pyłem gęstym ciska w twarz, uszy, nos i wszędzie, gdzie tylko może się wcisnąć.

Konie pędzą, jak szalone, potęgując kurzawę; wyboje i zatoki miejscami tak gęste, że oddają się Bogu!—wypaść z sani, to następne konie roztracają.

Jak tielegi do jazdy są barbarzyńskie i niewygodne, tak sanie są bardzo bezpieczne i zaciszne. Skrzydła są bardzo nisko, prawie że ziemi dotykają, nie przybijane, ale umiejętnie sznurami wraz z całymi saniami przeplatane. Sanie rogożą dobrą obszyte i głębokie; niebezpieczeństwo wywrotu rzadko się trafia, ale, że nie są kute, więc na wybojach i zatokach mocno się taka jazda daje we znaki.

Później to się do takiej jazdy tak przyzwyczaiłem, że mnie tak tielega, jako też sanie nie drażniły, ale owszem, uważałem za naturalne takie, a nie inne środki lokomocyi. Mróz i zimno tak mi raz dokuczyły, że, kiedyśmy przyjechali do jakiejś wsi, ja wpadłem do jednego domu się rozgrzać. Akurat kobieta wysadzała z pieca kołaczę, t. j. grube, pszenne obwarzanki. Na poczekaniu takich gorących, prosto z pieca, dziesięć zjadłem. Myślałem, że przechoję, bo czułem, że w sobie mam pełno żaru. Ciepło jednak wewnętrzne jeszcze do drugiej stacyi czułem i nie zmarzłem, a blizki tego byłem.

Od Tomska nie tak marudnie się jechało; trzeba było często po dwa kursy robić, a prawie wszystkie były po pięćdziesiąt wiorst. Zwykle rano się wyjeżdżało, a w nocy przyjeżdżało na stację. Lud tu hardziejzy, o marny zarobek niechciwy, podwoły więcej z obowiązku, niżeli z potrzeby dawano; na kwatery niechętnie nas przyjmowano, a i do bijatyki czasem byli pochopni. W jednej wsi naszego starostę dobrze poturbowano.

Już pierwsza połowa lutego dobiegała do końca, kiedy nocą przyjechaliśmy do Krasnojarska. Pobyliśmy w Krasnojarsku dwa dni, wychodzić na

miasto nie było wolno. Najbardziej mnie interesowało, co się z moim towarzyszem Węgierskim stało, który kilka tygodni przede mną wyjechał, podobnie jak i ja, do Jenisiejskiej gubernii. W kancelaryi nie umieli mi nic powiedzieć; spodziewałem się z nim spotkać, miałem nadzieję, że może uda mi się razem z nim mieszkać. Zawód mnie spotkał i musiałem sam w dalszą jechać drogę.

Po kilku dniach zatrzymaliśmy się u kresu naszej podróży. Nie wiem, czybym się odważył wrócić, gdyby tak w tej chwili przyszła amnestya i mógłbym wrócić do kraju! Pomyśleć tylko, jaką to przestrzeń się przejechało, jakie szalone i karkołomne jazdy znosiło, wiele to trudu i niewygód się doznało, wiele to przykrości od mieszkańców miejscowych trzeba było znieść. A cóż powiedzieć o najgroźniejszej w tej porze aurze? Stale temperatura niżej dwudziestu stopni trwała, a bywały dnie, że o wiele niżej spadała.

Konie syberyjskie to nadzwyczaj wdzięczne i wytrwale stworzenia. Woźnice za to prawdziwie po barbarzyńsku się z nimi obchodzą. Po przyjeździe na stację, choćby jak największy mróz był, nie wprowadzą do stajni, ale uwiążą, łeb do góry, krótko. W takiej pozycji koniska prawie że godzinę stoją, trzęsąc się, po takich rekolekcyach dostaną trochę siana, później wody, wreszcie jakiegoś ziarna sypią im wprost na ziemię, z której koniska, jeżeli jest śnieg, to ze śniegiem wszystko pobierają. W domu z koniem tak samo postępują, tylko że po wystaniu puszczają go w ogrodzony okólnik, wrzucają słomy

i tak do rana trzymają; czasem śnieg zasypie, że okólnika i koni z pod śniegu nie widać.

Drogi tak są wąskie, że tylko tor jest na jedną kolej sani. Przy mijaniu jeden z mijających musi w śnieg wjechać, w który jak wpadnie, ani konia, ani sanek prawie nie widać. Podwoły nasze przeważnie były po trzy konie, ale najczęściej w parę były zaprzęgane; to też wszystkie jednokonki choćby i z ciężarem w bok skrecać musiały, nam z drogi ustępując.

Pojedynczo jadących mało się trafiało, ale za to tak zwane „obozy“ dosyć często. Obóz taki najczęściej siedł od Kiachty z „cybikami“ herbaty do Krasnojarska, a najczęściej do Tomska dla kupców, głównych hurtowników. Konie w takich obozach tak są wytresowane, że, jeżeli jeden w bok skreśli, to wszystkie za nim, gdyż na sto naładowanych sani może być tylko dwudziestu ludzi: co piąte sanie jeden, konie zaś same idą. Obóz taki nigdy prędko nie idzie, tylko zawsze stępa, cały dzień, stale zaś mają swoje kwatery, do których dążą na noc. Jadąc zaś z powrotem zabierają towary, których okolica Irkucka i dalsze inne potrzebują: tytuń, cukier, galanterya, łokciowe i t. p.

Jednem słowem, handel ożywiony, życie pulsuje na tej głównej arteryi syberyjskiej, ale też wyboje i zatoki oraz droga wyszlizgana dla pieszych jest prawdziwą męką. Z naszych spotykało się tam braci, w kajdanach na nogach i rękach, skutych po kilkunastu razem.

Roku nieraz całego trzeba było, by się na miejsce przeznaczenia dowlec, tylko dwanaście groszy dziennie otrzymując na życie.

Szybko się zbliżałem do kresu, przeznaczonego mi przez władzę; już jadę swoim okręgiem, a za dwa dni stanę w mieście Kańsku, z którego już od mojej woli zależeć będzie, dokąd, do której gminy i wsi odstawić mnie mają. A że, rozumie się, żadnej nie znam, ani też nic mnie z żadną nie wiąże, przeto obojętnem mi jest, gdzie ostatecznie rzucać mnie losy.

Ostatnich dni lutego dojechaliśmy do Kańska. Mieścina, niczem się nie różniąca od innych miasteczek syberyjskich. Drewniane domy, miasteczko nie przemysłowe, bez fabryk, tyle tylko, że przy głównym trakcie położone, przeto życie pulsuje, gdyż handel dosyć ożywiony: solą, mąką, herbata, która, dziwna rzecz, zamiast przychodzić do Irkucka i Kiachty, przeciwnie, szła do Krasnojarska, co się tłumaczy tem, że kupcy, zwykle hurtownicy, składy mają w miastach gubernialnych, do których transporty wprost są kierowane. Tam dopiero sortują, rozważają, opakowują i po różnych miejscowościach rozsyłają, gdzie mają swoje filie lub składy hurtowe, w których to znów detaliści się zaopatrują. Dlatego w Syberyi herbata nie była zbyt tania, ani też w dobrym gatunku. Wspominam o handlu herbata, gdyż przeważnie tu nią handlują, a nikt się bez tego produktu obejść nie może.

Drugi produkt handlowy to machorka, czyli tytuń w liściach, tak uprawiony, że konsumenci tylko go drobno krają, w kapciuchach z sobą noszą i fajki nim nabijają, przeważnie hubką i krzysiwem zapalając, co, razem wzięwszy, śmierdzi, jak morowe powietrze. Na dworze to się i rozejdzie, nie czuć tego,

ale w mieszkaniu, kto nie przyzwyczajony, dobrze się musi nakrztusić i nakasłać. W dodatku palacze często się schodzą w jedno miejsce, a więc jak kilku zapali fajki, a jeszcze dla oszczędności w mieszkaniu świec łuczywa do oświetlenia użyją, to człowiek wtedy imaginuje sobie, że jest w wędzarni, w której żywcem się wędzi.

W Kańsku z nami już nie zajechali przed żaden etap, ani więzienie, ale wprost przed hotel z restauracją, o co widać właściciel tego zakładu nie bardzo się ubiegał, gdyż nawet dość głośno protestował. Fundusze każdego z nas były na wyczerpaniu; restaurator, wiedząc o tem, nie zachwycał się naszą wizytą.

Cóż jednak robić? Z manatkami swymi czym prędzej ulokowaliśmy się w jednej stancyjce, zadysonowaliśmy jedzenie i poszliśmy spać. Na drugi dzień załatwić trzeba było pewne formalności, gdzie to ich niema? W powiecie byli tyle grzeczni, że się pytali, gdzie kto sobie życzy jechać: do jakiej gminy i do jakiej wsi. Wyprawili wszystkich w dalszą i już do ostatecznego celu drogę.

W restauracyi zastałem już wcześniej przywiezionego, niby to rekonwalescenta, wracającego ze szpitala, p. Gołębiowskiego. Ja miałem się udać do gminy, położonej o dwieście wiorst od Kańska, do Tasiejewa; Gołębiowski podobnie z tejże był gminy, jechaliśmy przeto razem. Przez drogę Gołębiowski namawiał mnie, by jechać do wsi, w której on mieszkał poprzednio i do której obecnie jechał.

Droga do Tasiejewa troszkę była równiejsza, niż ta, którą dotychczas jechałem, ale podobnie była

powybijana i z zatokami, gdyż za Tasiejewem jeszcze dwadzieścia pięć wiorst na północ jest tak zwany: „Solanyj Zawod“, to jest warzelnia soli. Sól stamtąd handlarze po wszystkich rozwożą drogach, a najczęściej kierują się do hurtowego składu w Kańsku, stamtąd zaś w dalsze pozbawione tego produktu okolice.

Po obydwóch stronach drogi dość gęsto wsie i to duże były położone, przez które przejeżdżałem; jak na oko, zdawała się okolica dość zamożną. Domy ładne, duże, nierzadko piętrowe; parkany wysokie, całe, bramy wjazdowe często upiękzone malowidłem lub ozdobą. Wsie duże, ulice obszerne, latem i zimą suche. Najwyżej co dwadzieścia pięć wiorst i mniej wsie takie się spotykało. Później miałem sposobność się przekonać, że, i innemi drogami jadąc, trafiały się wsie podobne. Jednem słowem, trzeba powiedzieć, że okolica była zamożna.

W każdej wsi można już było spotkać Polaków, zesłańców politycznych, bez zajęcia, bez wytkniętego celu, żyjących pozostałościami z drogi lub ze sprzedawanej własnej garderoby, jeżeli jeszcze coś możliwego do sprzedania zostało. Bezmyślne i wyczekujące z dnia na dzień objawienia indywidua, wyczekujące na zasiłek jaki z domu, na przypadek jaki, lub też żyjące na kredkę.

Tych ostatnich było najwięcej. Jednem słowem, po przyjeździe moim na miejsce przeznaczenia nie słyszałem, aby którykolwiek z zesłańców chwycił się produkcyjnego zajęcia, wszyscy, jak zahypnotyzowani, czekali czegoś nieokreślonego, budowali zamki na lodzie; później dopiero, gdy poznali twardą rze-

czywistość, kto czem mógł i jak mógł, chwycił się pracy, choćby nawet w służbie, byleby tylko z głodu nie umrzeć.

Nareszcie dobiełem do Tasiejewa. Wieś ogromna, większa, aniżeli niejedno nasze miasteczko, sklepy liczne, zabudowania wszystkie drewniane, domy duże, ładne, okna wysokie, ulice szerokie, na głównej ułożony z desek chodnik. Zawieźli nas przed urząd wołosny. Jeszcze formalności, które nie tak to na poczekaniu się załatwiają! Zarząd wołosny to niby samorząd miejscowy, składający się z obieralnego „sołtysa“ i dwóch kandydatów, „gołowy“ i podobnie dwóch kandydatów, „starszyny“ i dwóch kandydatów. Pisarz wołosny prowadzi całą kancelaryę, o której utrzymanie targuje się ze zgromadzeniem. Etat na utrzymanie kancelarii zależy od obfitości traktamentu pisarza dla notablów gminy.

W kancelarii dużo jest pomocników, utrzymywanych, rozumie się, kosztem pisarza. A nad dwiema takimi „wołoskami“ jest z ramienia władzy urzędnik, zwany „zasiedatielem“.

Administracyę całą, różne sprawy bieżące podatkowe, wojskowe, wszelkie kwestye drogowe oraz przeróżne składki, „rozkładki“, sądownictwo, oświata, wszystko to załatwia urząd „wołosny“ w osobach „zasiedatela“, „starosty“, „gołowy“, „starszyny“, po większej części stronnie i arbitralnie, na poczekaniu, bez apelacji, sposobem patryarchalnym. Pocieszne, a i przykre zarazem, zdarzało mi się widzieć posiedzenia i sądy na poczekaniu!

Nareszcie już wieczorem zwolnili nas, i trzeba było szukać kwatery. Ponieważ Gołębiowski znal

już wcześniej zesłanego tu doktora Lisieckiego, tymczasowo zamieszkałego w Tasiejewie, na noc do niego się udaliśmy. Doktor Lisiecki przyjął nas życzliwie. Pan doktor, po trzydziestce, samotny, nie wiem nawet czy był kiedy żonaty, starał się o posadę choćby starszego felczera w jednej z licznych w tych stronach kopalń złota. Trudno się tam było dostać; kandydatów na różne posady było dużo. Każdy posady się trzymał i niełatwo się wyrzekął dobrze płatnych urzędników. Doktor Lisiecki upragnioną posadę wreszcie otrzymał, przeto o kilkaset wiorst dalej na północ się wyprowadził, nigdy więc już nie spotkaliśmy się z sobą.

Po herbacie znużeni podróżą poszliśmy spać.

Na drugi dzień zaczęliśmy roztrząsać różne ważne dla nas kwestye: o życiu tutejszem, o stosunkach, jak i z czego żyć, czem się dotychczas liczna już Polonia trudni, jakie nadal projekty i t. d.

„No dobrze, przyjechałem tu, jutro będę na miejscu. Dzięki Bogu, na jakiś czas jeszcze będę miał w czem chodzić, a nawet mam pewien zapas prowiantów w postaci: cukru, herbaty, jeszcze z domu wziętej. Ze stu trzydziestu rubli, które miałem na drogę, pomimo oszczędności, ledwo mi mało co więcej ponad dwadzieścia rubli pozostało. Z domu nie mogę się spodziewać pomocy, wobec stosunków, jakie dzisiaj u nas panują. Rzemiosła żadnego nie umiem, od rządu nic nie dostanę, więc jak sobie w takim razie radzić?“

„Są dwie rzeczy, których tu można próbować, mianowicie: handel i rolnictwo, ale do obydwóch potrzeba pieniędzy“ — odrzekł doktor.

„Z takimi pieniędzmi, jakie posiadam, ani jedno, ani drugie niemożliwe“.

„Niezupełnie. Ja tu już jestem kilka miesięcy i wszystkie kwestye, bliżej nas obchodzące, zbadałem. Za te pieniądze, które pan posiada, na początek mały handel można prowadzić; trzeba tylko umiejętnie się wziąć do rzeczy i w pewną cierpliwość uzbroić. Wszystkie takie interesy nam przez rząd są bez żadnych opłat dozwolone, owszem, mile widziane, a i to coś znaczy. Handel zaś tutejszy, o ile prowadzi go się z małym kapitałem, ograniczyć należy do tych tylko przedmiotów, które są tu najwięcej w użyciu, mianowicie: herbata w tabliczkach, tytuń machorka, cukier w niewielkiej ilości, gdyż go tu mało używają i jest drogi, świece, trochę zapalek i konfetki“.

„Cóż to jest „konfetki?“

„Konfetki i „prianiki“ są to cukierki i pierniki, cedrowe orzechy też zbyt większy w handlu miejscowym mają“.

„Co kosztowałyby furmanka do Kańska?“

„Tu na miejscu można się zaopatrzyć, jest tu sklep hurtowy Gadałowa. Bogaty to kupiec i, jak będzie wiedział, że na handel sprzedaje, to z pewnością ustępstwo w cenie większe zrobi. Co się zaś tyczy przewozu, to na miejsce przeznaczenia podwoje dadzą, na którą można kłaść wszystko, co się podoba“.

Posłuchałem, pomyślałem, zastanowiłem się. Zresztą wyboru nie miałem; jedno z dwojga: albo pieniądze szybko przejeść, gdyż podług mego wyrachowania dłużej, niż na cztery miesiące, moich pieniędzy nie wystarczyłoby, albo też ryzykować w handlu.

Po głębokiem jednak zastanowieniu i rozwadze przyszedłem do przekonania, że nie można stracić i że żadnego ryzyka niema. Poszedłem więc poszukać owego sklepu hurtowego, pod firmą Gadałowa. Najpierw wypytałem się o cenę tych przedmiotów, w które miałem zamiar się zaopatrzyć, później spytałem się, czy mówię z samym p. Gadałowym? Odpowiedzieli mi, że nie, że jest tylko „dowierennyj“ tego sklepu i „prykaszczyki“. Przeto otwarcie owemu panu „dowierennemu“ powiedziałem, że wczoraj dopiero przyjechałem, że fundusze mam małe, ale że mimo to chciałbym wziąć niektórych przedmiotów na handel. „Pytam przeto, czyby pan nie zrobił jakiego ustępstwa od ceny, mi podanej?“ — „Owszem, dwadzieścia procent ustąpię!“

Podziękowałem. Wziąłem wówczas herbaty w cegiełkach sztuk 15 po 80 kopiejek — czyni 12 rubli, pud machorki—8 rubli; za rubla cukierków, za rubla pierników, za dwa ruble drobiazgów, o których się dowiedziałem, że są po wsiach poszukiwane. Cukru zaś miałem jeszcze z 15 funtów swego, gdyż odzwyczałem się i prawie go nie używałem do herbaty.

Z tym towarem na drugi dzień wybrałem się najniespodziewaniej, już jako kupiec, na miejsce, przeznaczone mi na bezterminowe osiedlenie.

27 lutego 1865 r. w nocy stanąłem wreszcie na miejscu, przeznaczonem mi na osiedlenie. Gołębiowski przyjął mnie na swoją kwaterę do czasu wyszukania sobie innej, zresztą po nocy nie było co myśleć o szukaniu innej. Po przyjeździe zacna gospodyni Gołębiowskiego nastawiła samowar. Napiwszy się herbaty, poszliśmy spać. Lud syberyjski odznacza się wielką ciekawością, to też gospodyni zaczęła się zaraz wypytywać: „Co to za jeden? czy na długo przyjechał?“

Gołębiowski opowiedział, że jestem kupcem, przywozłem towary i że będę tu mieszkał stale. Jeszcze spaliśmy w najlepsze, kiedy już cała wieś wiedziała, że w nocy przyjechał „Polaczok“ młodzieńki i przywiózł ze sobą towary, że będzie we wsi kupiec.

Nazajutrz, wstawszy, rozejrzałem się w sytuacji. Najpierw dziwno mi było, że to już ani dziś, ani jutro nie każą jechać dalej. Trzeba było przedstawić się jeszcze ostatniej władzy, trzeba było znów dwanaście wiorst jechać!

Po załatwieniu tej formalności można było spokojnie w domu posiedzieć i odpocząć.

Z gospodynią Gołębiowskiego umówilem się o kwaterę i za siedm rb. miesięcznie miałem kwa-

terę, opał, usługę, samowar bez herbaty i cukru, oraz skromne jedzenie na obiad.

Golebiowski otrzymywał z domu dziesięć rubli miesięcznie, ja zaś fundusze moje czerpać miałem z handlu. Handel mój był tak skromny, że trzeba było młodzieńca niedoświadczonego, jakim ja byłem, aby wierzyć, że z zarobków starczy mi: na stancję, życie i podwoły do miasta, oddalonego o sto dwadzieścia wiorst. Wioska, w której zamieszkałem, „Kondratjewa“, była nieduża, składała się z dwudziestu trzech osad zamożnych i czterech biedaków, ale na szczęście nie było tam żadnego handlującego, dopiero ja pierwszy się zjawiłem. Żaraz też na wstępie doznałem życzliwego przyjęcia.

W pierwszą niedzielę zaraz z rana wszystkie, jakie były we wsi, dziewczyny, w liczbie kilkunastu, zeszły się do mnie popatrzeć na moje towary. Zwyczaj miejscowy każe, aby gości częstować herbatą; to też gospodyni moja zajęła się poczęstunkiem, i przyjęcie herbaciane odbyło się, jak należy, dla formy jednak więcej, gdyż dziewczęta z domu wyszły już po herbacie.

Każda z dziewcząt kupiła coś z drobiazgów; do wieczora tak handel poszedł, że towaru mało co zostało. Najbardziej się zadziwiłem, a zarazem ucieszyłem, kiedy w tydzień po przyjeździe zrobiłem rachunek nad podziw zadowalający. Posiadałem trzydzieści rb. i jeszcze towaru trochę zostało. Z pieniędzy pojechałem natychmiast do Kańska po świeże towary; i odtąd stale trzy razy na miesiąc jeździłem po towary.

Martwiło mnie to, że droga do miasta dużo mnie

kosztowała, w dodatku trzeba było na każdą taką jazdę cztery dni w drodze zbalamucić.

Tymczasem nadszedł czerwiec, nastały roboty w polu; podwoję trudno było znaleźć. Ponieważ często musiałem jeździć do miasta, nie pozostało nic innego, jak konia nabyć wraz z wozem i uprzężą; wypadek ten znacznie mi poderwał fundusze, ale nie o tyle, żeby nie było z czem jechać.

Mając konia i spodziewając się częstszych wyjazdów, zmieniłem kwaterę: wynająłem stancję tylko z chlebem, samowarem i usługą; co się zaś tyczy żywności, to gospodyni moja zobowiązała się gotować z moich produktów i tylko wtenczas, kiedy byłem w domu.

Teraz zmieniła się postać rzeczy! Własnym już koniem przywożę towary: kilka rubli za każdym razem oszczędzone! Życie prowadziłem jakkolwiek niegłodno, ale oszczędnie. Nadszedł czas kośby; postanowiłem dla konia, na czas długiej zimy, sam nakosić trawy, aby siana nie kupować, co przy dobrych chęciach łatwo poszło. Jeżdżąc do miasta, po drodze w każdej wsi porobiłem znajomości: wypadło to koniowi odpocząć, to na noc zajechać; a umiałem się tak obchodzić z gospodarzami, że w każdym domu byłem mile widziany i po większej części uważano mnie za milego gościa.

Datków pieniężnych prawie że nie przyjmowano, choć ja za gościnę tę starałem się wywdzieńczyć w inny sposób.

Blizcy sąsiedzi gospodarza, u którego się w drodze zatrzymywałem, schodzili się, skoro tylko dowiedzieli się, że jestem, i brali niektóre potrzebne im przed-

mioty, jak herbatę, tytoń i t. p. Czasem, jak dobrze poszło, to i z drogi trzeba było zawracać po nowe towary do miasta, bo do domu nie byłoby z czem przyjechać. Najlepszy jednak był handel w domu po przyjeździe moim z miasta.

Wsie przeważnie są duże, a niektóre bardzo duże, tylko położone zdala od siebie i od głównych punktów handlowych. Bogatszy włościanin może sobie pozwolić na to, by zrobić, przypuśćmy w zimie, wycieczkę do miasta i tam nakupić potrzebnych na długi czas rzeczy, które może nawet odstąpić sąsiadowi. Bogatych jest niewiele, więc wszyscy przeważnie zaopatrują się u kupców wędrownych, którzy jeżdżą wozami ładownymi z wszelkiego rodzaju towarami. Kupcowi jednak trzeba płacić gotówką, a tu często zabraknie jej narazie.

Taki zaś kupiec, jak ja, wiejski, miejscowy, najczęściej na kredyt dać musi, a dłużnicy, muszę przyznać, jak mogli, się wyplacali.

Wśród różnych czynności, zabiegów zeszło lato, i jesień już nadeszła, a ja się zagospodarowałem nieźle. Towarów miałem zapas, a i grosz jaki taki się znalazł tak w domu, jako też u ludzi. Na zimę potrochu robiłem zapasy, wymieniając swoje towary na produkty spożywcze: zaopatrzyłem się w mąkę, kaszę, masło, nawet mięso, które, zamrożone, całą zimę świeże i zdrowe, leży do wiosny w spiżarni.

Tak więc najniespodziewaniej byłem na drodze do fortuny, co widząc, koledzy moi, sąsiedzi polskim zwyczajem zaczęli mnie naśladować. Nie wiem jak gdzieindziej, ale w kańskim okręgu wszyscy brali się do hadlu, wzorując się na mnie i na Julianie i Lu-

dwiku Bagniewskich, którzy mieszkali o trzydzieści wiorst od miejsca mego pobytu.

Później namnożyło się handlarzy, jak grzybów po deszczu. Byli tacy, którym się nieźle wiodło, ale więcej było takich, co tylko pośmiewisko z siebie robili.

W każdej wsi był przynajmniej jeden polski handel, jeżeli nie więcej.

Zima zeszła szczęśliwie, nadeszła wiosna. Długo trzeba na nią czekać, ale jak przyjdzie, to promienie słońca stają się tak ciepłe i ożywcze, że, jak za dotknięciem różdżki czarnoksięskiej, wszystko odżywa niewidzialnie, i cała natura odświeżnie się przyobleka. Ciężką zimą znudzony, zapragnąłem użyć wrażeń wiosennych.

Rano po herbacie wybrałem się w step, rzadką porosty brzezina, który stopniowo zamieniał się w dosyć gęsty sosnowy las. Ciepło było mocne, opar z ziemi wychodził, zdawało się, że lada chwila, w jednej sekundzie brzezina zielonym liściem się okryje.

Prawdziwie rozkoszowałem się, całą piersią wdychałem balsamiczne powietrze. Wszedłem w las sosnowy. Szedłem ścieżką, przez bydlę wydeptaną.

Spostrzegłem leżącą wpoprzek ścieżki przewróconą sosnę. Nie dożyła ona widać późnego wieku, gdyż grubą nie była, z korzeniem też nie była wyrwana, tylko toczona przez jakąś chorobę, potężnym murszem okryta; widocznie przez burzę, czy też pod ciężarem obfitego śniegu została zwalona, jak podcięta kosą, całą długością legła na ziemię.

Siadłszy na niej, zamyśliłem się nad losem sosny i—moim. Drzewo, jak kłos podcięty, leży na ziemi,

leży i, być może, spróchnieje na ziemi ojczystej, i swymi prochami użyźni ziemię macierzystą! — Któż wie, co ze mną się stać może? Czyżby prochy moje tu, na obcej, dzikiej i bezludnej ziemi, wśród plemienia obcego poniewierać się miały? Na tę myśl dreszcz mnie przeszedł.

Nagle z pod nóg wysunęła mi się jaszczurka. Zerwałem się szybko, skoczyłem na leżącą sosnę, zeskoczyłem na drugą stronę i poszedłem do domu. Cały mój spacer mógł trwać godzinę, nie znużyłem się przeto chodzeniem, a już niedaleko domu czułem w sobie niepokój, dreszcze i osłabienie. Zaniepokojony, pośpieszyłem do domu, by się gorącej napić herbaty. Niewiele herbata mi pomogła; czułem, że wzmagala się gorączka. Nie było rady, trzeba się było kłaść do łóżka.

Przyszedł Gołębiowski, popatrzał, posiedział, ot i cała rada. W nocy gorączka się wzmogła. Od tej chwili zeszły mi długie dwa tygodnie pomiędzy życiem a śmiercią.

Po dwóch tygodniach czułem się zdrowszy i zapragnąłem wyjść, aby trochę posiedzieć na dworze. Powietrze było łagodne, dzień pogodny. Najwyżej pół godziny przesiedziałem, wystawiony na promienie słońca, gdy znów poczułem się niedobrze. Powróciłem do łóżka, z którego nie podniosłem się aż po czterech tygodniach.

Choroba moja była tak ciężka, że nikt nie chciał mnie wieźć do szpitala odległego o 120 wiorst, gdyż każdy był pewien, że w drodze umrę. W ciągu mej niemocy doznawałem wiele współczucia od mieszkańców wsi, a osobliwie kobiet; jedna przez drugą

radziły, czemuby zwalczyć chorobę. Stało na tem, aby, pokryjomu przede mną, pod posłanie wsadzić parę kos. Śmierć, podobno, chodzi tylko z jedną kosą, jak zobaczy dwie pod posłaniem, przeleknie się i ucieknie.

Rada w radę, rada w czyn: gospodyni i jej kumoszki, pod pozorem poprawienia mi pościeli, włożyły mi nieznacznie dwie kosy na spód łóżka; po tym zastosowanym środku pewne były, że już jestem uratowanym, śmierć się zleknie i nie przyjdzie.

W kilka dni po owej operacji z kosami do mojej gospodyni zeszło się kilka kobiet dowiedzieć się, czy kosy poskutkowały. Ja tego dnia byłem tak chory, że, jak mi później opowiadali, pewni byli, iż lada chwila umrę.

Kiedy więc kobiety weszły i mnie w malignie i gorączce ciskającego się zobaczyły, pewne, że to są ostatnie moje chwile, uderzyły w dziki, im właściwy, pogrzebowy płacz. Jednocześnie kilka rajfurek poleciało zaraz na wieś ogłosić, że ja już umieram.

Kto mógł, dążył zobaczyć mnie jeszcze żyjącego. Ja zaś nie umierałem; gorączka nawet cokolwiek się zmniejszyła. Przesilenie choroby tak mnie wyczerpało, że leżałem na łóżku omłdłały, do trupa podobny. Baby, stróżujące mnie, jak to zobaczyły, skoczyły w te pędy do stolarza, żeby przyszedł brać miarę na trumnę.

Kilka z nich zostało przy mnie i oplakiwały umarłego. Po kilku chwilach nadszedł stolarz wziąć miarę na moją trumnę. Gospodyni z córkami miały mnie umyć i ubrać. Do tej operacji użyły wody zimnej i kiedy mnie rozebrały i umaczanym w zimnej

wodzie gałganem obcierać zaczęły, ja naraz oczy otworzyłem i „co to jest?”—zapytałem.

„Więc ty żyjesz?” Uradowane co duchu nazad ubierać i do stolarza, by trumny nie robił, posyłać!

Ja od tej chwili odzyskałem przytomność i z ciężkiej niemocy pomalutką się dźwigałem. Dziesięć dni jeszcze zeszło, zanim całkowicie wydobrzałem i z domu wyjść mogłem. Choroba, sądząc z przebiegu i siły, była tyfusem. Jak szybko i gwałtownie na łóżko mnie powaliła, z taką też szybkością, obroniwszy się umieszczonemi w łóżku kosami, przychodziłem do zdrowia. Lata młode, wzmożony apetyt szybko przywróciły mi siły, a czas też był po temu, gdyż czas kosy już nadchodził, trzeba było koniowi na zimę przysposobić siano.

Nie jeden zapytał: a cóż się przez czas choroby z koniem stało? kto się nim opiekował? Koń mój w czasie mej choroby opiekował się sam sobą, i dobrze mu się działo, a kiedy wyzdrowiałem, już był blisko domu i prawie codzień przychodził do wsi przedstawić się swemu gospodarzowi.

Wieś bardzo rzadko ziemie orne ma w pobliżu; są one o kilka, kilkanaście, a nawet często kilkadziesiąt wiorst od wsi oddalone. Każdą wieś w promieniu kilku wiorst otacza płot wysoki i mocny. Przy każdej drodze publicznej, wchodzącej w obręb zagrody, jest postawiona budka; tam przez lato (do 1 października) mieszka wynajęty człowiek, którego obowiązkiem jest każdemu przejeżdżającemu wrota w ogrodzeniu otwierać i za nim zamykać.

W tem ogrodzeniu, zwanem po miejscowemu „paskotina” (pastbische i skotina—pastwisko bydłace),

przez lato wszystkie konie ze wsi, osobliwie matki, źrebaki i ogiery, czyli tak zwane „tabuny”, są zamknięte. Jak nadejdą upały, konie umykają na dzień do wsi, gdzie im nie tak dokucza robactwo i gorąco. Kiedy się zaczynają chłody, ma się ku jesieni, konie chodzą wokół płotu i szukają wyjścia poza „paskotinę”. Do wsi już nie przychodzą. Jeżeli tylko pomiarkują, że płot w którym miejscu jest słaby, napierają nań dotąd, dopóki się nie przewróci, co gdy nastąpi, wszystkie wychodzą na zewnątrz.

Cała „paskotina” jest podzielona w stosunku do ilości gospodarzy we wsi, i jeżeli tabuny koni wyjdą i szkody w polu porobią, odpowiedzialny jest za to i za szkodę płaci nie ten, czyje konie, ale do kogo należy przełamana część paskotiny.

Pod koniec września żadnych na polu zbiorów już niema, ale ponieważ stodoły tam nie znajdują, przeto wszystko zboże jest złożone w sterty, które przed 1 października winny być płotem ogrodzone, gdyż od tego dnia konie już na swobodę puszczają i wtedy za zniszczone zboże w stertach nikt nie odpowiada, tylko niedbaluch gospodarz, co stert nie ogrodził.

Tabuny takie dwa razy do roku wypuszczają w świat. Jak tylko powietrze cokolwiek zaczyna się ocieplać, a śniegi już na dobre giną, oprócz koni, co są potrzebne do roboty wiosennej i koło domu, pozostałe wszystkie wypuszczają w świat. Na pagórkach, gdzie śniegu niema i starej trawy jest obfitość, konie mają gotową już paszę, a gdzie jeszcze dużo śniegu, odgrzebuja frawę kopytami. Ale z każdym dniem ciepło się potęguje, śniegu ubywa; konie też oddalają się coraz dalej od wsi w świat za pożywieniem.

W tabunie przewodzi ogier, który cały tabun prowadzi i w każdym miejscu czujne ma oko na każdą powierzoną mu sztukę. Tabun taki zwykle zawiera sztuk 30 do 50, ale zdarzają się i mniejsze, a znów bywa, że jeden gospodarz i po kilka tabunów posiada.

Żaden pastuch takby nie upaś i nie przypilnował każdej choćby chorej sztuki, jak ogier, któremu tabun został powierzony. W razie gwałtownego napadu wilków ogier prędzej sam zginie w obronie stada, jeżeli się obronić nie zdoła, lub też jeżeli się tylko pojedynczy znalazł tabun; gdy zaś w pobliżu kilka tabunów się pasie, wtedy w chwili napadu wilków wszystkie, jakie tylko są, choćby i wałachy, w oka mgnieniu do jednej zbijają się gromady, wszelka młodzież w środek, matki i starsze wokoło łbami do środka, a ogiery luzem wokoło. Tak przygotowanych wilki nie mają odwagi zaczepiać, a gdy tylko się oddalą, każdy tabun się oddziela i w swoją udaje się stronę.

Ogierzy to przewodniki sprytne i inteligentne stworzenia, i wielką jest przyjemnością na nie patrzeć.

Tabun też cały jest niewolniczo posłuszny ogierowi, a każda sztuka doskonale pojmuje jego niezadowolenie i szybko w razie przekroczenia ucieka, by uniknąć jego gniewu. Mieszkańcy, kiedy skończą siewy jare, puszczają i resztę koni roboczych do „paskotiny“; sami zaś biorą się do robót wiosennych, jako to: reperują „paskotinę“, gną brzoźowe sianie, wywożą z okólników nagromadzony nawóz nad rzeki, aby w razie dużej powodzi woda zabrała (co u nas stanowi źródło bogactwa, tam jest tylko przeszkodą).

Kiedy „paskotiny“ ponarządzają, wsiada młodzież na konie, i wszystkie tabuny w promieniu wiorst

kilkunastu zgania do „paskotiny“. A wtedy od wsi do wsi wiadomość idzie, że ogier takiej to maści jest w tej to wsi. Niema zdarzenia, aby konie mogły zaginać.

Zganiają przeto wszystkie konie do swoich „paskotin“, i wtedy te, które mają iść do zaprzęgu, objeżdżają. Trudna to z nimi sprawa, bo mocno są zdziczałe i, oprócz woli ogiera, nikomu dotychczas nie uległy.

Tabuny spędzone, wszystko zboże jeszcze jest przy ziemi, gdyż wszelka wegetacja, jakkolwiek nagła, ale późno się zaczyna. Stare stepowe trawy po moczarach, zaroślach, bajorach, łąkach już wyschły; a wtedy je zapalają.

Często ze swemi myślami lubiłem włóczyć się po gładkim stepie. Poza sobą zostawiałem wieś, po prawej stronie ciągnął się pusty step, rzadką brzezina porosły; wprost szła droga, na lewo płynęła rzeczka „Typolczyk“, w wodę przeważnie wiosną bogata. Zdala zarysowywało się tło gęstego lasu; zaś nad rzeczką z obydwóch stron rozciągały się łąki, porośłe grubą i wysoką trawą i rzeżuchą.

Łąki te to prawdziwe moczary, na których nie było kawałka gładkiej murawy, lecz kępy jedna przy drugiej, pomiędzy którymi całe lato woda stała, kępy, gęsto gajami krzewów przeróżnych porośłe. Szeroko i bardzo daleko step się rozciągał.

Przez lato stały setki stert siana na łąkach, czekając mrozów, gdyż tylko w zimie wywozić je można, kiedy śnieg wszędzie drogi wyrówna.

Za wsią, niedaleko drogi, był kamień, ogromny głaz; często na nim siadywałem; o sto kroków może, na lewo, był cmentarz, parkanem ogrodzony.

Noc była cicha, tajemnicza.

Księżyc z za lasu wypłynął.

Siedziałem na glazie koło cmentarza i patrzałem na księżyc. Jak też to jasno dziś nad całym wschodem! Co to? — duch jakiś w postaci zwierza leci ku cmentarzowi! Kosmate to, a spore. Chyba pies przeleciał.

O, leci coś drugie i trzecie. To jelenie. Co to jest? Jak one przez te wody przeszły? Ale też to widno się robi, jak w dzień! Naraz nad borem, w jednym miejscu, błysk się pokazał, w drugim, trzecim.

Lasy się palą! Niebo całe płonie. Zdaje się, że księżyc w żarze się spali! Cały wschód gore! przybliżają się płomienie, i to tak szybko, że nie nie ujdzie grozie żywiołu! Ktokolwiek stanie mu na drodze — zginie! Wreszcie morze ognia całą potęgą wylewa się z lasu na obszerne błota na rzeką, jak lawina z krateru rozlewa się po stokach góry.

Któż jest w stanie opisać grozę i potęgę żywiołu, a zarazem jego wspaniałość! Całą równiną, jak okiem sięgnąć, płynie ogień, syczy, zwija się, wykręca, jak wąż się ślizga, do gaju doszedłszy, pod niebo w miliardy skier wytryska!

Czas kośby nadszedł wreszcie. W połowie lipca podług nowego stylu w najlepsze kośba się odbywa. Gospodarz każdy chodzi kosić z domownikami.

A więc: starsi i młodzi, oraz od dwunastu lat dziewczyny, muszą trawę kosić. Proszę sobie wyobrazić takiego robotnika: upał, kosa w rękę, twarz w siatce (t. j. kaptur na głowie, a rodzaj sitka na twarzy), pot strugą ze znoju i natężenia po twarzy się leje, brak oddechu, gdyż siatka swobodnie oddychanie tamuje i potęguje żar, w dodatku pomimo

siatki muszki zjadliwe i cięte wciskają się i dokuczają.

Komary zaś są tak nieznosne, że tylko przed dymem cokolwiek ustępują. Kiedy szedłem z kosą, musiałem się na miejscu dziegiem wysmarować, siatkę na głowę włożyć i prawie ciągle fajkę w zębach trzymać, od czasu do czasu, szybko siatkę zdejmować i natrętne muszki wytrząsać, napowrót śpiesznie siatkę nakładając.

Plaga to dla ludzi, ale też i wszelkiemu stworzeniu da się we znaki. Miejsca ukąszone straszliwie swędzą, tworzą się bąble tak przykre, że do krwi drapać trzeba; tylko jedna łaźnia na to pomaga.

Okres komarów i muszek trwa tylko przez lipiec i sierpień; później już zima robactwo wytraca. Całe jeszcze szczęście, że te jadowne muszki tylko w polu rozpościerają swoje panowanie i że we wsi ich niema; swobodnie i z odkrytą twarzą można chodzić po wsi.

Ciężka była, przykra kośba; ale potrzeba znievolili mnie do tego; później zaś miałem to zadowolienie, że dla swego konia siana miałem dość i kupować już nie potrzebowałem; wreszcie wolałem sam kosić, niż być od takiego chamusia syberyjskiego zależnym.

Lato krótkie i znojne prędko schodzi. W początkach sierpnia już przymrozki się zdarzają, bardzo duże szkody w zbożach jarych czyniąc, jedno tylko żyto, na zimę siane, i to wcześniejsze, na podobne przymrozki mniej jest wrażliwe; lecz tego niezbyt wiele sieją, a przeważnie: jara pszenicę, jęczmień bardzo mało, owies i jarzę.

Najczulsza jest pszenica i ta często tak zmarznie, że nie niema ziarna, tylko same plewy. Żyto jare tak samo; to też zboża te do mielenia na mąkę i chleb już niezdatne; chyba, że nędza i głód do tego zmusi. Jare zboża używają na wyrób kwasu. Tylko zasobny gospodarz, który posiada stare zapasy, jest w stanie klęskę głodową przetrzymać; biedota zaś wiesza się zwykle przy bogatszych, którzy umieją ze swego położenia skorzystać: wyzyskują nędzarzy, każą długi spłacać robotą, pomimo to z długu nigdy się wypłacić nie można.

Jesień się zbliżała, ale dni słoneczne i ciepłe jeszcze były, wybrałem się przeto do miasta z kwotą, jaką posiadałem, po towary. Szczęśliwie powracałem, a już mrok zapadał, kiedy dojeżdżałem do przedostatniej wioski „Makarowa“, w której mieszkali koledzy wygnańcy.

Miałem jeszcze ze dwanaście wiorst do domu; przeto na krótki odpoczynek do kolegów zajechałem; nie chcieli mnie jednak łatwo puścić, tylko zatrzymali na herbacie, zmuszony przeto byłem dłużej pozostać.

W czasie picia herbaty wszedł do stancyi jeden jeszcze towarzysz (skąd on był, gdzie mieszkał, nie wiedziałem) i mówi do mnie: — „Byłem w Kantratiewej“. — „No, i co tam słyhać?“ — „Dobrze wszystko; tylko jacyś ludzie przyjechali, nasi, wygnańcy, świeżo przysłani; zamożni widać, bo z dużymi tłumokami. Mówią, że, od samego Krasnojarska jadąc, wypytują się o zesłańców i radzą im, by przystąpić do wspólki do handlu.“ — „Co? do wspólki ze mną?“ — „Tak“. — „A to oni nie mogli gdzieindziej

się osiedlić i handlować? A gdzież się oni teraz zakwaterowali?“ — „Czekają na pana, a tymczasem na noc pozostali u Gołębowskiego“.

Dowiedziałem się jeszcze, że jeden z przyjezdnych niby to kupców był gwardyanem, gdzieś w Płockiem, drugi zaś—coś nieokreślonego, pono leśniczy. Kiedy jednak później poznałem go, doszedłem do przekonania, że najwyżej był gajowym.

Przyjechałem do siebie późno i zaraz też spać poszedłem. Że późno przyjechałem, przeto gospodyni okiennic nie otwierała; drzwi zaś do mego mieszkania były już otwarte.

Leżałem na łóżku, kiedy ktoś, nie pytając się, ostro otworzył drzwi i wszedł do stancyi, grubymi obcasami z góry waląc o podłogę, przeszedł wzdłuż pokoju, przystanął, a że ja nie dawałem znaku życia, chwilę postawszy, nie zmieniając chodu na delikatniejszy, wyszedł. Po jego wyjściu, oburzony tym grubiańskim postępkim, zerwałem się z łóżka; gospodyni weszła właśnie z samowarem i tylko co zdążyła zamieść i uprzątnąć stancję, a ja umyć się i ubrać, kiedy znów już tym razem cała trójka się wtoczyła.

Spojrzawszy na nich, już bez objaśnień, mogłem wiedzieć, który z nich gwardyan, a który niby to podleśny.

Pierwszy wysoki, z brodą, a miną jezuity, jak wieprz, pomimo przebycia tak długiej i utrudzającej podróży, spasiony. Drugi, w średnim wieku, w szaraczkowem ubraniu, średniej tuszy, z miną hypokryty, pierwszemu wielce uległy i posłuszny. Obaj wcale na mnie dodatniego nie zrobili wrażenia i gdyby byli

ludźmi więcej uważającymi, spostrzegliby, że wcale z nich nie jestem zadowolony i, co za tem idzie, o interesie nawetby wzmianki nie robili.

Ale im głównie chodziło o to, by cudzym kosztem żyć; przybrali więc słodziutki i wielce uległe miny. Usiedli. Gołębowski siadł przy stole, na którym leżał papier i ołówek, i nieznacznie podsunął mi kartkę, a na niej napisane: „Bardzo ciepło, możeby się dało ich naciągnąć?“ „Może i można, ale beze mnie!“ — półgłosem odpowiedziałem.

Tymczasem gwardyan, nawykły Panu Bogu kazać, uznał za stosowne i mnie najpierw podkadzić; nuż więc wychwalać, że to ja pierwszy wziąłem się do zajęcia produkcyjnego, że od samego Krasnojarska tylko o mnie mówią i że właśnie im radzili, aby wprost do mnie jechać i handel mój większym kapitałem zasilić i na większą skalę rozwinąć.

„My zaś, ufając zacnemu i prawemu charakterowi pańskiemu, gdyż nam go wszyscy w drodze przedstawili, pragniemy w tym interesie przystąpić do współpracy. W tym też celu przychodzimy do pana w przypuszczeniu, że powiększenie interesu pańskiego powinno panu być na rękę“. — „Otóż to! Przyznam się, że wcale mi to nie na rękę“.

„Z powodu?“ — „Bardzo prostego: wieś nieduża, w dodatku po większej części zamożna. Gospodarze tutejsi bez mała wszyscy biorą towary od kupców przejezdnych, którzy, mając większą ilość towaru, taniej go oddają. U mnie zaś biorą tylko biedniejsi, lub bogatsi, kiedy im przypadkowo towaru zabraknie. Nadto, jak na teraz, powiększenie handlu jest zbyt ciężkie i kapitał mój jest zupełnie wystarczający.“ —

„Jak pan wspominał, po wsiach jeżdżą kupcy z towarami. Czyby, w tym razie, nie można się było podobnież urządzić?“ — „Owszem, ale najpierw kto będzie jeździł? Powtóre na to kapitał nie wystarczy; chcąc bowiem z towarami jeździć po wsiach, tysiąca rubli mało. Należy posiadać na wozie przeróżne towary łokciowe, od najtańszych do drogich, szkła, obuwie, skóry, słowem, zamożny sklep wędrowny, w którym nawet leków dostaćby można.“ — „To spróbować na mniejszą skalę.“ — „Nie wiem, czy by się to udało. Może. Ja nie mam przekonania do takiego interesu, nadto po ciężkiej chorobie włożyć się takbym nie mógł. Ani spokoju, ani wywczasu!“ — „To też pan spróbuje, czy projekt da się w czyn wprowadzić. Jeżeli będzie trudno, można się będzie w czas wycofać“.

Jeszcze jakiś czas spierałem się i przystać nie chciałem. Wtedy zagrozili mi, że sami tu na miejscu we wsi założą handel jeszcze zasobniejszy, przez co gorzej będzie z moimi interesami. Prawie pod przymusem uległem. Zrobiło się przeto obrachunek. Towaru było za osiemdziesiąt rubli, konia zaś, uprząż, wóz i siano rachowało się na siedmdziesiąt rubli, czyli razem ja miałem sto pięćdziesiąt rubli. Jeżeli mielibyśmy założyć spółkę, to każdy powinien był dać po 150 rubli; tymczasem gwardyan włożył 50 rubli, zaś leśnik tylko 30 rubli, niby to tymczasem.

Nie przypominam sobie, czem się tłómaczyli, dość na tem, że zacząłem się wybierać do miasta. Wspólnicy moi zaraz się zainstalowali u mnie. Uprowadziłem tylko, że fundusze na wykwinty nie pozwalają, a ja życie prowadzę skromne, lecz dotychczas

głodu nie zaznałem; w każdym razie z każdym groszem skrupulatnie trzeba się rachować.

Październik zaznaczył się zaraz na wstępie dobrymi przymrozkami, w ślad za nimi i śnieg przyleciał, ale jeszcze nieduży. Podążyłem więc do miasta szukać szczęścia. Miałem ze sobą sto rubli. Pierwszy raz z taką sumą wybrałem się po towary. Zdawało mi się przeto, że całe góry mieć będę towarów. Postanowiłem więc na seryo w kupca się zabawić.

Głównych przedmiotów, które w każdym razie zbyć można i na których się nigdy nie straci, wzięłem niewiele, a nabrałem rzeczy najniewdzięczniejszych, jak perkali, płócenka, chustek, chusteczek, igieł, szpilek, nici, pierścionków.

Są to rzeczy popłatne, ale mało pokupne. W dodatku dobrałem rzeczy szklanych: szklanek, kieliszków, filiżanek, w których przeważnie herbatę tu pijają, wszystkiego stosunkowo do ilości pieniędzy, którymi rozporządzałem.

Tak zwany „towar krasnyj“, t. j. łokciowy, brany nie na sztuki, lecz na łokcie, był mi tylko zawadą, gdyż zysk na tego rodzaju towarze był nieduży; całego, przeze mnie wziętego kawałka nikt nie brał, resztki zaś do niczego nie były użyteczne, stanowiły więc kapitał martwy.

Jednem słowem, już po zakupieniu tego towaru poznałem, że interesy zły obrót wezmą, gdyż handel podobny możliwy jest wówczas, gdy towar jest w dużych ilościach i przy jakim takim kapitale zapasowym. Cofać się zapóźno, trzeba więc było z tym towarem, jaki był, jeździć po wsiach okolicznych i, o ile się da, sprzedawać. Nadto trzeba się

było śpieszyć, bo lada dzień rzeka, nad którą miasto było położone, mogła stanąć, tak że ani na kołach, ani promemby nie przyjechał.

We wsiach, bliżej miasta leżących, wcale się nie zatrzymywałem, gdyż włościanie większą mają sposobność do zakupywania towarów w mieście; ściągnęłem przeto na noc do wsi, o pięćdziesiąt wiorst odległej, zwanej Mokrusza. Zwyczajem, przyjętym przez tamtejszych kupców, wsiadłem na konia, aby do każdego domu podjechać pod okno i wołać: „Przychodźcie towar kupować u tego to gospodarza“.

Wybiegali z niektórych domów z zapytaniem, czy krasny jest. Odpowiadałem: „Jest biały, krasny i czarny, jakt kto chce“. Śmieli się, ale potrochu przychodzili.

Okropnie mnie żenowało to jeżdżenie pod okna, ale cóż było robić! Zdażyłem ledwo jeszcze raz jechać do miasta i to szczęśliwie, gdyż po przejeździe na drugi dzień rzeka zamarzała, nie całkowicie, tylko kawałkami, skutkiem czego przejazd mógł być na parę tygodni wstrzymany.

Wracając z miasta, pojechałem inną drogą, zatrzymując się po wsiach. Wiedziałem o wiosce, zwanej Kaitkaj, do której trzeba było jechać manowcami. Dobrze drogi nie znałem, zdawało mi się, że droga dobra i niedaleka, 25 wiorst na przełaj, więc jechać postanowiłem. Jadę, bodaj nawet drzemiąc, i przypuszczam, że jeszcze z 10 wiorst mam drogi do wsi.

Las niezbyt był gęsty, tylko pieńków z pod śniegu sporo wyglądało, a tak wysokie, jak człowiek

po piersi, gdyż tak tam drzewa ścinają, że zdaleka można je wziąć za ludzi, stojących nieruchomo.

Najniespodzianie kilka wilków pędem prawie że na mnie wpada. Zobaczywszy mnie, raptem skręciły w bok; koń, zoczywszy wilki, szarpnął, wyrzucił mnie z wozu, a później, jak szalony, pędził naprzód, szynklem o pień zawadził, wóz przewrócił i pędził dalej, wlokąc wóz po ziemi. Paki z towarami powypadały z wozu, porozbijały się. Wreszcie koń zawadził ogłoblami o drzewo i stanął.

Szczęście, że się nie rozbiłem, ale nim się podniosłem, otrząsałem ze śniegu, zorientowałem się, co się dzieje, zeszła chwila. Spojrzałem, a konia nie widać wcale. Ot co to jechać manowcami leśnymi i drzemać! Teraz co będzie?

Koń parł naprzód, jak szaleniec, gdyż zdawało mu się, że wszystkie pieńki to wilki. Zatrzymał się wreszcie; ja zaś blisko trzy wiorsty musiałem gonić go po śniegu. Ślad był widoczny, nie potrzebowałem przeto się rozglądać i wyszukiwać. Koń stał, jak w febrze się trząsł, wóz cały rozbity, ogłoble połamane, paki porozrzucane, w kawałki rozbite! Ani moje siły, ani moja głowa do doprowadzenia tego do jakiego takiego ładu!

Najgorzej z wozem! Konia oswobodziłem z długi i reszty upręży, wsiadłem na niego i dojechałem do wsi.

Byłem tam już kilka razy.

Zajechawszy do znanego mi gospodarza, poprosiłem, żeby czempredzej pojechał ze mną ratować mnie w nieszczęściu, pozbierać wszystko i wóz przyprowadzić.

Gospodarz, do którego się o pomoc zwróciłem, wziął dwóch synów wyrostków i pojechał z nimi. Po dwóch godzinach mój wóz z towarami przyprowadzili, była już noc.

Byłem znużony, zobojętniały, nie dobrego nie wróżyłem sobie z tego zdarzenia.

Nazajutrz, rozpakowawszy, przekonałem się, że nie bardzo złego się nie stało; ale gdym zajrzał do tak zwanej „posudy“ — same skorupy, bardzo mała cząstka ocalała z pogromu! Na dwanaście rubli było straty, co przy tak małej sumie sporą stanowiło rubrykę.

To pierwsze niepowodzenie tak na moje usposobienie podziało, że zabobonnie przeczuwałem ogólne niepowodzenie i upadek. W księżę pieniądze nigdy nie wierzyłem, będąc pewnym, że i moje za sobą wyciągną. Trzy dni zeszło, nim wóz drzewem, żelazem i postronkami pościągany, można było użyć do dalszej drogi.

Spakowawszy cały mój dobytek, pojechałem, trzymając się tym razem prostej drogi, to tu, to tam jeszcze wstępowałem i dążyłem ku domowi.

Cała ta moja wycieczka handlowa niewielki rezultat przedstawiała, gdyż przeważnie kapitał w różnych fatalaszkach, jakkolwiek pewny, ale nie tak łatwy do zamiany na gotówkę przywoziłem. Pieniędzy utargowanych miałem około pięćdziesięciu rubli, ale za to głównego towaru, który ciągle jest potrzebny i który to właściwie jest podstawą handlu, już prawie nie miałem, jechać zaś znów do miasta nie mogłem, ze względu na rzekę Kan, nie do przebycia w tej porze roku.

Włókłem się przeto ku domowi, a po trzytygodniowej nieobecności nareszcie znużony wielce w południe przyjechałem.

Moi współnicy wiedzieli i widzieli, że przyjechałem, ale, zajęci obiadem, nie uznali za stosowne pomódz mi; gospodarstwo moi konia wyprzęgli i paki poznosili. Wspólnicy zaś moi właśnie zasiadali do stołu, kiedy ja wszedłem. Zachowaniem się ich uczułem się obrażony, udałem jednak, jakoby mi to było obojętnem, dobrze jednak ukryć uczuć nie mogłem.

Obojętny, siadłem do stołu, na pytania monosylabami odpowiadając. Ten gajowy doskonale znał się na kucharstwie, może on i kucharstwo praktykował, gdyż cały obiad przypominał mi kraj, na Syberyi takiegom nie jadł.

Menu obiadu: rosół z pulpetami, jakaś wątróbka w sosie pikantnym, pieczeń barania z rzepą, w kostki krajaną, i krem z konfiturami z borówek.

Jadłem, oczom swoim nie wierząc. Na wygnaniu, na wsi, przy nader skromnych dochodach obiad podobne jadać? Toż to nie idzie o podtrzymanie sił grzesznego cielska, ale o zadowolenie próżniaka i smakosza-pasibrzucha, który duże kapitały w gotówce musi posiadać, albo dochody odpowiednie.

Wytrzymać nie mogłem. Przy deserze powiadam: „Niegdyś, będąc dzieckiem, może lubilem łakocie, dziś zaś, po tak strasznych przejściach narodowych, życiu obozowem i więziennem, odzwyczaiłem się od nich, tem bardziej, że mnie na to, a nawet nie tylko na to, ale na taki obiad—nie stać!“ — „Jako, więc pan sądzi, że handel nasz nie przynie-

sie tyle dochodu, żeby nawet na tak skromny obiad wystarczyło?“ — „Stanowczo nie. Po to, by jeść takie obiady, trzeba mieszkać w dużej i ludnej miejscowości i obracać nie kilkudziesięciorublowym, lecz kilkutyśięcznym kapitałem!“ — „Ja przynajmniej, odpowiada gwardyan, inaczejbym żyć nie mógł“. — „Wierzę, ale w takim razie fundusz na to proszę czerpać nie z tego handlu, bo nie wystarczy“. — „A ja innego nie mam. Zresztą to dopiero początek, pójdzie lepiej. Produkty zaś tu są bardzo tanie. Co się utargowało w domu, tośmy zapas zrobili na zimę“. — „A czy dużo pozostało w domu towaru?“ — „Prawie nic niema“. — „No, to są pieniądze?“ — „Wszystkie wydane“. — „Jako? a na co?“ — „A kupiło się dwa worki krupczatki, pud masła, trzy bite barany, jedną bitą świnię, kaszy, kapusty, to i wyszło“. — „Wierzę, że wyszło. Ale to, co się kupiło, całą zimę można dostać, pieniędzmi zaś wydanymi możnaby obracać. O wiele taniej, a nawet prawie że nicby nie kosztowało“.

Tydzień posiedziałem w domu. Tymczasem sporych było parę mrozów, dowiedziałem się też, że Kan na dobre stanął, wyruszyłem przeto do miasta, zostawiając na własnych śmieciach darmożjadów. Dobre dwa tygodnie w drodze mi zeszło.

Po przyjeździe do domu miałem niespodziankę.

Ponieważ wszystkich księży wywozili do irkuckiej gubernii, do jednej miejscowości, i mojego przeto gwardyana tamże wywożą, z wielką niecierpliwością oczekiwał on mego powrotu, by mu pieniądze zwrócić. Jego zaś towarzysz został do innej wsi zesłany i również wymagał wypłaty, i to natychmiastowej.

Proszę wejść w moje położenie! Tyle tygodni siedzieli u mnie darmo, dobrze jedli, wszystkie moje pieniądze na zapasy zimowe wydali; za ich pieniądze nakupiłem dużo tego, co nieprędka, a bez głównych towarów to na wpół darmo, albo i wcale nie sprzedam.

Oni zaś sądzili w swym płytkim rozumie, że ja, jeżdżąc z towarami, duże zyski osiągałem, pieniądze mam, ale ukrywam i chcę ich skrzywdzić. Pojechali przeto na drugą wieś po towarzyszy-wygnańców, by swym wpływem wymogli na mnie, iżbym im zwrócił dane wkłady. Jeden z moich „wspólników“, niższego wychowania, ubliżył mi; sądząc po sobie, wprost mi oświadczył, że chcę sobie cudze pieniądze przywłaszczyć.

Otwarcie przeto powiedziałem, że należałoby się, by mi za utrzymanie zapłacili, gdyż ja zupełnie zostanę zrujnowany. Wszyscy mnie zakrzyczeli, że duże zyski ciągnąłem z handlu, nie należy się przeto nie mi zwracać. Tak uczulem osobiście obrażę, tak byłem podniecony, że, mając przy sobie pięćdziesiąt rubli, w tej chwili wypłaciłem je gwardyanowi; wiedząc zaś, że jeden gospodarz, mój znajomy, ma pieniądze, pobiegłem do niego i na krótki termin, a na duży procent pożyczyłem trzydzieści rubli. Przyszedszy, zapłaciłem ze słowami: — „A teraz, natychmiast, wszyscy wy opryszkowie, z mojego domu precz!“

Jak biczem trzasł, w jednej sekundzie wszyscy się rozlecieli, pozostałem sam.

Za miesiąc trzeba było oddać trzydzieści rubli i pięć procentu.

Namnożyło się teraz polskich handlów dużo, właśnie niedawno w sąsiedniej wsi dość zamożny

nawet jegomość założył sklep. Do niego pojechałem i wszystko, co miałem, za czterdzieści i pięć rubli ledwie mu wepchnąłem.

Nie czekając końca miesiąca, zwróciłem dług 35 rubli, zostałem więc z dziesięcioma rublami. Choćbym chciał konia sprzedać, niełatwa byłaby to sprawa, gdyż tu są konie tanie i każdy je hoduje. Że jednak miałem dla konia siano, kłopotu przeto wcale mi nie sprawiał, owszem, miałem choć trochę zajęcia: po siano na łąki jeździć, napoić go, zadać mu siana, a czasem gdzie i wyjechać.

Dzięki zapobiegliwości moich wspólników, przez zimę miałem co jeść, a że współtowarzyszy-wygnańców biedaków było dużo (wędrowało to ciągle od wsi do wsi, ziomeków nawiedzając), prowiantami można się było dzielić, gdyż tylko przez zimę na wartości nie tracą.

Nastało dla mnie trzecie z rzędu lato, trzeba się było wcześniej zabezpieczyć i cokolwiek obmyślić, aby przetrwać kryzys i z kłopotliwej sytuacji się wy dostać. Kupiłem pszenicy i parę pudów jarki. Były pustki w stepach, zaorałem je z pomocą mego gospodarza, w nadziei, że będę miał przynajmniej ziarna na swoją potrzebę. Siana swoim zwyczajem nasieklełem, zboża się ładnie wykłosiły, jest nadzieja, bo obiecująco wszystko wygląda. Okwitło bardzo przyzwicie, a ziarno prawie że całe jest, tylko aby szczęśliwie dojrzało — i żniwa.

Nieszczęście!

Wiatr zmienia kierunek, w nocy mróz, i cała nadzieja i złote marzenia prysły, jak bańka mydlana.

W tym czasie bardzo się fizycznie wyczerpałem; a tu prawdziwa bieda już zaczynała w oczy mi zaglądać.

Wtem otrzymuję z domu trzydzieści rubli. Pojechałem zaraz do miasta po towar i znów handlowałem. Ale już handel nie zajmował mnie, szło coraz gorzej, fundusze szybko się wyczerpywały. Chodziłem, jak automat; błądzić po stepie było najmilszą moją rozrywką. Co to się stało z owego łobuza, urwipolcia, wesolka! Często, bardzo często można mnie było widzieć, błądzącego po stepie, i to nie tylko w dzień, ale i w noc ciepłą księżycową. Strachów dla mnie nie było, ducha, pomimo że po cmentarzu po nocy chodziłem, nigdy nie spotkałem, najstraszniejsza tylko dla mnie była myśl, że tak daleko, na obcej ziemi, umrzeć mogę.

Tego lata do Kondratjewej nowych dwóch przybyło zesłańców: Gniazdowski, syn obywatelski z Plockiego, i Dziewanowski, młody, przystojny i bardzo miły chłopaczek. Pierwszy odbierał stale pomoc pieniężną z domu, drugi zaś widocznie nie był w tak szczęśliwym położeniu, gdyż musiał się zgodzić—za prostego parobka do miejscowego gospodarza. Niedługo jednak parobkował Dziewanowski w Kondratjewej. Po kilku tygodniach zgodził się do sąsiedniej wsi, Denisowej, do zamożnej wdowy, która miała młodą córkę, dość kochliwą. A że Dziewanowski był chłopiec ładny, umyśliły matka z córką, by go ożenić, gdyż humor panny zaczął się szybko zmieniać.

Dziewanowski najpierw Gniazdowskiemu się zwierzył, ten zaś nie wiedział, co mu na to odpowiedzieć i jak poradzić; umyślili przyjść do mnie, by wspólnie

nie nad tą sprawą się naradzić. Wysłuchawszy całej relacji i zastanowiwszy się nad sprawą, najpierw zapytałem: czy ma skłonności do niej i czy postanowił stanowczo się z nią żenić? Odpowiedział, że tak, jedno i drugie. — „W takim razie, po coście przyszedli do mnie? Powiem ci prawdę—mówię do Dziewanowskiego—że, jeżeli chcesz mnie prosić za družbę, to nie wymagajcież ode mnie, bym, do stu dyabłów, złej sprawie służył, i družbować ci nie będę. Czy myślisz, że cię tęsknota za krajem nie będzie zabijać? Czy nie boisz się w obcej ziemi kości swych położyć? Czy myślisz już na stałe w tym dzikim kraju się osiedlić? Czy nie masz tam rodziny, przyjaciół, znajomych, którzy, być może, tęsknią za tobą? Nie, tego nie zrobisz! A jeżeli pomimo to wszystko, com ci powiedział, w swych zamiarach trwać będziesz, proszę, nie przychodź do mnie po radę w tej kwestyi. Zwróć się raczej do pierwszego lepszego przechodnia o radę, gdyż ja nie znałem nigdy w życiu żadnego Dziewanowskiego!“

Pocziwy chłopak spłakał się. Gniazdowski poparł mnie, w kilka dni potem do nas się sprowadził Dziewanowski, porzuciwszy: służbę, gospodynię i jej córkę.

Matka nie dawała za wygraną, oddawała całą gospodarkę i gotówkę, jaką posiadała: dużo bydła stadniny, zapasy zboża, gospodarstwo zasobne, ale Dziewanowski stanowczo odmówił i przy nas w Kondratjewej na stałe zamieszkał.

Gniazdowskiemu zaś sprzykrzyło się w nędznej wiosce malej, i przeniósł się do innej, większej, później

do miasta, gdzie dla marnej mamony ze starą wdową po popie się ożenił. Nie znam dalszych jego losów.

Opowiedziałem już o sobie, o ludziach, z którymi losy mnie z wiązały. Należy też wspomnieć o kraju, w którym siedm lat mieszkać musiałem.

Sybir, kraj olbrzymi, przez Jermaka podbity, prawie był w owe czasy pusty, a i dziś, stosunkowo do obszaru, jest mało zaludniony. Okolice, którą jechałem od Permy i gór Uralskich, to kraj bogaty. Ziemie dziewicze, czarnoziemy, nie wyzyskane, gdyż nie miał kto i kiedy z tego bogactwa gleby korzystać. Trochę tylko klimat jest przyostri, ale nie tak przecie, żeby żyć tam nie można było.

Dwie pory właściwie są w roku: lato, krótkie, z silną wegetacją, gorące, i zima długa, do której przyzwyczaić się można i nie wydaje się tak przykłą, za jaką ją wszyscy uważają.

W październiku już rzeki stają, do Bożego Narodzenia przeważnie śnieg pada, później już się nie zdarza żadna odwilż, lecz stale mrozy, z początku bardzo duże. Trafiają się, choć bardzo rzadko, przy dużych mrozach wiatry, i wtedy wszelkie życie przestaje pulsować. Mrozy, dochodzące do 40°, trwają parę lub kilka dni, zaś 20-stopniowe wytrzymują całymi tygodniami.

W tak zwaną „maślennicę“ bywały prawie zawsze dwudziestokilkustopniowe mrozy. Mówię o tej okolicy, w której mieszkałem, dość ku północy wysuniętej.

Do wszystkiego się można przyzwyczaić!

Mając stosowne ubranie, krew młodą i gorącą, ciepłe mieszkanie, w razie podróży wygodne do ja-

zdy sanie, można nawet polubić klimat, gdyż wiatrów mało, o odwilży mowy niema, droga utorowana, tylko na trakcie wyboje i zatoki przykre się wydają.

W kwietniu słońce przygrzewa, i wolno, nieznacznie śniegi topnieją, później odrazu robi się gorąco, i śniegi w oka mgnieniu gina, wody spływają.

Zagrzmiało, ciepły padł deszcz — i w jednej godzinie drzewa liściem się okrywają. Jeszcze tak tydzień, a łąki okrywają się precudnym, wzorzystym kobiercem zieleni i kwiatów.

Ptactwo się zleciało! krzyk, gwar na błotach, bagnach, bajorach i licznych wodach! Wesołym gwarem gaje i krzewy rozbrzmiewają.

W pierwszym roku pobytu mego, kiedy kukułkę pierwszy raz usłyszałem, tęsknota mą duszę opanowała, a płacz rzewny, nieutulony długą chwilę mną wstrząsał. W jednej chwili myślą przenieśliem się do kraju rodzinnego!..

Rozkoszna ta chwila budzenia się natury ze snu zimowego! Śpiew w gaju, w krzaku kwilenie, wrzask ptasi i plusk na bajorach i błotach, krzyk żórawia w powietrzu, świst stada kaczek przelatujących!

Gdzieś, w gąszczach leśnych, pomruk niedźwiedzi, pojedynki jelenie, skoczne saren zawody, wszystko to tak cudne, że nieudolne me pióro opisać nie potrafi!

A co za tło przepiękne! Tu niezmierna przestrzeń zielonego stepu, bujną trawą porosłego, na którym, jakby od niechcenia, gaje z brzeziny i różnych krzewów, z fantazyą po przestrzeni porozrzucane;

z wszelkiego mięsiwa. W razie, jeżeli mają liczną rodzinę, biją po kilkanaście sztuk owiec, kilkanaście sztuk świń, a nierzadko po kilka sztuk bydła. Jeżeli trafi się kupiec na mięso mrożone, to część sprzedają, resztę zaś, o ile nie sprzedadzą i nie zużyją przez zimę, posoliwszy, suszą, gdyż w lecie o świeżem mięsie nielatwo.

A jednak, pomimo tak wielkiej obfitości produktów, włościanin syberyjski nędznie na ogół żyje. Głównem jego pożywieniem jest, powiedziałbym wyłącznie, herbata. Wypijając wielką ilość herbaty, przy niej spożywają moc różnego rodzaju pieczywa, jak: „blinów“, „szangi“, „oładji“, osobliwie pierogów, też kołaczy postnych oraz maślanych; jedząc, maczają to pieczywo w topionem maśle, zalewając to wszystko mnóstwem filiżanek herbaty z mlekiem, lecz bez cukru.

Te wszystkie smakołyki regularnie codziennie rano do herbaty są świeżo pieczone. Co zaś do potraw mięsnych, sztuka kulinarna jest tu tak pierwotna i prosta, jak przed tysiącem lat w Rosyi być mogła, żadnego nie znać postępu.

Mając tyle mięsiwa, zup żadnych innych nie znają, tylko tak zwane „szczy“, t. j. poprostu kawał mięsa, włożony w garnek, zalany wodą, zasypyany kapustą i posolony. Rosół taki bez żadnej opieki stoi w piecu po rannem pieczywie przez cały dzień; kiedy czas jedzenia nadchodzi, wystawiają garnek i taką rozparkotaną zawartość wylewają na jedną miskę, do której zasiada cała rodzina.

Jeżeli zaś zdarza się pieczeń, to ją podobnież w piecu bez żadnych przypraw, tylko jako kawał mięsa, położony na brytfance, posolony, podobnież

do szabaśnika na cały dzień wstawiają, a jedzą to gorące, bez widelca, pomagając sobie jedynie palcami, krają na drobne kawałki i wszyscy, czy gość, czy domowy, wspólnie spożywają łyżkami.

Jako przyprawę podają: kwaszone ogórki i rydze, przepysznie zakonserwowane. Pozatem, wszystko jedzenie jest tak pospolite, że nawet wspomnieć nie warto.

Tak było przed czterdziestu pięciu laty, dziś, być może, wszystko się zmieniło, a można rzec, że dużo rzeczy od Polaków-zesłańców Sybiracy przejęli tak w jedzeniu, jako też i w życiu towarzyskiem.

Ach! to życie towarzyskie! wstyd mi, ale wyznać muszę, że pod tym względem włościanin syberyjski o całe niebo wyżej stoi od naszego włościanina. Mówię o wsiach, życia bowiem miejskiego nie znałem wcale, gdyż ani czasu, ani sposobności nie miałem do studyowania miast.

Siedm lat z górą przebyłem na wsi, z ludem wiejskim, z naturą i ze zwyczajami wiejskimi się zżyłem, o nich też, o ile pamięć mi dopisze, chcę opowiedzieć.

Włościanie syberyjscy dzielą się na dwie kategorie: potomkowie zesłanych za karę na Sybir przed paroma wiekami — ci dziś uważają się za tubylców — oraz świeżo przybyli wygnańcy. Pierwsi są przeważnie zamożni, z lepszą ogładą, sprytni i inteligentni, zaliczają się do starych rodów. Włościanin, którego dziad albo i rodzic był zesłany, jakkolwiek do tej arystokracji sam się chętnie zalicza, jednakowoż przez tę arystokrację uważany jest za człowieka, z którym żyć wprawdzie można, z którym

atoli bliższych stosunków, zwłaszcza pokrewieństwa, zawierać się nie godzi.

Jednostki zaś, należące do trzeciej kategorii, świeżo zesłanych, które, nawiasem powiedziawszy, rzadko kiedy zasługują na miano człowieka, żadnego prawie udziału w życiu nie biorą.

A jeszczebym powiedział o czwartej kategorii, którą nie wiem nawet jak określić.

Są to wyrodki społeczeństwa, bez czci i wiary, wyjęte z pod praw Boskich i ludzkich, niczem oprócz twarzy nie przypominający ludzi, z instynktami, popędami i wszystkimi cechami zwierzęcia.

Mówię o „brodjagach“. „Brodjaga“ jest to katorżnik, wyjęty z pod prawa, za którego zabicie nikt nie odpowiada, przez mieszkańców Sybiru oceniany na wartość „wiewiórki“ (t. j. że, zabijając takiego, może na nim znaleźć tyle ubrania, ile warta skórka zdatnej na futro wiewiórki). To też w razie popełnionej przez „brodjagów“ kradzieży czy rozboju, cała wieś wsiada na koń z „gwintówkami“ i, jak u nas polowanie na zwierz, czyni się dla zabawy, tak tam, gdziekolwiek spotkają „brodjagę“, strzelają doń, jak do wiewiórki, dla rozrywki.

Polaków lud syberyjski traktował naogół dobrze. Zawsze, w każdym razie i wszędzie Polak-zesłaniec był wielce poważany, w obejściu, stosunkach towarzyskich, zwłaszcza przez młodą generację, skwapliwie naśladowany, w domu gościnnie i z pewnym szacunkiem przyjmowany.

Po moim wyjeździe podobno się dużo zmieniło na gorsze, ale podobno i postępowanie zesłańców polskich wielce się zmieniło też na gorsze, widocznie

dzika natura zbudziła instynkty zwierzęce, drzemające na dnie duszy ludzkiej, zawsze skłonniejszej do czynów złych, aniżeli dobrych.

Domy są tam budowane wyłącznie z bierwion sosnowych. Sień dzieli je najczęściej na dwie połowy. W jednej połowie cała rodzina złe i dobre chwile przeżywa. W pierwszej stancyi mieszkalnej są trzy ściany gładkie i puste, wokoło ławką zastawione, czwartą zaś ścianę wraz z drzwiami wejściowymi zajmuje przez całą długość piec-szabaśnik. Prawie że na wysokości pieca, mało co wyżej, jest ułożony, przez całą szerokość stancyi, z desek podpułap, który zwykle służy do wylegiwania się, czasami z próżniactwa, często z zimna, dla rozgrzania się.

Jeżeli są ciężkie mrozy, osobnik zziębnięty ucieka na piec, tam często z boku na bok się przewraca, bo go parzy. Kiedy grzania tego ma dość, ucieka na podpułap i najczęściej zasypia. Wszyscy domowi, a także i goście, lokują się tam na noc dla ciepła. Starzy, dzieci, młodzież, domowy, gość czy ktokolwiek inny, człowiek nieznany, wszystko to w razie zimna na owym podpułapie znajdzie pomieszczenie.

To jest jedna strona mieszkania; sień przegrada ją od drugiej, składającej się podobnie z pierwszej stancyi, obszernej, bez podpułapku, zwanej „gornica“, drugiej stancyjki, „kazionki“, w której podobnyż, jak w tamtej, jest piec-szabaśnik, służący tylko do ogrzewania. Tak w „gornicy“, jak i wogóle we wszystkich stancyach, są podłogi, a pod niemi — piwnice. Ale jest bardzo dużo mieszkań włóściańskich, składających się z kilku pokojów tape-

towanych, przyzwolicie w meble kosztowniejsze przybranych.

Mieszkańcy tamtejsi, czy to stary, czy młodzież, a nawet dzieci, są bardzo rozsądni. Nieraz satysfakcję miałem z chłopcem dziesięcioletnim rozmawiać. Jak on o każdej rzeczy rozsądnie się odzywał, a gdy go czasem, na próbę biorąc, skłaniałem do niegodziwości lub psoty, filuternie w oczy mi popatrzał i z całą swobodą odpowiadał: „Ty myślisz, że ja tak głupi i nie rozumiem, że tylko naumyślnie tak mówisz? Gdybym tylko tak zrobił, jak doradzasz, nigdybyś nie chciał ze mną rozmawiać. A co, czy nie prawda?”

— „Tak, tak, prawda! Ja tylko na żarty tak mówię. Tego się robić nie godzi” — odpowiadałem.

Zwyczajem tam jest, że niema żadnych godności: stuletni dziadek, ojciec, matka, pop, czy gubernator, wszystkich się przez „ty” traktuje. Może być jakiś dodatek: „Ty, batiuszka”, lub: „Ty, gubernator”. Z początku trochę mi się to dziwnem wydawało, ale później przyzwyczailem się, i obojętnem mi to było, choć już wielu przez „wy” do mnie mówiło.

Gościnność iście słowiańska. Jeżeli przyjeżdżam do znajomego gospodarza, w tej chwili wychodzi do mnie, konia wyprzega, w spokojnem miejscu lokuje i karmi. Gościa prosi do mieszkania; gospodyni, widząc przez okno gościa, przed dom zajeżdżającego, śpiesznie samowar nastawia, i nim gość zziębnięty zdąży się rozebrać, przywitać, już samowar wesoło szumi na stole, parą bucha, do rozgrzania się i posilenia przyzywa.

W rogu stancyi umieszczony jest obraz święty z wiszącą przed nim lampką, najczęściej jakiś bo-

homaz. Jak u nas przyjęte: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, tak tam gość, stając z powagą twarzą do rogu, zaopatrzonego w obrazek, trzy razy się żegna. Po skończeniu przemawia „zdrastwujtie”. I następuje przywitanie, skąd? dokąd? i t. p. zapytania i odpowiedzi. Jeżeliś zaniedbał tej formalności dopełnić, często ktoś z domowych zapyta: — „A co to! Ty nie chrzczony? do naszego Boga się nie modlisz?”

Włościanie żyją patryarchalnie, synów żenią, i ci wraz z żonami mieszkają w domu rodzica. Zdarza się, że starszy syn podobnie syna żeni i wszyscy w jednym się domu mieszczą, jednej głowie podlegają i jednej głowy z szacunkiem i uległością słuchają. Ojciec rodziny, dziadek, a nieraz pradziadek, nawet dorosłych wnuków, wszystkich w swej garści trzyma, każdy grosz świeży w jego kieszeni tonie.

Dopiero ze śmiercią patryarchy następuje podział; rozprzeżenie, niezgoda i nieład się wkrada, najczęściej jednak patryarcha za życia podział ustanawia, a po jego śmierci ściśle jego wolę wypełniają. Gruntem się nie dzielą, li tylko: narzędziami, inwentarzem, zasiewami i—jeżeli jest—gotówką.

Przynajmniej za moich czasów ziemia była dla wszystkich dostępna; kto chciał nowy płat ziemi obrobić, w rzadką udawał się brzezinę i nie karczował jej z korzeniami, tylko obcinał każde drzewko wokoło, a tym sposobem pozbawiając drzewa kory i soków, niszczył je; później, jak mógł i umiał, orał pomiędzy drzewiną — sochą, a po paru latach już i znać nie było, że w tem miejscu las był niegdyś.

Kiedy się zaś ziemia wyczerpuje i obficie rościć już nie chce, porzuca się i o inną podobnym-

że sposobem się stara. Bogaty, zabiegliwy włościanin nie czeka na wyczerpanie się kawałka roli, ale co rok zaopatruje się w nowy, przez co więcej obsiewa, a niejednen wielkie obszary uprawianego pola posiada.

Każdy włościanin jest zręcznym rzemieślnikiem i na wszelkie narzędzia gospodarcze prawie że nie wydaje. Wóz sam sobie robi, sanie, siodło, chomąto, wyprawia skóry na podeszwy, juchty, skóry baranie na kozuchy, skroi, uszyje i gotowy towar sprzeda. Piótna, płócienka, sukna na domowe potrzeby, wszystko to dobrze i bez kosztu sam robi, skroi, uszyje.

Ubiór nosi prosty: zimą samodziałową sukmanę, krojem do kozackich podobną, na to kozuch, jeżeli zaś gdzie jedzie, kładzie „dochę“, to jest futro bez sukna, sierścią na wierzch odwrócone, które sam przyrządza, ze skór upolowanych jeleni, sarn lub psów, których w tym celu dużo chowają; sporządza też ogromne rękawice, z tychże skór, oraz tak zwane na zimę „brodni“, dziwnego kroju chodaki, które u kupców nabywają. „Brodni“ te są tak wielkie, że, trzema arszynami sukna obwinawszy nogi zmieścić w nie można.

Na lato znów noszą w podobnym rodzaju, tylko mniejsze chodaki, „czerkami“ zwane. Butów używają tylko od wielkiego dzwonu. W dni ciepłe poważni gospodarze w tak zwane „azyamy“ w gościnę lub od święta się ubierają. Azyam jest to szeroka, z białego materiału, w różne wzorzyste kwiaty na tle aksamitnem wyszywana oponcza, którą pasem skórzanym ściągają.

Na lato zaś chodzą przeważnie tylko w kolorowych koszulach, na wierzch spuszczone, paskiem podwiązanych. Kobiety zamożniejsze z droższego materiału jubki noszą, salopki zaś zwykle ładnem futerkiem podbite, nierzadko atłasowe lub aksamitne, w każdym razie pod tym względem i tam już holdowanie modzie zauważyć się dawało.

Pomimo wielkiej ilości słomy, jaką posiadają i, jako rzecz bezwartościową, wyrzucają, używają na dachy desek. Prawda, że mają lasów w obfitości, z których wszelki materiał leśny czerpać mogą darmo.

Dziwnem to się zdaje, że, choć u nas przed laty lasów wszędzie był dostatek, skąd drzewo darmo być było powinno, słoma zaś, jako nawóz, dużą wartość dla gospodarstwa miała, wszędzie w Polsce są strzechy słomiane. Dlaczego domy naszych włościan nie posiadają podłogi, a tylko gołą ziemię ubitą, i wygląd niechlujny, brudny, cuchnący, i gdyby nie szereg od lat nie mytych, nad łóżkiem wiszących obrazów, możnaby sądzić, że się weszło do mieszkania, przez trzodę zajmowanego?

Mieszkaniec Sybiru w domu bądź to cudzym, bądź swoim, zawsze jest bez czapki i, choć w głowie może mieć pasorzyty, ale na ich katar mało zwraca uwagi i przy wejściu do mieszkania zawsze czapkę zdejmuje.

U nas zaś, czy zima, czy lato, chłop wiecznie u siebie czy w cudzym domu nie zna i nie rozumie, co to zdjąć czapkę! U nas bo więcej jest lud zezwierzęcony, gdyż od wieków gorzej zwierzęcia był uważany,

za to też terazniejsze pokolenie za winy, nie popełnione przez siebie srodze, pokutuje.

Każdy człowiek, który przestąpi próg chaty syberyjskiego wieśniaka, choćby za interesem przyszedł, uważany jest za gościa. Każdy gospodarz, choćby to był ubogi, ma samowar i wszelkie przybory, najczęściej eleganckie, do samowara, na przyjęcie gościa herbatę podają, a do niej swego pieczenia doskonale ciasta, w masle maczane.

Mój Boże, w późniejszym okresie mego na Sybirze pobytu nieraz mnie głód przycisnął i w domu jeść co nie było, wiedząc zaś o gościnności i dużym dla mnie szacunku mieszkańców wioski, w której mieszkalem, choć mię to trochę krępowało, zabezpieczałem się w takiej gościnie, aby tylko cierpliwiej dłuższą chwilę złych czasów przeczekać.

Czasem te moje niewinne nadużycia trwały krótko, czasami dłużej, chociaż nigdy i nikomu nie dałem poznać, że jestem głodny, nikt też nigdy nie przypuszczał, że nie mam i jestem w potrzebie. Wdzięczną też pamięć dla tego ludu zachowuję.

Życie prowadzą towarzyskie. W święta np. ktoś się wybrał z wizytą do sąsiada. Coraz więcej gości się schodzi, wszyscy piją herbatę, rozmawiają. Po pewnym czasie całe towarzystwo przechodzi do innego domu. Tam przyłączają się do towarzystwa, które już zastali. Razem wychodzą i idą dalej, aż wszystkie domy obejdą.

Jeżeli to są święta w rodzaju Bożego Narodzenia, Wielkiejnocy, Zielonych Świątek, wtedy nie obywa się bez wódki i większej libacyi. Na Boże

Narodzenie młodzież urządza wspólne zabawy towarzyskie z towarzyszeniem śpiewu. Gry są różne.

Przypominam sobie jedną z nich: młodzieniec sadza sobie dziewczynę na kolanach, a inny znów obchodzi wszystkich, zapytując, czy zadowolony ze swego sąsiada? Odpowiedź zależy od trzymającego dziewczynę, tak czy nie. Jeżeli tak, to obchodzący zapytuje, po czym da się poznać, że zadowolony? A wtedy chłopiec trzymaną na kolanach dziewczynę obowiązany jest pocałować. Jeżeli zaś odpowie, że nie jest zadowolony i żąda innej, następuje przemiana lub też wszystkich zmiana, która przeto nie zdążyła na kolanach miejsca zająć, obowiązana chodzić, a w czasie pojedynczej przemiany obchodząca też się stara ubiedz którą z przesiadających się.

Takie to i inne tym podobne zabawy w czasie świąt zimowych bywają. Z nastaniem pory cieplej wszystkie zabawy towarzyskie odbywają się na dworze. Przeważnie w kostki do celu rzucane grają, coś w rodzaju naszego bilardu. Ustawiają kostki w piramidki, trzeba na odległość odmierzoną stanąć na mecie i stamtąd ciskać takąż samą kostkę i trafiać: najpierw w piramidkę, później w pojedyncze kostki i trafione zabierać. Jeżeli gracz jest zręczny i wprawnej ręki, wszystkie kostki zabiera. Kostki w jednych rękach się znalazły, nie może być zabawy! Chcący grać zmuszeni są od szczęśliwca kostki kupować, z czego często powstaje namiętny hazard. Wieczorami zaś młodzież gromadami po wsi chodzi, śpiewając na głosy, lub też siadają gdziekolwiek przy domu, paląc fajki i różne, przeróżne opowiadają sobie

bajki, czy anegdotki, jednym słowem, przyzwicie czas im schodzi.

Bardzo się rzadko przytrafia, żeby dziewczyna pozostała starą panną. Zwykle do umyślonych wcześniej gospodarstwa, którzy mają dziewczynę na wydaniu, przyjeżdżają swaci. Jeżeli następuje zgoda, o co często niełatwo, mają miejsce oględziny, t. j. przyjeżdża pan młody. Okropne nierzadko bywa rozczarowanie co do urody i charakteru, często też zdarza się zrywanie umowy, za co trzeba płacić koszty. Ale najczęściej umowa przychodzi do skutku.

Za żoną żadnego nie dostaje mąż posagu, oprócz tak zwanego „pridane“, t. j. pościeli, bielizny wszelkiego rodzaju i ubrania kobiecego, stosownie do możliwości. Często są kufry tych fatalaszków, a nawet wozy ładowne.

Całą wyprawę panny młodej zawożą naprzód do rodziców pana młodego, gdzie pościel ścielą i szykują łóżko na przybycie państwa młodych.

Tymczasem zaś pan młody wraz z „bojarami“ i „starostą“ (panny w tej wyprawie nie biorą udziału) jadą „powózkami“, w trzy konie założonemi, z licznymi pod „dugą“ dzwonkami. Nie zajeżdżają od razu do panny młodej, tylko na osobną kwaterę. Stamtąd „starosta“—gdyż on głównie całemu przewodzi weselu—ustawia parami wszystkich, sam zaś staje z boku z harapem i prowadzi wszystkich do domu rodziców panny młodej.

Za stołem siadają państwo młodzi, „starosta“ i „bojarowie“, nikt więcej, nie wyłączając rodziców, za stołem nie siada. Stancya, w której się uczta odbywa, pełna jest kobiet i dziewcząt, lecz te, sto-

jąc na boku, obowiązane przez czas uczty, przez rodziców panny młodej wydanej dla drużyny weselnej, wykonywać pienia okolicznościowe.

W końcu tej uczty stawiają talerz, na który uczestnicy, poczynawszy od rodziców i rodziny, robią stosownie do zamożności składki pieniężne, panna zaś młoda wywzajemnia się od siebie na poczekaniu prezentami, jak: chustki i chusteczki, większej i mniejszej wartości.

Po tej uczcie wszyscy idą spać, nazajutrz zaś taż sama drużyna zajeżdża przed mieszkanie panny młodej. Po herbacie zabiera ją, i wszyscy już razem jadą do cerkwi, skąd po ślubie wszyscy na prawdziwe wesele do rodziców pana młodego zajeżdżają. Takie wesele ciągnie się dni kilka i przeważnie cała wieś udział w niem bierze. Wesele takie odbywa się zwykle bez muzyki, druhen i tańców.

Przeciętny gospodarz, przeważnie z młodych, cały rok, jeżeli chce i ma zamięłowanie, a nie jest leniwy, ma urozmaicony. Gdy ciężka zima przyjdzie, codziennie trzeba jechać o kilka, a nieraz, ba! najczęściej kilkanaście wiorst, w dodatku często wśród ciężkiej kopaniny, trzema lub pięcioma saniami do sterty. Tam nakłść na sanie zboża, ułożyć, umocować tak, żeby nie przewróciło się i snopki nie wyłeciały.

Po przyjeździe ustawić przywiezione zboże w piwnicy, odpowiednio urządzonej, na drążkach, obok dużego pieca, z kamieni uszykowanego, do którego nakłść musi szczap całych, podpalić, szczelnie wszystkie otwory zamknąć i na noc tak zostawić.

O godzinie drugiej w nocy wszyscy, ilu jest

domowników, wśród strasznego mrozu wczoraj przywiezione zboże wyjmują, na długim z lodu utworzonym klepisku snopek przy snopku w dwa rzędy układają i, jak kto może i umie, cepami bardzo prymitywnymi na odsiebkę młóca. Do dnia takie nieskończenie długie cztery rzędy muszą być zmlócone.

Później niezliczoną ilość filiżanek herbaty wypijają. Jeszcze ciemno, a już konie zaprzężone i po nowy transport wyjeżdżać trzeba. To trwa całą zimę, bez przerwy. Mój Boże! wiele to ja takich do dniów na szalenie nużącej młóce przy wściekłym mrozie spędziłem, wypitych kilkanaście filiżanek herbaty mając za całą zapłatę!

Nadchodzą roztopy, już końmi mniej więcej wszędzie wierzchem dojedzie. W kilku młodzież się zjawia i jada na polowanie, ale bez broni, jedynie z harapem, o setki wiorst nieraz. Na śniegu zobaczyli ślad jakiegoś stada zwierząt: jeleni lub sarn. Śladem jadą wolno. Jadąc, płoszą zwierzęta; myśliwi zaś wcale nie pośpieszają i zwierząt też na oczy nie widzą. Lecz po kilku dniach tej jazdy już dadzą się na horyzoncie jeszcze bardzo daleko stada wystraszone widzieć.

Codzień bliżej i jeszcze bliżej, aż znużone, z sił wyczerpane zwierzęta padają. Wtedy myśliwi schodzą z koni i poprostu nieodstępny nożem cios śmiertelny zadają zwierzęciu. Wiedzą o tym sposobie wilki, to też od konnego jeźdźcy szybko uciekają. Broń posiadają przeważnie skałkową, z czasów Jeremaka „gwintówki“, z których strzelają, celując nie z ręki, lecz z koziołków.

Do śrutu posiadają broni mało i lichą, uży-

wają jej na ptactwo różne, ale te raczej z pomocą różnych forteli: jak budek lub krzaków, ustawionych z gałęzi, biją.

Na jesieni wyjeżdżają w tajgi na całe tygodnie na wiewiórki, sobole, lisy i t. p. kosztowniejsze futra. Zresztą strzelać, polować wolno cały rok. Czas żniw jest krótki, przeto w tę porę niema ani polowania, ani niedziel, ani też żadnego nie obserwują święta.

Jeżeli ktoś większe obszary obsianego zboża, przeważnie pszenicy, posiada, w niedzielę czy święto sprasza wszystką młodzież ze wsi, zaproszeni do późna w noc żną zboże. Później właściciel pola wyprawia dla zaproszonych żniwiarzy ucztę i do godziny 12-ej w nocy trwającą zabawę.

Kto nie może sobie na podobną ucztę pozwolić, lub nie ma za co nająć robotników, sam się męczy i różnymi sposobami: kosą, sierpem, zbiera. Śpieszyć się musi, gdyż już we wrześniu często bywają z rana przymrozki, śniegi też próbują popadywać, a deszcze czasem mocno dokuczają, ziarno rośnie w snopkach i na wartości traci.

Zaczyna się zima. Łaźnia cały rok rzecz dobra ale przedewszystkiem w zimie. Każdej soboty, latem czy zimą, używają wszyscy tego dobrodziejstwa, a do dobrego przyjęcia należy gościa do łaźni zaprosić.

W daleko na północ wysuniętych miejscowościach nader mało wsi ludnych; tam zboża już nie sieją, lecz utrzymują się przeważnie z hodowli bydła, koni, połowu ryb i myśliwstwa, w tych prawdziwie dzikich stronach mało uważają na etykę albo i wcale się z nią nie rachują, przeto do łaźni całe

rodziny, jak są, bez względu na płeć i wiek, chodzą razem. Choroby też zakaźne, a najwięcej syfilis, są wśród ludności mocno rozpowszechnione.

Być może, w innych okolicach zupełnie jest inaczej, ale ja mniej więcej tę tylko opisuję, w której lat siedm przemieszkiwałem, z którą się zżyłem i w której od mieszkańców doznawałem szacunku, współczucia i pomocy.

Dwa lata już mieszkalem w Syberyi, handel mój można było nazwać pośmiewiskiem; jak mogłem jednak, z zobowiązań się wszelkich uiszczałem, i nigdy nikt o lichych moich interesach nie wiedział. Konia tylko już nie miałem: z miejscowym zamożnym gospodarzem przehandlowałem go.

Tam przeważnie w wałachy robią, klaczy zaś wcale do roboty nie używają; otóż ja zamieniłem konia swego na klacz, bardzo ładną, rosłą i długą, z dopłatą jednego worka pszennej maki, co dla mnie dużo stanowiło, gdyż przy herbacie długi czas mogłem przetrzymać. Doskonale chodziła w zaprzęgu, to też koledzy, jeżeli który gdzie chciał jechać, przychodzili do mnie niby to wynajmować ją. Każdy targował się ze mną do upadłego, zapłatę przyrzekał po przyjeździe oddać, ale nigdy żaden nie poczuwał się na seryo do oddania, to też porządnie mnie naciągali, gdyż na takiej wycieczce jeszcze ja nieraz na wspólny wydatek narażony byłem.

Już był chyba luty czy styczeń, dziś nie pamiętam, ale mróz był silny, bez wiatru, przywędrował do mnie niejaki Ługowski. Miał pochodzić z Plockiego, z czego żył, nie wiem. Dobrze grał na skrzypcach, co tam jednak nie bardzo popłacało. Zналиśmy

się już dawno; wesoly i towarzyski był chłopak. Sądziłem, że przywędrował, ot tak sobie, na parę dni. Tymczasem mój Ługowski proponuje mi, żeby go zawieźć do Kańska, klacz stoi, dobrze, że coś zarobi, powiada. Mnie trafiło to do przekonania, ale mróz był duży i ochładzał chęć zarobku. Ługowski nie ustępował i zaraz, targ w targ, zgodził się ze mną za trzy ruble.

Kupiłem pud owsa, sanie wymościłem sianem, o świtanu wyruszyliśmy z domu. Sanna doskonała, wszystkie drogi wybornie znałem: na Makarewą, Szolomki, Oziero. Na noc dojechaliśmy do Kajtkaju, tam przenocowaliśmy, a za samowar i dodatki ja płaciłem, gdyż Ługowski nie miał drobnych.

Dojechaliśmy do Mokruszy. Zajechaliśmy do kolegi zesłańca; bardzo gościnnie nas przyjął i poradził, ażeby jechać na Ancyra, droga prosta, jak strzelił, i tylko do Ancyru jest wiorst czterdzieści, a tamtą inną byłoby pięćdziesiąt. Już było po obiedzie, kiedy nas gościnniego towarzysz na drogę wprowadził i, jak jechać, pokazał.

W styczniu dzień krótki; kawał się drogi ujechało, ale też już i noc się zrobiła. Droga, prawda, torna i prosta, ale wydawała się bez końca.

„Bardzo już być musi późno, bo się tak długo jedzie“ — mówi Ługowski. — „To jeszcze nie. Ale czy to droga naprawdę prowadzi do Ancyru? Bo i to być może, że się do lasu po drzewo tą drogą jedzie. Ładniebyśmy się urządzili“. — „Ech, chyba nie! To do wsi droga. O patrz, na prawo, światelek tyle widać, zapewne wieś blisko“. — „Nie, nie może to być, aby w tem miejscu była wieś. Te światelka

zresztą są bardzo drobne. Patrz, i z lewej strony także światelka“.

Naraz przeraźliwe wycie ze strony lewej dało się słyszeć, a i z prawej z odpowiedzią nie dano na siebie czekać. Ługowski w strachu, woła na mnie, by o ile można kobyłę poganiać.

Kobyła to w jedną, to w drugą stronę strzygła uszami, ale szła równo, a że była długa, to też i posuwisto; dość, że wycia niedługo poza nami pozostały, my zaś, jadąc tak z pół godziny, ku wielkiej radości ujrzeliśmy światła.

Ancy, chwała na wysokości Bogu! Jeszcze nie tak zbyt było późno, kiedy zajechaliśmy do towarzyszy na noc. Spało się dobrze i długo.

Nazajutrz wstaliśmy późno, do Kańska było dwadzieścia i pięć wiorst jazdy, do nocy więc zeszło, nimeśmy tam dojechali. Nie mając żadnego interesu w mieście, siedziałem w domu; Ługowski zaś polecał zaraz starać się do Żydów, aby go przyjęli na skrzypka do kapeli, nie zobaczyłem go, aż nazajutrz koło południa. „Mój drogi, Bóg ci zapłać, żeś mnie tu przywiózł. Może się dostanę do kapeli. Myślałem, że mi dadzą jaką zaliczkę, tymczasem nie dali. Nie gniewaj się, ale ci złamanego grosza nie dam, bo nie mam“. Z takim to ja zarobkiem na noc umykałem do domu; szczęście, że mróz trochę zelżał, nie tak przykro było jechać.

Przyrzekłem sobie więcej nie najmować się na takie furmanki. Czy przyrzeczenia dotrzymałem, to się dalej pokaże.

Przyjechawszy do domu, opowiedziałem naszą podróż i skutki mojej jazdy. Śmieli się ze mnie,

ale też na tem się skończyło. Ługowskiego zaś nigdy w życiu więcej nie widziałem.

Pomimo już stale zagnieżdżonej u mnie biedy, jednakowoż ciągle niby to handlowałem, z małemi przerwami, podczas których nieraz taka bieda w oczy mi zaglądała, że po parę dni nic się nie jadło, do czego się nigdy nie przyznawałem.

Ta bieda mocno mnie żenowała. Jeżeli znów wpadło kilkanaście rubli do ręki, dalej, jazda po towar, ale cóż? rozebrali na kredyt i nie było z czem więcej jechać. Potrochu się odbierało i potrochu rozchodziło. Ech! dziś wspomnieć te chwile, myślą sięgnąć w tę już dla mnie daleką przeszłość? jak się to żyło, w jakich to się tarapatach było! młodość wszystko przetrzymała.

Interesy moje były marne. Zmuszony byłem znów na zimę na skromniejszą przenieść się kwatere do takiego biedaka, jak i ja.

Co miałem, wszystko na kredkę porozdawałem, ani sprzedać co, ani kupić niema za co. Lato się zaczęło. Zdobyłem się i za ostatni grosz kupiłem kilka pudów owsa. Ponieważ zaś dokoła wsi były puszki, których już nikt nie obsiewał z powodu wyczerpania, taką zaraz jedną pustkę obsiałem owsem.

Drugi zaś gospodarz, mój znajomy, namówił mnie, sam nie mając czem siać, aby jego rolę, już uprawną, zasiał owsem do wspólki, t. j. jego robota i żniwo, nasienie zaś moje. Pożyczyłem przeto od zamożnego gospodarza dwadzieścia pudów ziarna, zasialiśmy, on siał, ja za nim włóczyłem. Co prawda, do tego owsa nie miałem wielkiego przekonania, w dodatku do tego pola trzeba było jechać

z piętnaście wiorst; całe przeto lato nie zajrzałem do niego, do mojego zaś miałem tylko trzy wiorsty.

Rzadki przeto dzień upłynął, abym tam nie był. Trzy worki było wysiane, bardzo ładny rósł, a dla zabezpieczenia go od szarańczy w czterech rogach napisane przeze mnie Ewangelie pozakopywałem, jak to bywa u nas we zwyczaju.

Widzę, że mój owies już się kłosi, jest przeto nadzieja, że się utrzyma. Jednego razu, gdy od swego owsa wracał, dogonił mnie gospodarz, od którego pożyczyłem ziarno, i zapytuje, czy to prawda, że ja do wspólki zasiałem na roli Wasilja? „Tak“, odpowiadam.—„To tam nic niema, wszystko „kobyłka“ wycięła“. — „Dobra wiadomość“, odpowiadam.—„Co tu Pan Bóg da, to za tamto muszę oddać. Ot, bieda!“—„Nie martw się. Trudno oddać, jak niema!“—„Przecie brałem“. — „Pogodzimy się, a do „gołowy“ nie pójdziemy“. Wyplącałem się, jak mogłem, ale mój wierzyciel zawsze mi to zwracał jakimś bardzo delikatnym sposobem.

Jakiś czas byłem bez grosza, wszelkie zapasy się wyczerpały. Pamiętam to jakby wczoraj, na południe trochę się posiliłem kawałkiem chleba z mlekiem, gdyż już nawet „zakładki“ herbaty nie było; dziś zaś już dziesiąta dochodzi, nie nie jadłem i, co gorsza, nadziei niema na cały dzień.

Sąsiad mój, gospodarz bezdzietny, dosyć był zamożny. Nie lubiłem go, gdyż wielki był safandula i bał się mnie. Przyszedłszy do mnie, starał się poznać, w jakim byłem humorze, i jeżeli w dobrym, to, nie zwlekając, odpowiadał, w jakim interesie przyszedł; jeżeli zaś uważał, że byłem w złym

humorze, swoim zwyczajem, przeżegnawszy się, siadał przy drzwiach na ławce, dla interesantów przeznaczonej, nakładał fajkę i, czekając, aż mi się humor zmieni, pykał cierpliwie. Jeżeli przypadkiem na dobry mój humor trafil, a w dodatku ja piłem herbatę i prosiłem go do stołu, mocno był z tego zadowolony. Pomimo wszystko lubił mnie, a ja w ciężkim kłopotcie nieraz do niego o pomoc się udawałem. Żonę miał młodą i dosyć przystojną, często się kłócili z sobą, bo też ona była bardzo lekkiego prowadzenia; z tem wszystkiem dobrze się mieli.

Otóż na trzeci dzień, a bardzo był ładny i słoneczny, głód mocno mi dokuczył. Narazie nie wiedziałem, jak na to poradzić: szczypty nie było herbaty, ni odrobiny mąki, ni chleba. Poszedłem w pole. Znalazłem roślinę tamtejszych biedaków, „bielogolownik“ zwaną, a w miejsce herbaty z mlekiem używaną, nazbierałem, przyszedłszy do domu, nastawiłem samowar (miałem własny), a kiedy się zagołował, zaparzyłem owego ziela.

Co dalej będzie? w duchu myślę. Wtem przez otwarte okno widzę, jak koło okna przechodzi w wodą żona owego safanduly sąsiada. — „A co. Darya Wasiljewna, woda dopiero na herbatę? To ty wodę zanieś i przychodź do mnie, bo u mnie samowar już kipie!“ — „Dobrze, ale z Kapidonem (mąż jej) przyjdę!“ — „Przychodźcie, ale zaraz“. Odeszła.

Po chwili wpada, mówiąc: „Kapidon idzie. Tak się ucieszył, żeś go na herbatę zaprosił!“ Spojrzała na samowar. — „Mleka nie widzę“. — „Bo go nie mam“. — „Kołaczy widać niema?“ — „A niema!“ — „To ja zaraz przyjdę“. Poczciwi ludziska przychodzą do

mnie, na herbatę zaproszeni: on z pełnym przetakiem kołaczy pszennych, ona z dzieżką świeżo przegotowanego mleka. Wszyscy troje pożyliśmy się, oni zaś, odchodząc, dziękowali mi za przyjęcie. Resztki pozostałe przydały się na później.

Ciężki to dziwnie okres był mego życia. Głód codziennym był gościem. Na domiar złego gość do mnie zawitał. A było to tak. Siedziałem raz, rozmyślając nad moją niedolą, kiedy otwierają się drzwi, i wchodzi niejaki R. Janikowski; znaliśmy się jeszcze z Modlina. Serdecznie go przywitałem i na chwilę zapomniałem o swym niedostatku; postarałem się o mleko, kołache, samowar nastawiłem, przyjmuję go, jak mogę, i opowiadam o swoim położeniu. „A to prawdziwe nieszczęście! Bo ja tu przybyłem na stałe i do ciebie się zainstalowałem, a jednej kopiejki przy duszy nie posiadam” — powiada Janikowski.

Ot, kłopot miałem ze sobą, przybył drugi! Janikowski taki był niezaradny, ciągle tylko w książkach siedział i pisał; zresztą do niczego nie był zdatny, a już najmniej był praktyczny, o niczem nie wiedział, że trzeba starać się o grosz, nie rozumiał. Nie wiem, jak mógł brat jego być znanym podróżnikiem po Afryce, jeżeli podobnie był niezaradny.

Nastał czas kośby, postarałem się o drugą kosę, by Janikowski mi pomagał; w żaden sposób nie wiedział, jak się z kosą obchodzić, a jak raz wziął do ręki grabie, odrazu w kawalki połamał. Jednem słowem, nie umiał nic i do niczego, oprócz pióra i nauk, nie miał zręczności.

Wreszcie dojrzał mój owies. Wziąłem Janikowskiego do żniwa. Pokaleczył się, palce fatalnie po-

obrzynał, odtąd stale siedział w domu, historię pisał, gdyż nawet samowara nastawić nie potrafił.

Ja zaś dzień w dzień biegalem do swego owsa. Co ja potu wylałem nad nim, com się nabiedowałem! W dodatku i w nocy pilnować go musiałem, gdyż i kaczki dzikie się znarowiły i ogromnemi stadami na mój owies spadały; gdyby nie pilnować, byłyby go zjadły.

Po omłocie owsa miałem koło stu pudów. Na owies narazie nie było kupca, dopiero zimową porą sprzedałem go ze swoją dostawą do kopalń złota. Nim to jednak nastąpiło, zadłużyłem się; później z zaliczki trzeba było za furmanki naprzód zapłacić, resztę ciężko było odebrać. Kapaninką tylko płacono, i tak ciągle niedostatek i ciągły brak u mnie pano- wały.

Już nie pamiętam, wiele to wiorst ode mnie było do kopalni złota, zdaje się, że z górą pięćset. Nie zastraszyła mnie daleka droga. Zachciało mi się samemu z tym owsem jechać, dokupiłem jeszcze więcej od innych i pojechałem. Żadnych wrażeń z tak dalekiej drogi nie odniosłem, złota też nie widziałem, gdyż przez zimę wszystko przygotowują, a to, co kopią, to tylko piasek, w którym złota nie widać. Myślałem, że jaki interes zrobię, może jaką dostawę otrzymam, ale zaliczki dać nie nie chcieli, a bez pieniędzy podejmować się niczego nie mogłem.

W stronę kopalni trzeba było prawie całą drogę, by koni nie obciążać, iść piechotą. Szczęście, że dnie były pogodne, mroźne; już koło południa słońce dobrze przygrzewało. Dla ciepła sprawilem

sobie wojłokowe buty, niestety, tylko w cholewach przyjechałem, rozmiękły i różlały się.

Wyjechaliśmy z domu w połowie marca st. st., a po trzech tygodniach wróciliśmy do Tasiejewa do domu. Droga nie była nużąca, jechało się nieraz ogromnymi rzekami; trafiało się i dzień cały jechać łożyskiem, a nieraz w poprzek rzeki i półtorej godziny trzeba było przejeżdżać.

Na jednej z tych rzek widzieliśmy dwie kaczki, które, że to mróz był duży, ciągle nurka dawały, a nie wiem dla jakiej przyczyny w tem miejscu kawałek spory Angara nie zamarzała. Po przejściu zimy, kiedy się natura już na dobre zaczęła budzić z uśpienia, sąsiad gospodarz żartem się odzywa do mnie: „A co, Martynowicz, może pojedziem na gęsi?“ — „Kiedy?“ — „Jutro jadę“. — „Sam?“ — „No sam, ale jak chcesz, to pojedziemy we dwóch“. — „Daleko to?“ — „O daleko! dwa dni trzeba jechać“. — „Są tam wsie jakie?“ — „Jutro od południa już żadnej wsi nie spotkamy“. — „Tylko co?“ — „Stiep da stiep“. — „A co jeść?“ — „Z domu jedzenia wezmę na tydzień“. — „No, to dobrze, jadę“. — „Wierno?“ — „A ot ręką“. — „No, tak ja powiem, żeby na dwóch naszykowali jedzenia“.

Nazajutrz, o świtaniu, wyruszyliśmy, uzbrojeni w marne, pojedyncze, sznurkiem powiązane skałkówki. Cała droga niczem się nie odznaczała; z początku kilka się wsi trafiło, później lasy gęściejsze, lub rzadsze; stepy gołe, przeprawy przez rzeki.

Aż drugiego dnia zobaczyłem olbrzymi, gęsty bór, tajgą zwany. Na noc dojechaliśmy do boru. Już było ciemnawo. Gospodarz nieraz był już w tajdze dawniej, gdyż zastaliśmy wykopany dół dość

obszerny, na wierzch zaś nakładzione gałęzi grubych, na to mchu; wygodnie można było kilka osób wraz z koniem pomieścić, gdyż wejście nie było prosto z góry, lecz z boku wykopane, tak że konia wyprowadzić było łatwo.

Nie chciałem spać na posłaniu, jakie było z mchu w szalasię uszykowane, wołałem położyć się na wozie, gdyż noc była ciepła.

Rano słońce już było dawno wzeszło, a ja spałem jeszcze na wozie. Narazie obudziło mnie jakieś mruczenie. Zrywam się. Co to jest? O piętnaście kroków ode mnie na dwóch łapach stoi wielki kudłaty niedźwiedź, a o sto może kroków dalej wolnym krokiem idzie drugi. Spotkały się, pomruczały i razem w dalszą puściły się drogę.

Przełęczony zerwałem się, wbiegłem do dołu, i dość dużo czasu zeszło, nim ochłonałem ze strachu i odważyłem się wyjść na świat. Jaki ten świat wydał mi się cudny w tej chwili.

Poza mną dziewiczy bór, tajgą zwany, być może, setki mil długi i setki szeroki, ani drogi, ani ścieżki żadnej, tylko niebotyczne drzewa, którym kres starości przyszedł, zwalone miejscami jedne na drugich, leżą na podłożu z mchów i traw zielonych. Tu leży sosna, a raczej tylko jej szkielet, tu jodła brutalnie na innych trupach legła, przyciskając je tak swym ciężarem, że spróchniała sosna, jak nożem, na dwoje przecięta została. Nie widać nigdzie miejsca wolnego od leżących kolosów. W całej tajdzie życie na każdym kroku wre. Wspaniałe, majestatyczne cedry, tuż przesłiczne, jak olbrzymie parasole, rozpostarte jodły, a pomiędzy tymi kolosami o palmę

pierwszeństwa prawie przemocą wiecznie zielona sosna walczy; ściga wierzchołkiem sąsiadki, dusząc się, rozpaczliwie je rozpycha, aby mózdz z poza ich wierzchołków rozkoszować się widokiem wszechświata, oraz oddawać pokłon słońcu i czerpać jego ciepło.

Nie wiedziałem, komu dać pierwszeństwo, gdy oczy moje napawałem widokiem, dla mnie nowym i nieznanym. Czy mam podziwiać wspaniały w swej budowie, fantastyczny drzewostan, czy też pieścić wzrok swój ogólnem życiem, jakie w tem państwie pozornie zamarłem wre i kipi?

Co za rozmaitość ptactwa, jaka chaotyczna, a jednak cudna melodia ich głosów! tu głuźce tokuje zawadyacko, tam zdaje się, że ptaszyna kona i żałosne wydobywa tony, na świat niedobry narzekając, tam dzieciół bije, jak młotem, w suche drzewo, jakby się dowiadywał, czy długo jeszcze pożyje, owdzie wyobraźnia igra i słuch ludzi przygrywką fletu, gdzieś w dali kukulka kuka, a świergot taki hałaśliwy, wrzask ogłuszający, że człowiek prawie swego głosu nie słyszy.

Co za ruch w górze między gałęzmi! Moc przerwóznego ptactwa i zwierzyny, jak: wiewiórki, sobole i inne drapieżne, na gałęziach żyjące.

Ot, dwa-trzy-pięć jeleni, biegną do wody. Zobaczyły mnie, przystały i, położywszy rogi na siebie, jak strzała, pomknęły.

Wyskoczyły sarny, jakie chybkie, a zręczne! Przez kłose leżące skaczą, zdawało się, że ziemi nie dotykają i, jak piłka gumowa od podłogi, tak one od ziemi nogami się odbijają.

Przez chwilę nie wiedziałem, co się ze mną dzieje i czy ja to śnię, czy widzę na jawie! Nie było przy mnie Ewy w swej rajskiej postaci i drzewa figowego, gdyż wobec obfitości rozmaitej zwierzyny, ptactwa i świergotu jego, oraz lubością przepełnionej aury zdawać mi się mogło, że jestem w raju.

Strzał mnie ocucił z tego marzenia. Szybko skierowałem kroki w tę stronę. W kilka minut znalazłem się na skraju tajgi. Znów czarodziejski świat.

Jak okiem sięgnąć, łudziła oczy woda olśniewającym blaskiem słońca, grą światła! Zdawało mi się, jakby gdzieś, w krainę duchów, czy innego świata dusza się moja zabłąkała. Woda i woda; na całej zaś wodnej topieli jakby od niechcenia porzucane kępy brzeziny, gaje krzewów. Środkiem daleko płynie rzeka Usolka, która szeroko rozlała swe wody po niezmiernej płaszczynie stepu, wynagradzając sobie, że jeszcze daleko na północ koryto jej, lodami i śniegiem skute, nie puszcza wód do Jenisieja.

Na całej przestrzeni wód ruch i gwar. Całe stada gęsi, kaczek, łabędzi, w górze żórawie sznurami ciągnęły i swym krzykiem do ogólnego przykładły się koncertu.

Widząc to wszystko, trudno uwierzyć, że się nie jest w krainie marzeń. Tylko ta okoliczność, że gospodarz niósł trzy gęsi upolowane, przyprowadziła mnie do przytomności.

Polowanie odbywa się nader pierwotnie. Na wzniesieniu buduje się gaik z zielonych gałęzi, w nim leży na brzuchu myśliwy i czeka, aż gęsi lub kaczki podpłyną, a jak się zbiją w stadko—strzela. Dlatego też po kilka naraz się bije. Czasem kładliśmy się

obadwaj, czasem na zmianę, w końcu tygodnia mieliśmy dwadzieścia gęsi i czternaście kaczek, dwa głuszce i trzy cietrzewie.

Pod koniec tygodnia przestało mnie wszystko bawić: do ludzi tęskniłem, zdawało mi się, że i ja jestem dzikim zwierzem.

To też, jak tylko pierwszą wieś zobaczyłem, ożywiłem się i z radości uściśkałem mego gospodarza.

Pierze i wszystkie wnętrzości upolowanych ptaków gospodarz zabrał, ja wziąłem tylko dwa cietrzewie. Resztę zaś posolili i ususzili, a że się przytrafiły właśnie chrzciny, przeto zaprosili mnie na kuma, i przy tej uroczystości upolowana zdobycz na poczęstunek użyta została.

W czasie tym zapoznałem się z jednym gospodarzem z sąsiedniej wsi, pod względem towarzyskim wielce postępowym. Dom prowadził na większą skalę, gospodarstwem mało się zajmował, obrabiali wszystko parobcy, mieszkał w kilku pokojach, miał tapety, meble, ale że dużo pieniędzy puszczał, gdyż lubił w pana się bawić, nie był przeto bogaty.

Spekulacyami, handlem, różnemi przedsiębiorstwami, aby nie rolnictwem, lubił się bawić. Towarzystwo Polaków wielce ceniał, nauczyli go oni grywać w preferansa.

Wiedząc o mojem borykaniu się z losem, namówił mnie, abym zmienił mieszkanie, obiecał wykupić patent i dostarczać mi wódki na handel. Zgodziłem się chętnie i, kiedy rzeczywiście interes zaczął niezgorzej się rozwijać, przyszło z powiatu żądanie, wypowiedziane w formie grzecznej, ale stanow-

czej, żeby natychmiast z mieszkania wódkę usunąć, gdyż nieprzyzwoicie jest, żeby Polak wódką handlował.

Takie to moje szczęście! Znów pozostałem bez funduszu i sposobu do życia.

Mieszkanie zatrzymałem na zimę. Pustka to była; zabudowania, jak zwykle u tutejszych gospodarzy, ujęte w jedno ogrodzenie. Dom obszerny składał się z dwóch właściwie domów o dwóch gan-kach, złączonych w jedno. Jedna połowa, od dłuższego czasu nie zamieszкана, już się rozsypywała w gruzy, drugą zaś ja zająłem. Gospodarz, t. j. właściciel tej osady, młody chłopak, był w służbie, a więc w całej tej ruderze ja jeden jedyny mieszkalem. Rzadko zamykałem drzwi na noc, z czego mało nie przytrafiło mi się nieszczęście.

Mieszkanie moje było położone od ulicy, we frontowych trzech oknach były szyby. Zaś od podwórza ani mnie, ani mego gospodarza nie stać było na szyby szklane, tylko (kto je tam włożył, nie wiem) w ramach, do tego przygotowanych, ponaciągane były zamiast szyb pęcherze, które się mocno pozysychały. Że zaś tych okien nigdy się nie otwierało, gdyż były podparte dragami okiennice, mało mnie więc interesowało, że niema szyb szklanych.

Maj się miał ku końcowi, była niedziela, samotnie bez światła w domu siedziałem, już dawno nikt do mnie nie zajrzał, ani nawet chłopcy ze wsi nie przychodzili, gdyż, gromadami chodząc, śpiewali, albo też siadali przed domem tam, gdzie są dziewczyny; nigdy zaś ze śpiewem do mnie nie zachodzili, zdawało mi się, że zapomnieli o mnie.

Lubiłem słuchać smętnych ich pieśni, co nie dziela więc wychodziłem z domu, siadałem gdziekolwiek, słuchałem dotąd, dopóki się nie rozeszli, a potem i ja szedłem spać do domu. Tej zaś nocy nigdzie nie wyszedłem, wcześniej się spać położyłem, chłopacy zaś przyjętym zwyczajem, śpiwając, po wsi chodzili.

Po północy już było, kiedy cała gromada chłopców przed moim domem usiadła, śpiwając. O spaniu już nie myślałem, chłopcy zaś, jakiś czas pośpiewawszy, spać poszli, ja też położyłem się i już prawie że usnąłem, kiedy dziwny jakiś szelest mnie obudził. Odrazu się zerwałem; pomiarkowałem, że coś złego się dzieje, ale ze snu nie mogłem zrazu zrozumieć, co to jest.

Zdawało mi się, że „brodjagi“ są już przy mnie. Nie mogłem w podnieceniu pomiarkować, że chrzęst pochodzi od tego, że „brodjagi“, gdyż oni to byli, dopiero wyjmują z okien wyschnięte pęcherze. Mając zawsze przy łóżku w pogotowiu siekiere, porwałem ją w rękę, pięścią uderzyłem w okno, wywaliłem je i wielkim krzyknąłem głosem na sąsiada: „Wasilij, grabiat!“

Sam zaś, nie czekając, wyskoczyłem z siekierą w rękę oknem. Wpadam w podwórze, słyszę tylko tupot przede mną — uciekają. Jak szalony, pędzę przez most; za rzeką dopiero się zatrzymałem i już nie zajrzałem do domu, lecz poszedłem do owego Wasilja.

Przypuszczam, że Wasilij słyszał moje wołanie, ale słysząc je, tem bardziej się do poduszki przytulił i udał, że o niczem nie wie. Mnie zaś taki

w tej chwili strach ogarnął, że w śpichlerku głuchym drzwi popodpierałem i długo się uspokoić nie mogłem.

Na drugi dzień czem prędzej z tego pustego domu się wyniosłem i wprowadziłem się na mieszkanie do najbogatszego we wsi gospodarza, na piętro, trochę przeto byłem spokojniejszy.

Rok ten dla wsi i okolicy był nader niepomysłny. Zaraza się we wsi rozpanoszyła, tak zwana „sybirska jazwa“. Bydło w dalekich puszczech, o kilkanaście wiorst oddalonych, trzymano i tam dwa razy dziennie jeżdżono do dojenia krów. Na to mogli tylko bogacze sobie pozwalać, gdyż potrzeba było osobne budować ogrodzenia i ustawiać dozory. Lecz pomimo tej ostrożności, gdy się jakimkolwiek sposobem zaraza dostała, z całej gromady nic nie zostawało.

Prawdziwie morowem powietrzem można nazwać taką epidemię. Najzdrowsze bydło biega, wtem przewraca się—i zdycha. Czasem choroba trwa dłużej i, choć rzadko, zdarza się, że bydło wyzdrowieje. Ludzie zaś pokotem w domach leżeli, mało jednak umierało. Parę miesięcy ta choroba się wlokła, ostatni mój gospodarz zachorował i umarł. Cała epidemia na nim się zakończyła.

Ani ja, ani żaden z moich towarzyszy nie słyszałem żeby chorował. Moja zaś gospodyni po śmierci męża bardzo długo żale swe monotonnym i dzikim, śpiewnym głosem wyplakiwała, a że do tego lubiła się napić, przeto najczęściej przed domem siadała i pijanym, ochrypłym głosem oplakiwała męża. Przeziębila się jakoś i wkrótce też za mężem pośpieszyła.

Z tego wszystkiego najwięcej się synowa ucieszyła, gdyż nieboszczka dla niej była przykrą.

Pod jesień przyjechali do sąsiedniej wsi, Makarowej, Bagniewscy z towarem wozem ładownym. Nie przypominam sobie, co tam zaszło, gdyż jednocześnie do tejże wsi przyjechał „isprawnik“ (naczelnik powiatu), na Bagniewskich się o coś pogniewał, a że na wozie leżała fuzya nabita, złapał ją za lufę i o płot uderzył, chcąc ją rozbić. Szczęście, że nabój bokiem poszedł, gdyż fuzya wypaliła, ale się pan naczelnik przeląkł, fuzyę cisnął i do naszej wsi na noc przyjechał.

Ja byłem u kolegi, z którym przyszedłem do siebie, nie wiedząc, że isprawnik stanął na kwaterze u mego gospodarza. Zupełnie ciemno już było, wychodzę na dwór po samowar, czuję, że ktoś stoi. Pytam się przeto: „Kto tu?“ — „Swój!“ — odpowiada. Głosu nie znałem, mówię więc: „Co za swój?“ — Odpowiada, żeby jemu powiedzieć, kto ja. Kiedy się ze mną tak przekomarza, zniecierpliwiony krzyknąłem:

„Mat' twoja sobaka! Tak ty brodjaga!“ — i zacząłem wzywać pomocy. Wtedy on się odzywał: „Ach, po tem już mogę poznać, że Polak i, żebym ja tak samo był prędki, awantura gotowa. Jestem isprawnik!“ Przeprosiłem go, i nastąpiła zgoda.

Przyszedł do mnie, posiedział, porozmawiał, i w najlepszej zgodzie rozeszliśmy się.

Jakoś w tym czasie odebrałem z domu dużą walizkę z rzeczami. Czy się to opłacało tak daleko taką dużą posyłkę przysyłać, nie wiem. Nadto w rzeczach znalazłem: cytryny, pomarańcze, które spleśniały, sok puściły i dużo w ten sposób rzeczy się zni-

szczyło, gruszki suszone, kawę i t. p. Znaleźli się amatorzy, jakoż część sprzedałem, za co z górą trzydzieści rubli wziąłem. Mój gospodarz wybierał się do miasta, w którym nigdy jeszcze nie był, zapytał więc mnie, czybym ja z furmanką nie pojechał. Zgodziłem się chętnie. Na drugi przeto dzień dzień się sań, naładowanych owsem, wyruszyło w drogę.

Troszeczkę z drogi, w jednej wsi niedaleko Kańska mieszkała zameżna siostra mojego gospodarza, u której nigdy nie był i drogi do niej nie znał. Ja, coprawda, byłem tam, ale w nocy, w dodatku po świeżym śniegu, nie byłem więc pewien, czy trafię. Otóż kiedy tak jedziemy, a ciemno było (ja, niby to wiedzący drogę, jechałem przodem), podchodzi gospodarz, który jechał z nami, do mnie i powiada, że źle jedziemy, gdyż droga nie do wsi prowadzi; powiadam, że trzeba poszukać. „Na lewo jeżeli się znajdzie droga, to nią jechać należy!“

Rzeczywiście o dobre pół wiorsty w bok znalazła się droga, która nas do samego miejsca doprowadziła.

Ot, jaki zmysł spostrzegawczy Sybiraka, poznał, że nie tą drogą jedziemy, chociaż nigdy tedy nie jeździł.

Przyjechawszy z Kańska, znów handlowałem. Handel mój już ciągle kulawo szedł; chwilami, jak płomień świecy przed zagaśnięciem większym światłem na chwilę zabłyśnie, by raptem zagasnąć, tak też i u mnie większy interes i zasobniejszy zwykle bywał zapowiedzią szybkiego upadku.

Piąte już lato jestem mieszkańcem Syberyi. Przyjechał kupiec, Borys Siemionowicz, Żyd, opo-

wiada, że ludzie jego pędzą dwieście sztuk bydła na „Pryiski“, musi więc sam za nimi jechać. Bardzo mu to nie na rękę, gdyż druga partya jeszcze większa w tych dniach z Minusińskiego wyrusza i obecność jego koniecznie tam potrzebna. Niema go kto zastąpić, samych zaś poganiaczy boi się puścić, prosi mnie, czybym ja nie pojechał. Ofiarowuje mi 30 rubli. Zgodziłem się i zaraz wyruszyłem w drogę.

Ach, ta droga dała mi się we znaki!

Ciągła baczność, aby się gdzie jaka sztuka nie odłączyła, a najgorsze przeprawy przez liczne rzeki wpław, niektóre wiorstowej szerokości. Dla nas zwykle promy były, albo łodzie. Rozpaczliwe było nieraz położenie, gdyż czasem wiele bydła prąd unosił i, zdawało się, bez ratunku. Szczęśliwie bydło, instynktem wiedzione, sił ostatnich dobywało, aby dopłynąć do brzegu. Minąwszy mocny prąd wody, dobiewszy do płytszej, już prawie wyczerpane nieraz ledwo się dowlokło do brzegu. To też dłuższy dawało się na stepie wypoczynek.

Przyszło mi na myśl, aby skrócić w bok na te „Pryiski“, gdzie dostarczał owies, poganiacze mieli iść gdzieindziej, w dodatku duży kawał okrażać. Ja zaś, aby się tylko dostać do Rybińska przez Angarę, w dwa dni wcześniej mogłem stanąć na miejscu.

Zabrałem się przeto z gospodarzem, który przyrzekł przewieźć mnie przez Angarę. Już się szaro robiło, kiedy przyjechaliśmy do wsi, w której gospodarz ów mieszkał. Rodzina składała się z dwojga starych i dwóch młodych dziewcząt, córek.

Po przywitaniu się z gospodarzem gospodyni proponuje mi, bym, zanim herbata będzie gotowa,

do łaźni poszedł. „Zgoda“, odpowiadam. Gospodarz poszedł do brata pożyczyć czółna. Zabrałem się przeto do owej łaźni. „Ale“, powiadam, „boję się, że-bym do cudzej nie wlaźł“. — „Idź, idź, dziewczki za tobą“. Sądziłem, że dziewczęta pokażą mi łaźnię i pójdą, tymczasem one weszły ze mną razem, a po chwili i matka ich przyszła, rozebrały się wszystkie, dziewczyny zaś, by od kupca, za jakiego mnie miały, coś zarobić, poddawały pary, myły swojej roboty mydłem, były brzoźowemi miotłkami i czystą wodą stojącego obtakiwały.

Po herbacie spałem, jak kamień. Na drugi dzień po śniadaniu poszliśmy nad rzekę, by się przez nią przeprawić. Rzeka ogromna, przeciwnego brzegu nie widać! Nie było rady, jedna była tylko droga: przeprawa przez rzekę.

W Imię Ojca i Syna i Ducha — wsiadamy.

Sądziłem, że czółno zaraz skierują ku przeciwnemu brzegowi, tymczasem jechaliśmy ciągle ku środkowi rzeki. Wyjechaliśmy na tej łupinie tak daleko, że ani tego brzegu, skąd się wyjechało, ani też tego, do którego kierowaliśmy się, widać nie było.

Woda płynęła szybko, alem się tem nie przejmował, gdyż całą moją uwagę przykuły ogrom, majestat i potęga żywiołu.

Niespokojne zachowanie się mego przewoźnika, cicha jego z żoną rozmowa trochę mnie zastanowiły. Jednocześnie zauważyłem gwałtowny prąd. Patrzę na mego przewoźnika, a ten, żegnając się, ciągle woła: „Gospody pomiluj!“ Nagle wiosła rzuca, sam zaś i żona padają na dno czółna. Instynktownie wiedziony przecuciem niebezpieczeństwa, przewra-

cam się, jak długi, na dno, a w tejże chwili nasze czołno, jak z procy rzucone, prześlizgnęło się po wodzie.

Gwałtowny ruch czołna, ogłuszający szum wody oszołomiły mnie, i kiedym wracał do zmysłów, już mój przewoźnik i jego żona trzymali wiosła w rękach i kierowali w poprzek rzeki do brzegu, na którym zdala wioskę widać było. Dla marnego zarobku jednego rubla za przewóz przewoźnik mój siebie i żonę narażał na niebezpieczeństwo utraty życia, albowiem w tem miejscu całem korytem rzeki przechodzi skała i tylko w jednym miejscu jest brama, utworzona przez niższą w tem miejscu skałę, tedy tylko można przejechać. Ale niech o pół łokcia chybi, niema ratunku.

Bogu dziękowałem, że tak szczęśliwie przejechał. Dojechałem do wsi, stamtąd była okazja, z którą się zabrałem i do miejsca dojechałem. Partya bydląt też bardzo pomyślnie przyszła.

W tym roku miałem pszenicę sianą, ale nie zbierałem, gdyż do cna na pniu zmarzła. Jednem słowem, z gospodarki rolnej dotychczas prócz straty nie miałem.

Gospodarz, u którego mieszkałem dawniej, jakkolwiek młody jeszcze, był chorowity, bezdzietny, nieradny i biedny; dla niego rok taki, kiedy jarzyna zmarznie, jest klęskowy, gdyż nawet jeść niema co.

Otóż raz trochę, drugi raz, wreszcie tak się u mnie zadłużył, że o oddaniu długu i mowy być nie mogło, zmuszony był przeto skutkiem tego jedną połowę domu za dług przyznać mi na własność. Na zimę sprowadziłem się do mojej własności, a że

chciałem mieć osobne wejście i spiżarnię, kupiłem kilkadziesiąt sztuk ostruganych okraglaków. Konia już wtedy nie miałem. Pięćset było kroków od mego domu do miejsca, gdzie były złożone okraglaki. Zniosłem je na plecach. Ciężko było, bo ciężko, najgorzej takie kloce brać na plecy, ale w ciągu tygodnia zniosłem.

Na drugi zaś tydzień: spiżarnia, sień, drzwi, wszystko było gotowe. Sąsiad, gospodarz zamożny, miał konie kilkunastoletnie, zaproponował mi, bym kupił jednego. Tęgiego i spasionego wałacha, wcale nie używanego, oddał mi za trzy ruble. Rozumie się, że, mając siano, mogłem go wyżywić, a gdy gdzie miał jechać, miałem z niego wygodę, koledzy moi z tej okazji często korzystali.

Przyjechał do mnie niejaki Bojarski i namówił mnie, by jechać do miasta. Przymrozki już bywały spore, ale mrozów dużych jeszcze nie było.

Tydzień nam zeszło w Kańsku. Przez ten czas padł śnieg. Na trzeci dzień, żeby już w mieście nie płacić za nocleg, wyruszyliśmy ku domowi.

Dał nieduży wiaterek i wszelki ślad za nami zasypywał. Do pierwszej wsi, Barnaul (było to gniazdo złodziei-rozbójników) mieliśmy 12 wiorst; wzięwszy się więcej na lewo, nad Kanem, o 20 wiorst była wieś Bielojarsk, tam jak nie mieli kogo, to sami siebie grabili i zabijali, zaś od Barnaulu do Ancyru też nad Kanem wiorst 13. Cała ta droga szła pustym i gołym stepem.

Kiedyśmy dojechali do Barnaulu, noc już była. Bojarski proponuje, by, zamiast błądzić po stepie, może w Barnaule zanocować. „Nie, siedź na sa-

niach, a ja dojadę do pierwszego domu i spytam o drogę!“

Podszedłem do pierwszego z brzegu okna (już było ciemno), zastukałem i pytam się, którą drogą jechać do Ancyru, bo znać dwie: na prawo czy na lewo“. — „Poczekaj, zaraz się wyjdzie!“

Przez okna pęcherzowe słyszę głos:—„No, przędziej się śpieszyć!“ Zwracając się do mnie, pyta:— „Skąd się jedzie? Wielu jedzie?“ Odpowiedziałem, że jeden jadę i, nie czekając, szybko poszedłem do sani, wsiadłem i w nogi, co sił. Opowiedziałem Bojarskiemu, że w domu kilku spało i ktoś wołał na nich, żeby się prędzej ubierali. Ładnieby nas urządzili, możeby nas jutro w Kanie ryby obgryzały. Jedziemy, ale dokąd, pojęcia nie mamy, drogi nie widać. Step goły i pusty.

Trzeba było nocować w Kańsku, teraz albo nas wilki obgryzą na stepie, albo dojedziemy do Biełojarska i tam bądź zdrów!

Uciekło się z Barnaulu, akurat wjedzie się do Biełojarska, myślę sobie. Wtem przychodzi mi na myśl urządzić po ciemku na saniach kompas, żeby przynajmniej nie kołować, lecz w prostej linii jechać. Widno było, bo śnieg blasku dodawał. Wiatr nie był duży, ale ciągły i dolny, tę trochę śniegu, co było, w ciągłym ruchu utrzymywał, a wiał, jak uważałem, wyjeżdżając z miasta, od rzeki.

Ażeby być pewnym, sam biorę na siebie rolę busoli. Lejce oddaję Bojarskiemu, mówiąc mu:— „Jedź, ale ściśle się zastosuj do mnie, gdzie ci każe jechać“.

Ponieważ głównie chodziło o to, aby się dostać

do rzeki, przeto okryłem twarz szczelnie, zostawiając tylko niewielki otworek, w który też ciągle wiatr dmuchał, a jeżeli tylko cokolwiek skrzył kołmi, już mi w łufik nie dmuchało, wiedziałem przeto, że nie prosto się jedzie, to też ciągle zmuszony byłem, jak niegdyś Austriacy rekrutów polskich uczyli chodzić, wołając:—„Słoma—siano“, tak ja bezustannie:— „Prawo — lewo, lewo — prawo!“

Konie znużone nie miały chęci iść prosto pod wiatr, ciągle też z tej racji były zwroty.

Taka jazda w nocy i niepewności wydaje się jak wieczność długa: być może, po godzinie, a może mniej takiej jazdy zdala dojrzałem ciemną smugę. Wiedząc, że nad Kanem rosną krzaki, pewien byłem, że to rzeka, to też radośnie zawołałem:— „Kan!“

I rzeczywiście jeszcze troszkę i dojechaliśmy do rzeki. Chodziło o to, aby się przedostać na przeciwny brzeg. Bóg łaskaw na nas, że się nie dało przejechać w tem miejscu przez rzekę, gdyż rzeka szeroka i słabo jeszcze była zamarznięta.

Dojechawszy do brzegu, Bojarski powiada:— „Ja będę pomału schodził, jak zobaczy się, że brzeg jest płytki, to się puścimy przez rzekę na drugą stronę, do Ancyru już blisko“, i z temi słowami zaczął postępować, ja tymczasem odwróciłem się do koni, nie doszedłem jeszcze do sani, kiedy usłyszałem głuchy krzyk rozpaczliwy. Co się stało? wołam, ale ostrożnie postępuję, by mnie się przypadkiem coś podobnego nie stało. Brzeg w tem miejscu okazał się stromy i bardzo wysoki, noga mu się poślizgnęła i wpadł w głębie, narazie zdawało mu się, że prosto w wodę, a to tylko było obficie w tem

miejscu nawiane śniegu; z trudnością mu przyszło wygramolić się, odwiązałem od koni lejce, rzuciłem mu i po nich ledwo mogłem go wyciągnąć.

Jużeśmy nie próbowali przejazdu w tem miejscu, jechaliśmy tylko brzegiem, a w pół godziny okazały się na przeciwnym brzegu liczne światła—Ancyra. Nie zastanawiając się, wesoło puściliśmy się w dalszą drogę, a niedługo, uszczęśliwieni, już w podwórzu u towarzyszy, zamieszkałych w Ancyrze, wyprześliśmy konie. „Skąd wy jedziecie?“, krzyknęli jednocześnie. „Z Kańska“, była odpowiedź. „Którędyście przyjechali?“—„Przez Kan“.—„To niemożliwe, w dzień trudno przejechać, a coś dopiero w nocy“.

Dopiero przy gorącej herbacie, którą gościnni koledzy czem prędzej naszykowali, opowiedzieliśmy przygody nasze: jak błądziliśmy po stepie oraz jak mieliśmy zamiar przez Kan na drugi brzeg się przeprawić.

Dziwno im było, jak można się przedostać, kiedy rzeka tylko częściowo i kawałkami zamarzła. Na drugi dzień wiatr ustał, ale też drogi były pozawiewane, poszliśmy obejrzeć, którądyśmy przejechali przez rzekę, dziś jeszcze na wspomnienie włosy na głowie się jeżą i jak byłem w tej chwili w wielkiej potrzebie, gdyby mi ofiarowane były tysiące, nie skusiłyby nas. Żaden z nas tym śladem przejechanym w dzień na pieszo nie miał odwagi przejść.

Przyjechawszy do domu, dowiedziałem się, że w Denisowej jest kupiec z Irkucka, który ma kilka nacie beczek „omulej“ (są to ryby podobne do śleddzi, z tą tylko różnicą, że dużo większe i nie potrzeba ich w wodzie moczyć, jedzą je prosto z beczki na surowo, bez żadnej doprawy).

Pojechałem przeto do owego kupca, wziąłem beczkę omulej i zaraz na adwent puściłem się z niemi w objazd. Pocieszne to było i zabawne, alem sobie już nic z tego nie robił. Jadąc środkiem ulicy, krzyczałem głośno:—„Omuli, omuli, omuli!“ Ludziska zatrzymywali się, kupując po kilka sztuk. Przez adwent beczkę taką sprzedawałem. Ilem zarobił na sprzedaży, nie pamiętam, ale jakoś czas schodził i wiem, że z zarobków żywiłem się.

Do dnia o godzinie drugiej wstawałem do młocki. Oj! użyłem ja wtedy na szalonych mrozach! Po powrocie od młocki zasiadałem do herbaty bez cukru, tylko z mlekiem, albo i czystej, stosownie do dnia, gdyż posty ściśle są na Syberyi obserwowane.

Wypijałem dwadzieścia filiżanek herbaty i stosowną ilość zjadałem kolaczy. Za tę robotę nie brałem żadnej zapłaty, robiło się z grzeczności, po sąsiedzku. Najczęściej na tej herbatce zeszło do nocy i poszło się z tem spać, chyba, że się udało zająć gdzie w gościnę i wówczas znów herbatką się poprawiło.

Przyjechał znów Borys Siemionowicz, kupiec zbożowy, o którym już wspominałem, owies kupować z dostawą. Niewiele myśląc, poszedłem sprzedać 200 pudów. Dał mi zaliczki 50 rubli. Kupowałem owies po 35 kopiejek za pud, dostawa droższa była, niż owies, gdyż trzeba było 55 kopiejek od puda zapłacić. Wszystko to dobrze odstawiłem, kwit mi przywieźli, była nawet przewoźka. Ale kupiec mój wiecznie był goły, ciężko od niego było wydłubać tę trochę pieniędzy. Tłómaczył się, że nie odebrał jeszcze pieniędzy za owies. Ja zaś, na miejscu,

od ludzi urwanie głowy miałem, gdyż każdy upominał się o swoje. Kapaniną mi oddawał pan kupiec, a ja na całej dostawie nic nie zarobiłem.

Cały mój rachunek chybił. Sądziłem, że od razu 150 rubli odbiorę, pojedę do miasta, nakupię praktycznego towaru, którym będę nie bez zarobku handlował i dopiero, trochę towarem, resztę pieniędzmi, dłużnikom moim wypłacę. Ale jak mi kiedy niekiedy po kilkanaście rubli dawał, to jazdy moje do niego prawie że tyle uczyniły, co zarobek wynosił, a wlokło się od lutego do lata.

Tego roku byłem zaproszony w dwa miejsca na święta Wielkiejnocy. W sąsiedniej wsi, u kuma mojego, trzymałem dwoje dzieci do chrztu. Dobry i zamożny gospodarz, był wójtem, czyli „starostą”. Życzliwy był dla mnie i wielce mnie szanował. Bywało, po tygodniu u niego siedziałem.

Potem zaś gościłem u mego kupca, Borysa Siewionowicza, Żyda. Ależ to pan był, nie chałaciarz! Przy stole wszyscy z gołemi głowami siedzieli. Przyjęcie było gościnne i wspaniałe, żadnej znać nie było różnicy w jedzeniu, tylko herbata w miejsce cukru miodem słodzona, do picia zaś buraki kiszzone podawano i mace na przegryzkę.

Och, lato tego roku ciężkie było dla mnie, żadnych nie miałem funduszków, parę tygodni było takich, że cały dzień nic nie jadłem, dopiero na wieczór miałem trochę mąki pszennej, którą zarobiłem z wodą na gęsto i na gotowaną wodę łyżką ciasto kładłem i tak z polewką osoloną spożywałem tę nędzną strawę.

Po tem syberyjskiem odżywianiu się 20 lat

ciężko chorowałem i dziś, zrujnowany na zdrowiu, z tą chorobą wegetuję.

Jedyny mój majątek, koń, przyszedł z innymi ze stepu, na środku drogi padł, i w parę minut już było po nim. Zmartwiłem się serdecznie, spłakałem, ale co było robić? Kum mój, dowiedziawszy się o mojem nieszczęściu, przysłał mi młodą kobyłę. Ucieszyłem się bardzo, przykro mi tylko było, że nie mam czem mu się odwdziaczyć.

Tego lata z sianem długo mi zeszło, ale że pogody dopisywały, to się sporo nasiekiło. Szewc-ześlaniec przylepił się do mnie, byśmy razem siekli, i rzeczywiście, obojgu nam wyszło na pożytek, gdyż, jak sam kosiłem trawę, to często odpoczywałem, pokosów też niewiele przybywało, gdyśmy zaś byli we dwóch, jeden drugiego się żenował i jeden drugiego pobudzał do roboty.

Nie była to łąka gładka, równa i sucha, lecz przestrzeń olbrzymia nad Topolczykiem, na oko równa i bujną trawą porosła, a właściwie składająca się tylko z samych gęstych, tyle tylko że równych kępek. Cała więc trawa, gruba rzeżucha, wysoko rosnąca, po skoszeniu na wierzchu kęp się układała, a nawet przez to szybko schła, ale nogi nasze ciągle w wodzie mokły, gdyż do połowy kępy woda nie wysychała.

Długi pokos jak się przesiekiło, chciałoby się odpocząć, a tu jeden albo drugi woła: „Dalej! trzeba się śpieszyć! jak dwa albo trzy pokosy przejdziemy, wtedy się fajki zapali i trochę odpocznie”. Ale mało było tego odpoczynku, bo trzeba się było śpie-

szyc, póki zrana chłodno, muszek jeszcze niema, później upał i robactwo dokuczliwe!

Gdy powróciłem z koszenia łąki, nastawiałem samowar, potem wypijałem mnóstwo filiżanek herbaty z chlebem, szczęśliwy i zadowolony. Prawda, że o świtaniu należało wyjść, boć zawsze do siedmiu wiorst było do łąki. Na łące zaś, o ile się dało, przeciągało się czas roboty. Nic więc dziwnego, że wypijałem po 16 szklanek czystej herbaty, bez cukru nawet, z pół bochenkiem chleba.

Zwykle spać chodziłem wcześniej, by na rano być wywczasowanym i gotowym do pracy.

Najgorzej i najciężej nam było składać w sterty to siano. Konia nie można było używać, bo okropne kępy i błoto, tylko trzeba było żmudnie, ciężko i znojno siano na plecach znosić i wprost je składać na kępach. Stert takich sześć do ośmiu dziennie stawiałem.

Ja, mając konia, nie liczyłem na sprzedaż, ale mój wspólnik był kontent, że pieniędzy dużo nabierze, gdyż, nie mając konia, całe siano mógł odsprzedać.

Jak przyszła zima, spadły śniegi i mrozy nastały, można było jechać po kępach jak po szosie mój wspólnik umówił się po 3 ruble za furę siana i dużo liczył na zyski ze sprzedaży. Gospodarz pewien zamożny, który kupił siano od mego towarzysza, przyjechał najpierw zobaczyć, jakie mamy siano i jak duże są sterty. Mój wspólnik zdziwił się, zobaczywszy tylko gołe sanice, myśli sobie: co on na te sanice włoży? nie będzie dobrze, bo fur z tego siana takich wiele ułożyć można.

Włościanin zaś, podjechawszy pod stertę, zszedł z sań, narąbał długich kijów, w poprzek je na sanie poukładał i kładzie siano. Mój szewc widzi, że w ten sposób gotów on całą stertę zabrać na sanie, zaczyna więc lamentować. — „A tożes sprzedał na fure“, odpowiada. — „Któż wiedział, że będą takie fure. Ja nie mogę takich fur dawać!“ Pokłócili się, o mało się przytem nie pobili.

Jedną wziął tylko ów gospodarz furę. Zdawało się, że koń nie da rady, ciężko mu było po kępach, ale później lekko poszedł. Na drugi raz nauczył się szewc siano sprzedawać.

Żniwa były w tym roku bardzo deszczowe. Chodziłem stale pomagać memu sąsiadowi, żąłem, podawałem snopki, sterty składałem, do siewu, w polu zaraz, wprost na ziemi, z nim młóciłem.

Przyszedł wrzesień słotny, potrochu śniegi, a i dobre przymrozki się trafiały: tak się przeplata, już trochę zimy, jeszcze trochę lata.

Pierwszego października jest święto, przez mieszkalców uroczyście obchodzone. Na to święto pojechałem wierzchem do kuma do wsi Topoln. Kilka dni tam zabawiłem, gdyż nigdy mnie do domu puścić nie chcieli. Przez ten czas padł duży śnieg, i mróz się zrobił najniespodziewaniej, bardzo się wcześniej zima ustaliła.

Jadąc do domu, pierwszy raz zobaczyłem, jak ogier, pasący tabun koni, jest czujny i obrotny. Nie podejrzanego nie widziałem dokoła. Zdziwiłem się, gdy zarżał, sądziłem z początku, że do mej kłaczki się śmieje. Tymczasem wszystkie konie z tabunu w oka mgnieniu cwałem do kupy się zbili, on zaś

wokoło obleciał, wspaniały w swej postawie, stanął, spojrzal w bór, w tę stronę, dokąd jechałem, odleciał kawałek—stanął. Wreszcie kilka razy parsknął i wolno zwrócił się ku tabunowi, konie też, jakby nigdy nie, zaczęły się rozchodzić i kopytami śnieg odgrzebywać, trawy szukać. Widocznie wilki musiały być w bliskości, ale ja ich nie widziałem.

Pewnego razu dostałem wezwanie, by się stawić do wołosti w Tasiejewej. Dali mi podwodę i pojechałem, po przyjeździe na miejsce dowiedziałem się, że przyjechał ksiądz, do którego nas sprowadzono. Dużo się nas zebralo, każdy był ciekaw, co za nowina, mając więc darmo furmankę, wsiadł i jechał.

Kiedyśmy się zebrali i poszli do księdza, oświadczył nam, byśmy się złożyli, to nam odprawi Mszę Świętą. Po tem oświadczeniu księżulka ładnieśmy się uklonili, i każdy w swoją drogę pojechał.

W Tasiejewej była ulica, na której było kilka sklepów, a między innymi i Gołębiowskiego, który po ożenieniu się z popadją sklep założył. Jadąc właśnie tą ulicą, zdala widzę przed sklepem Gołębiowskiego dość liczne zebranie. „Co tam takiego?” pytam swego woźnicy. Narazie nie umiał mi odpowiedzieć, ale wkrótce zauważyliśmy, że przed sklepem kilku ludzi stoi i ciska garnkami, które stały wystawione na sprzedaż przed sklepem, w kotłującą się na ulicy gromadę ludzi.

Woźnica mój powiada:—„Biją się“.—„Jedź!“—krzyknąłem.

Podjeżdżamy. Widzę, że kilku Polaków i podwójna ilość tubylców okładają się pięściami, za

włosy się wodzą, kijami bija. W tej chwili krzyknąłem: —„Stój!“ Wypadam, a widzę, że dwóch usiłuje sobie wydrzeć nawzajem kij, w oka mgnieniu przyskakuję do nich, mocno podniecony, łap w środku za kij, obydwu go wydzieram i, jak błyskawica, ani dalem się im zastanowić, jednego i drugiego prosto w twarz kijem uderzyłem. W tej chwili obadwaj się krwią zaleli, ja tymczasem jednego i drugiego w łeb.

Z boku widzę, ręką się jeden na mnie zamierza. Jak wytnę go prosto w głowę, odrazu się przewrócił. Do sani moich drogę sobie utorowałem, nikogo po drodze nie szcędząc, owszem, i swoim się dostało, spokojnie w sanie siadłem i pojechałem.

Z początku w zapale bójki nikt nie wiedział, kto to ich tak rozgromił; opowiadali, że po moim odjeździe wszyscy się zaraz rozeszli. Ale Gołębiowski, jak zwykle, z laseczką stał na schodach i widział, jak nadjechałem i jak tłum rozpędziłem. Okropny z tego później był śmiech. Polacy, którzy ode mnie dostali, mieli pretensję, ale się potem udobruchali i nic już nie mówili. Mojem zdaniem, nie mieli racji. Mnie to tylko wzburzyło, boć Polakom nie przystoi z chłopami w obcej wsi, a i wogóle nigdzie, burdy i bijatyki wyprawiać. Wzywali mnie na sprawę, ale została umorzona, gdyż, jak popatrzeni na mnie, nikt nie uwierzył, abym mógł tak kijem łby popłatać.

Tej zimy mój sąsiad z drugiej połowy domu, wszystkie doczesne kłopoty porzuciwszy, sam do lepszego świata się przeniósł. Wdowa się wyprowadziła do swych rodziców, a puste mieszkanie objął niejaki Świniarski.

Świniarski był to brunet z czarną brodą, a tak się przez całą zimę uwędził w dymie, gdyż komin mu swędził stale, że jak dzikus wyglądał; w mieszkaniu też nie bielej było, niż w kominie. Trochę miał „fijolka“ w głowie ten mój sąsiad przez ścianę, a wiecznie miał do mnie jakąś pretensję. Mnie to mało obchodziło, i ze swoją osobą mu się nie narzucałem. Ale pewnego razu, nie wiem z jakiej przyczyny, zaprosił przez towarzyszy i mnie, a chcąc nas ufetować, nastawił samowar, w środek włożył kilka jaj i po ugotowaniu miał nas częstować herbatą.

Biorąc jajko do ręki, powiadam: — „Dziwna rzecz, że te jaja takie białe, a wszystko wokoło takie czarne.“ — „A przecieżby się w gotowaniu umyły, choćby nawet były brudne“, odpowiada gościnny gospodarz, podając mi z tejże wody herbaty. — „To też, widzi kochany pan, jajka dadzą się zjeść, ale na rosół z jajek nie jestem amator. Dziękuję za zupełne!“

Wszyscy w śmiech, i od tej pory w samowarze jaj nie gotował, przynajmniej dla gości.

Z czego on żył, nie miałem pojęcia, nigdzie nie zarabiał, nikt mu nie przysyłał, ktoś z dobrego serca chleba mu upiekł i tak temi gotowaniami jajami, herbatą i chlebem głód zaspokajał.

Najwięcej przesiadywałem u dwóch malarzy. Skalski, niby to malarz, pocziwy z kośćmi chłop, ale malował z trudnością do cerkwi bohomy na papierze; stare mu też nieraz dawali do odnowienia, a jednego razu włościanin pewien, będąc pod dobrą datą, u zamożnego sąsiada uderzył w portret pięścią, a bojąc się potem po wytrzeźwieniu jakiej odpowiedzialności, dał to Skalskiemu do poprawy. Długo

marudził z podklejaniem i przeróbką, swoją drogą wywiązał się dobrze z zadania, za co dostał 30 rubli.

Był też drugi malarz, razem ze Skalskim mieszkali, jak się nazywał, nie pamiętam, nauczył się „dugi“ malować, Skalski odrysowywał różne kwiaty, ten zaś farbami je pociągał.

Niekiedy obadwaj w domach okna, drzwi i t.p. malowali, tylko że Skalski, jak był pocziwy, tak był safandula, co robił, to do znudzenia wolno, przez co zawsze był w kłopotach i zawsze brak mu było gotówki.

To fajeczkę nabija i zapala, albo w arcabyby pograł albo do gawędki siedzie, a jak stał przy stalugach, to do mdłości przyprawiał. Pociągnął raz albo dwa pendzelkiem, wstawał, przyglądał się owemu dziełu wprost, to z boku jednego i drugiego, znów pendzelkiem poprawił, znów się przypatruje. Nic dziwnego, że, kiedy do cerkwi zrobił obraz „Trójcy“ za 25 rubli, pół roku robił.

Na drugim końcu wsi mieszkali razem Gnizdowski z Dziewanowskim, niczem się nie zajmowali, albowiem odbierali z domu zapomogi, które im na skromne utrzymanie wystarczały. Graliśmy często w preferansa; przegrane były zapisywane ściśle i miały być użyte na festyn dla wszystkich na Ś-go Kostkę! Moje imieniny wypadły w listopadzie. Listopad przeszedł, i nikomu do głowy nie przyszło festynu wyprawiać.

Już był chyba kwiecień, wypadło mi pojechać do miasta, słońce dobrze przygrzewało, ale sankami można było jeszcze jako tako przejechać. Już kilka dni byłem w mieście, kiedy po południu spoty-

kam znajomego, który, zobaczywszy mnie, zdziwił się, że jeszcze nie pojechałem.—„Dlaczego?“—„Roztopy, przez Kan nie przejedziecie!“ W tej chwili poszedłem na kwaterę, założyłem konia do sanek i zrykam co duch do domu.

Wpadam na rzekę, a przeciwny brzeg mało co widać; poganiam, ostro jadę, tylko woda bryzga, widzę wreszcie na przeciwnym brzegu gromadę ludzi, którzy rękami wymachują, gestykulują, coś krzyczą. Ja ostro sobie jadę. Dojeżdżając, blisko brzegu, czuję, że łód trzeszczy, dopiero przy samym brzegu łód się załamuje i koń wpada w wodę. Ale to już było i płytko i tuż przy brzegu, parę razy koń się szarpnął i na ląd wyskoczył.

Dopiero zaczęli krzyczeć: „Wot mołodiec!“ Opowiadali mi później, że tu stoją i nie wpuszczają na łód, bo lada chwila rzeka puści. Mnie Pan Bóg szczęśliwie przeprowadził.

W Perewozie nocowałem i na drugi dzień byłem świadkiem, jak rzeka puściła, gdyby mnie był ten jegomość w mieście nie spotkał, na wielki koszt byłbym narażony, gdyż musiałbym w mieście siedzieć. Albo jeszcze byłoby gorzej, bo miałem zamiar dopiero wieczorem wyjechać na noc do Perewozu.

Jadąc do miasta, nocowałem w Kaitkaju; tam mnie znali dobrze, gdyż często przejeżdżałem i często tam nocowałem. Jadąc tym razem, też nocowałem w Kaitkaju. Po kolacyi, przy rozmowie gospodynii opowiada, że już z tydzień będzie, jak tędy przejeżdżał Polak, ale bogaty, „bumażyk“ miał pełno

napchane w pugilaresie, pojechał do miasta i jeszcze dotychczas nie powraca.

„Ty się strzeż, bo „brodjagi“ poszli go pilnować“.—„Jakże to, a skąd „brodjagi“ wiedzieli, że Polak pojechał i że ma tak dużo pieniędzy?“ — „Na drugiej stronie teraz żołdat mieszka, i wczoraj u niego nocowało trzech „brodjagów“. Żołdat powiada do żony, że Polackowi dałem na „czaj“ do miasta, żeby kupił; miał zaraz powracać, a dotąd jakoś go nie widać, nie przyjeżdża, żeby nie chciał z pięciourublowki mojej skorzystać i przywłaszczyć sobie“. Na co żona się odzywa:—„Taki bogaty, on ledwo tę pięciourublowkę wepchnął w swój „bumażyk“. Brodjagi, słysząc to, wstali i poszli. Będą go chyba pilnować. Ty się strzeż!“.

Może to jeden z licznego cechu blagierów, napchał w pugilares papierów od herbaty, być może z wierzchu jaki paperek pieniężny włożyli wszystkich w błąd wprowadził, że tak dużo pieniędzy posiada, nie zdając sobie sprawy, że z tego mogłoby się wydarzyć nieszczęście. Albo też być może, że polakomił się na tę pięciourublowkę, gdyż później nie słyszałem, czy oddał.

Otóż z Perewozu na noc dojechałem do Mokruszy. Ponieważ stąd do domu miałem jeszcze siedm-dziesiąt wiorst, już bez herbaty do dnia wyruszyłem, by na noc być w domu.

Odjechawszy pięć wiorst od Mokruszy, jechałem drogą, która idzie wąwozem od samego początku wciąż pod górę, boki zaś lasem porośnięte, a w tem miejscu, gdzie się las kończy, i wąwóz się skończył. Ponieważ droga szła ciągle pod górę, położyłem się

w saniach i wolno jechałem. Na samym końcu wozu koń stanął; zerwałem się na równe nogi, patrząc, stoi trzech „brodjagów“, dwóch po bokach, a jeden przed koniem.

„Co to jest?“ krzyknąłem.— „A nic!“ odpowiadają.— „Pan skąd jedzie?“— „Z Mokruszy“. — „A dokąd?“— „Do Oziera“. — „Po co?“— „Ja służę w Mokruszy i jadę młócić“.

Tym czasem, jeden z „brodjagów“ zajrzał w sianie, czy czego nie wiozę, i powiada: — „Nie, to nie ten“. — „A o co wam chodzi?“— „A nic. Jechał tu jeden pan, i my dali jemu na tytuń, myślelim, że to on. A u ciebie, pan, niema tytoniu?“ — „Mam trochę dla siebie, mogę się z wami podzielić“.

To mówiąc, wyciągnąłem kapeiuch i trochę tytoniu im udzieliłem. Podziękowali, a ja wolno odjechałem. Zamiast jednak jechać na prawo, pojechałem na lewo; odjechawszy kawałek, krzyknąłem, że to właśnie ja jestem, co pięciorublówkę od soldata wziąłem w Kaitkaju, a jednocześnie konia podciąłem. Dobry odjechałem kawałek, gdyż mało co lasu widać było, kiedy pomiarkowałem, że źle jadę.

Stałem i zamyśliłem się, co teraz zrobić: wracać źle, może oni wiedzą, że źle pojechałem, i czekają na mnie. Może oni poszli do Kaitkaju, ja się wrócę i właśnie za nimi jechać będę; zatrzymają się gdzie i, być może, w garsć im wpadnę, ładniebym wtedy wyglądał. Tamtego chciałem z ich rąk wyrwać, a przez to sam jestem w kłopotcie.

Znając trochę okolicę, zaryzykowałem, nawróciłem wprawo i prosto przez step, bez drogi, na przelaj pojechałem; jadąc z godzinę, na właściwą

drogę trafiłem i kawał w noc, ale szczęśliwie do domu dobiełem.

Dziś już nie przypominam sobie, z czego żyłem tego roku. Trochę zasiałem, trochę handlowałem, trochę zarobiłem na sianie, trochę koniem handlowałem, a zawsze z dopłatą, wreszcie na samym ostatku, jak z Cyganami pohandlowałem, to tylko uzdeczka mi się z konia została. Słowem, kochani moi wspólnicy odebrali mi wszystko: szczęście, energię, fundusz, i odtąd, do czego się wziąłem, szło oporem, ciągle handlowałem i ciągle w kłopotach byłem i ciągle prawie że nie miałem.

Dawny mój gospodarz na obszerny okólnik nagnał kilka młodych koni, aby je pojmać i objęździć. Była to młodzież, nie znająca nigdy uździenicy, pięciolatki; pojmano pięć koni. Stoją one na uwięzi, dygoczą ze strachu, zduszone arkanem. Szóstego w żaden sposób ująć nie mogą.

Był ranek, wyszedłem tak sobie popatrzeć na to widowisko w bieleźnie tylko i spodniach. Koń dziki z tabunu, ani przystąpić komu do siebie nie daje; na różne sposoby go biorą, nie da się.

Jednemu udało się go złapać, ale tak niefortunnie, że o mały figiel koń go nie zabił, a i tak leżał i stękał, gdyż srodze był potłuczony. Wtem gospodarz się odzywa: — „Powiadają, że Polaki są bardzo odważni i zręczni. Żebyś ty, Stanisławie Martynowiczu, złapał go i utrzymał, dałbym worek maki!“ — „A jakiej?“, pytam się. — „Pszennej!“ — „Popróbuję. Dajcie mi arkan, i wszyscy się stąd wynoście!“ — „Dobre, pane“. I wyszli.

Pół godziny upłynęło, zanimem go mógł po-

dejsć. Już wszyscy zwątpili, a i ja sam, czy mi się moja sztuka uda. Miałem już odstąpić, gdy wtem koń przeszedł tuż koło mnie klusem, w tym biegu na chybił trafił rzuciłem mu na kark arkan tak szczęśliwie, że koniec odrazu w rękę mi trafił, i już w biegu pętlę zadzierzgnąłem, koniec koło ręki okręciłem i mocno stanąłem.

Koń puścił się galopa, ja upadłem na ziemię i z pięćdziesiąt kroków ciągnął mnie za sobą, aż wreszcie padł zduszony. W tej chwili przypadli parobcy, zdusili go, mocny kantar włożyli, pętlę popuścili i na miejsce odprowadzili. Ja zaś, tylko ambicią powodowany, siłą woli się podniosłem; cały przód koszuli wyrwany, ale co gorsza, piersi do żywego mięsa zdarte i rozbite.

Przywlokłem się do domu, zacząłem kasłać i krwią mocno pluć; ze dwa tygodnie kobiety mnie leczyły jakimiś tłustościami: wewnątrz i na zewnątrz.

Rozbiłem się, przechorowałem, ale sławę i opinię o Polakach utrzymałem, a worek mąki, pięć pudów, na bardzo długo zabezpieczył mnie od głodu. Lato zeszło, jak i wszystkie, z tą różnicą, że miałem więcej roboty. Siana nakosiłem, potem miałem żniwa.

Kawałek spory miałem jarki. Co ja się z nią namartwiłem, że wszystkich stron ją żąłem; myślałem, że prędej będzie. Wiele to ja dni musiałem zbałamucić, nim nareszcie skończyłem żniwa. Postawiłem stertę z pszenicy i sidła na cietrzewie na sterce. Odrazu dwa cietrzewie się złapały.

Ostatnie to już lato i ostatnia zima, które spędziłem na Syberyi. W styczniu przyszło zapytanie do każdego z wysłanych: gdzie kto sobie życzy by

przewiezionym. Można było wybrać którekolwiek miasto w Rosyi, oprócz stolic i Królestwa Polskiego. Wszyscy Polacy zebrali się do mnie i radzili, gdzieby który chciał jechać. Do różnych miejscowości projektują. Ja zaś powiedziałem:

„Mam jechać bez pieniędzy do Rosyi? Do urzędu mnie nie wezmą, w żadnej fabryce nie byłem, rzemiosła nie umiem, na utrzymanie mi nie dadzą, z czegoż więc tam żyć będę? Mam tam chodzić po żebraniu, to wolę tu siedzieć“. Na to się nikt nie odezwał, ale gdy wyszli ode mnie, zaczęli to moje powiedzenie tłómaczyć sobie, że nie chcę jechać do kraju i że na zawsze na Syberyi pozostanę. Po jakim czasie znów przyszli do mnie. — „Po cożeście przyszli do mnie? Dopieroście mnie obgadali, że mam zamiar pozostać. Ja na waszem miejscu nigdybym progu tego nie przestąpił!“ — „A dla czegoż nie chcesz do Rosyi jechać?“ — „Dla prostej przyczyny, tu mam biedę, ale jakoś się żyje, a tam z czego żyć będę w mieście? Ale żeby was przekonać, że nie mam zamiaru tu pozostać, boć mnie tu nie nie wiąże, a do miast rosyjskich przenosić się nie myślę, w tej chwili napiszę podanie, aby mnie na Kameczatkę lub Amur przenieśli. Coś przynajmniej zobaczę, a was stąd i tak nie ruszą“.

W tej chwili siadłem i, jak umiałem, podanie o przeniesienie w powyższe miejscowości napisałem i odesłałem je, dokąd należy.

W marcu przyjeżdża do wsi pisarz od „starszyzny“, i powiada: — „Stanisławie Martynowiczu!“ — „Co takiego?“ — „O was sprawki przyszły“. — „Co to znaczy?“ — „A ot zapytanie o was: jak tu żyjecie, czem

się zajmujecie i czy spokojny.“ — „No, i na co to?“ — „No co?“ — „A do domu pan pojedzie“. — „A prędko?“ — „Prawdopodobnie miesięcy dwa zejdzie“.

Towarzysze moi zaraz się dowiedzieli. „Co? jak?“ — „A tak. Wyście się do miast rosyjskich wyrywali, a jakoś was nie wysyłają. Ja zaś wybrałem Kamczatkę, a tymczasem do kraju podobno pojedę“. Dalej zaraz na temat powrotu mego różne wnioski wyprowadzać. „Jesteś tak mizerny i wycieńczony, że, jeżeli tylko pojedziesz statkiem, od śmierci się nie wykreśisz“. — „Dlaczego?“ — „Dlatego, że na tak wielkich rzekach, jak Ob, w razie burzy dostaniesz morskiej choroby, której nie wytrzymasz!“ — „A no, to będzie, co Bóg da. To trudno!“

Tymczasem napisałem do kraju, żeby mi co przysłali na drogę, gdyż bardzo źle stałem z pieniędzmi. Z odpowiedzią niedługo zwlekli, gdyż w ciągu dwóch miesięcy już miałem sześćdziesięciurobłą odpowiedź.

Niewiele to znaczyło, no, ale i to stanowiło dużą pomoc w drodze. Jednocześnie z przesyłką pieniędzy przyszło zawiadomienie, że jestem wolny, i zapytanie, czy mam fundusze na powrót do kraju, gdyż, jeżeli nie mam o czym jechać, to będę odstawiony z powrotem kosztem rządu.

Rozumie się, wyboru nie było, tylko na to ostatnie szybko się trzeba było decydować. A więc w pierwszych dniach czerwca nawet gdybym nie chciał, siłąby mnie wyprawili.

Jak w stronę Sybiru podróż była nie nazbyt przykra, nawet urozmaicona, a znośnie swobodna, o tyle w powrotną stronę do kraju była przykra.

Pierwszych więc dni czerwca podeszła podwoźda i zabrała mnie w powrotną podróż. W Kańsku jeszcze nie były załatwione jakieś formalności, z tej więc racyi pięć dni tam nas zatrzymali. Zebrało się nas chyba czterech, kto oni byli, dziś nie pamiętam.

Zaraz za Kańskiem odsyłali nas etapami. Na każdym takim etapie był oficer i kilkunastu żołnierzy z podoficerem. Oficera rzadko kiedy się widziało, a rządził przeważnie podoficer. Jadąc na Sybir, mieliśmy swobodę. Jadąc do kraju, po przyjeździe na etap, zamykali nas na klucz i nigdzie nawet po żywność nie wolno było iść, lecz zależało się od podoficera: jeżeli był kawaler, trzeba mu było dać „rebochę“, jeżeli zaś był żonaty, nie pozwalał ani wyjść, ani też dawać na prowianty, tylko żądał, by jedzenie od niego brać gotowane, które niewiele co było warte, a drogo kazał sobie płacić.

Trafiło się, że i aresztantów jednocześnie do etapu na noc zamykali, i trzeba było razem z nimi nocować.

Byli to ludzie, wyzuci z wszelkich uczuć humanitarnych, ale też podoficer obchodził się z nimi gorzej, niż z dziką bestyą.

Byłem świadkiem, jak jakiś aresztant przypadkiem potrafił podoficera, za co go przeproszał. Ten zaś zawołał żołnierzy, kazał rozciągnąć biedaka na podłodze i sto kijów mu wyliczyć, aż zemdłał.

Tak dojechałem do Tomska. Zawieziono nas do etapu, który o wiele był większy od podobnych na tracie. W Tomsku blisko dwa tygodnie nas zatrzymano. Zebrało się nas z górą trzydziestu.

Tu mocno zachorowałem na rozstrój żołądkowy

i zapalenie oczu. Zapalenia ledwom się pozbył w kraju, i to od czasu do czasu się powtarzało. Rozstrój żołądkowy zamienił się na katar kiszek, który mnie lat dwadzieścia męczył. Nareszcie nadszedł statek parowy z „barżami“, który w dalszą miał nas zabrać drogę.

Radość była ogólna, kiedy nas wyprowadzono, gdyż z różnej kategorii aresztantami razem siedzieć zamkniętym nie jest przyjemnością. Zaprowadzono nas przeto przed bramę, ustawiono rzędami, i kapitan statku, jak owce porachowane, odebrawszy, pod konwojem w dalszą uprowadził drogę. „Barża“ dzieliła się na dwa przedziały: dolny bez kajut i górny z kajutami. Górne kajuty zajęli „dworjanie“ i kobiety, spód zaś cały zajęty był przez resztę nieuprzywilejowanych.

Roztasowawszy się na dobre, przyszło mi na myśl, że przepowiadali mi, jakoby na statku nie cieszył się długim życiem, tymczasem czułem się prawie że dobrze. Towarzysze, którzy ze mną jechali od Kańska, zajęli się wspólną kuchnią. Gotowane jadałismy tylko na obiad, rano zaś i wieczór — herbata. Na górze, w kajutach, było nas niewielu, ale za to na dole ani przypuszczałem, żeby nas tak dużo było.

Zaszedłszy raz tak na spód statku, przeląknem się, że okienka są tak nisko, prawie że równo z poziomem wody. Uciekłem czem prędzej na górę i ze strachem o tem opowiadałem.

Śmieli się też ze mnie, twierdząc, i słusznie, że, jeżeli okienkami wody najdzie, to nie tylko tamci, ale i my się potopimy, bo cały statek zatonie.

Zdziwienie nasze było wielkie, kiedy, zbudzwszy się pewnego ranka, łądu wcale nie widzieliśmy. Była to rzeka Ob. Wspaniała rzeka, a że cokolwiek niebo było zamglone, przeto nie brzegów nie można było dojrzeć. Jakkolwiek wiaterek był nieduży, jednak wspaniałe fale, jakby igrające z sobą, goniły się po rzece.

Nasz statek na te figle wcale nie był wrażliwy, zanurzał się głęboko, szedł przeto równo, prawie nie kołysząc się.

Później jechaliśmy bliżej brzegu, i na płytszej wodzie fal wielkich nie było. Gdy wjechaliśmy z Tomi na Ob, prawda, że było pochmurno, ale się odrazu zimno zrobiło, chociaż to jeszcze był lipiec. Okolice, o ile można było spostrzedz, w roślinność wielką nie obfitowały.

Na małych łódeczkach, jak łupina z orzecha, siedział Ostyak i podpływał tuż pod statek, ofiarowując „stertę“, znakomitą rybę, na zamianę za chleb. Niewiadomo, czemu się było przyglądać: czy łódkom, czy Ostyakom, czy też ich umiejętnym manewrom: po falach skaczą łódki, jak na huśtawce, a oni kierują nimi bez wiosła; ryby w biegu statku ciskają na pokład, wzamian o chleb prosząc. Chętnie dzieliliśmy się z nimi chlebem.

Pod osadą Samarowską opuściliśmy rzekę Ob, a wpłynęli na Irtysz. Co to za potęga wód ujście Irtysza do Obi! Nasze rzeki wobec nich strumykami się wydają. Irtysz bierze nazwę od księcia Iszymskiego, Irtyszak zwanego.

Irtyszem dojechaliśmy do Tobolska. Niestety nasze, że rzeka Tobol, która pod Tobolskiem

wpada do Irtysza, o tej porze nie obfitowała zbyt w wodę, wobec czego dalszą drogę do Permy trzeba było odbywać na kołach.

Ten kawał drogi mocno się nam dał we znaki. Jadąc gubernią tobołską, jeszcze się bardzo nie czuło niewygód, ale po przejechaniu gór Uralskich przekonałem się, że po wszystkich etapach panuje cholera. Przejeżdżając przez wieś, prawie w każdej spotykało się pogrzeby.

A nigdzie żadnych środków ratunkowych nie było. Umarł, zbili cztery deski, w dół wrzucili, zakopali — i koniec. Najgorzej na jednej stacji było. Miasteczko, dziś nie pamiętam nazwy tej miejscowości. Więzienie, obszerne gmach, murowany — natłoczony, a cały zarażony cholerą, tyfusem i ospą. Nie pamiętam, dla jakiej przyczyny parę dni tam nas zatrzymano; jeszcze ta okoliczność dla nas była łagodząca, że wszędzie dawali nam osobne cele.

Swoją drogą przejścia, połączenia i wszystkie inne ubikacje były wspólne. Styczność przeto i łączność ze wszystkimi była na każdym kroku, jedynie na noc można było drzwi zamknąć. Dwa dni byliśmy w tej miejscowości, a kiedy trzeba było rano przejść przez ogólną salę, to z nocy pięciu, sześciu martwych leżało. Można powiedzieć, że, jak mu chy, padali.

Chorych już przywozili, siedzących rzędem na arezstanczkich, specjalnie do tego zbudowanych wozach; chory i zdrowy, razem skuci za ręce i przykuci do woza. Na tej to właśnie stacji zachciało się żołnierzom i nas podobnie przewieźć, aleśmy się oparli. Cholera jeszcze wraz z nami do Permy przy-

jechała, ale, dzięki Bogu, nikt z nas, zesłańców, nie zachorował.

W Permie, jakkolwiek byliśmy tam tydzień, ale mieliśmy osobną i czystą salę, cholera też tu nie była zbyt gwałtowna. Nareszcie po tygodniowym wypoczynku w Permie nadszedł statek parowy, który nas zabrał już do samego Niżnego - Nowgorodu, rzekami: Kamą, Oką i Wołgą.

Wspaniałe to i piękne rzeki, ale dla nas była to podróż niezbyt zachwycająca. O ile na Obi i Irtyżu bardzo było przyjemnie, o tyle od Permy było wprost przeciwnie. Kapitan statku był nieprzystępny i całą drogę trzymał nas pod pokładem. Nic przeto: ani miast, ani wiosek, ani nawet brzegów nie można było zobaczyć.

Na Wołodze spotkaliśmy statek w stronę Permy, idący z aresztantami: może wiorstę od nas nie wiem z jakiej przyczyny zapalił się. Nasz statek zatrzymał się, i kapitan z żołnierzami czółnem popłynęli, lecz nim dopłynęli, ogień ugaszono. Pomimo niebezpieczeństwa, parowiec nie dopływał do brzegu, lecz stał po środku rzeki.

Średnia przyjemność dla zamkniętych arezstantów!

Przejechaliśmy koło Kazania, ale tyle tylko, że się wiedziało, stojąc w przystani, że to Kazań; nawet z daleka popatrzyć nie pozwolili.

W Niżnym-Nowgorodzie żegluga dla nas się skończyła; ze statku parowego zaprowadzili nas na kolej. Dziwna rzecz, że jechało się do domu niby wolnym, a im bliżej kraju, tem mniej mieliśmy swobody, wszędzie nas zamykano, nawet w wago-

nie. To też, jak nas w Niżnym w wagonach pozamykano na noc, tak nie ujrzeliśmy światła dziennego aż w Moskwie.

Dzień już był duży, kiedyśmy przyjechali do „matuszki Moskwy“. Otoczonych wojskiem z oficerem przeprowadzono nas do jakiegoś aresztanckiego schowanka. Oficer, nas konwojujący, miał się podobno podczas naszego marszu nieprzyzwoicie zachować, a że w naszej partyi były i kobiety, przeto ktoś wrażliwszy na przyzwoitość, czy nieprzyzwoitość podał na postępowanie oficera zażalenie do władz, z czego wynikła parotygodniowa przymusowa w dalszej „odprawce“ zwłoka.

Wreszcie, zniciерpliwiени długiem siedzeniem pod kluczem, oświadczyliśmy, że się zrzekamy wszelkiej satysfakcyi, aby nas tylko w dalszą drogę wysłano.

Na skutek tego przyjechał urzędnik na śledztwo, i wobec niego stanowczo musieliśmy się wyrzec wszelkiej urazy. W połowie więc listopada w dalszą wyprawiono nas drogę. Tym razem już nie jechaliśmy do Petersburga i Petersburską koleją do Warszawy, lecz prosto z Moskwy na Dynaburg.

W Dynaburgu zastaliśmy już duży śnieg. Nie wiem dla jakiej przyczyny wypadło nam w Dynaburgu mieć dniówkę. W więzieniu dano nam, jak zwykle, osobne cele. Tem gorzej było dla nas, gdyż tylko po kilku nas mogło się mieścić, drzwi jakkolwiek były, ale zamknięcia literalnie żadnego.

Administracya tego więzienia była najwidoczniej jak najniedołężniejsza. Więźniowie rozbestwieni i niekarni wyobrazili sobie, że Polacy, jadąc do

kraju, muszą mieć moc wszelkiego dobra, a może i gotówki przy sobie, umyślili przeto napaść nas, nożami pozabijać i zabrać wszystko, co się da.

Zdawało im się, że przecież za Polakami nikt się nie upomni i że tym sposobem dobrze się obłowią. Pomiedzy więźniami byli i Polacy; z tych jeden o przygotowanym napadzie nieznacznie nas uprzedził. Wobec więc tego całą noc nie spaliśmy i zgromadziliśmy się wszyscy do jednej celi, przypuszczając, że więźniowie nie będą mieli tyle śmiałości, by na przygotowanych napadać. Tak się też stało.

Nazajutrz w dzień nawet zaczepki szukali, ale każdy z nas unikał ich, jak zarazy, i stykać się z nimi nie chciał.

Na drugą noc więźniowie większą kupą już się zebrali, by, upatrzawszy odpowiednią chwilę, na nas napaść. Postanowiliśmy wyłedz na podwórze i czekać na śniegu dnia, gdyż równo z dniem mieliśmy jechać dlej.

Kiedyśmy się wytoczyli na korytarz, by udać się na podwórze, więźniowie zastąpili nam drogę z nożami, scyzorykami i jakimiś żelazkami, stojąc w groźnej postawie. My zaś mieliśmy większą szansę, gdyż, jadąc do kraju, zaopatrzyliśmy się na drogę w noże, kije, laski i t. p., a choć oficjalnie niewolno nam było mieć podobnych rzeczy przy sobie, to jednak surowo względem nas przepisów nie przestrzegano, mieliśmy więc czem się bronić.

Ja miałem kij z korzenia brzoźowego, z rączką, misternie przez kolegę wyrzeźbioną, a wyobrazającą wiewiórkę na gałęzi; laska zaś na sobie miała

jakby wrzody, takie sęki, okropnie była twarda i mocna.

Otóż kiedy więźniowie, uzbrojeni w noże, zastąpili nam drogę, ja, idąc z brzegu, a nie rachując się z sytuacją, odrazu laską z góry przez łeb tak jednego z napastników poczęstowałem, a nie czekając na odpowiedź, w tej chwili drugiego, że, ponieważ rzecz działa się tuż nad schodami, obadwaj potoczyli się ze schodów.

Inni, widząc, jaki obrót rzeczy wzięły, co prędzej się ulotnili. My wtedy wszyscy obces na nich i tym sposobem utorowaliśmy sobie drogę. Skutek jednak był taki, że nas jeszcze przez parę dni dla przeprowadzenia śledztwa zatrzymano, gdyż mój pierwszy jegomość tak dostał kijem w czaszkę, że podobno w czaszce zrobiła się dziura, skutkiem czego nieprędko do przytomności przyjść mógł.

Byli świadkowie, którzy stwierdzili, jako więźniowie pierwsi nas napadli, my zaś broniliśmy się tylko. Ja się nie zapierałem, żem go powalił. Sąd zażądał tylko, bym pokazał narzędzie, którem go uderzyłem. Gdym im mój kij pokazał, długo mu się przypatrywali, osobliwie artystycznie wyrobionej wiewiórce; jako więc *corpus delicti*, zatrzymano moją laskę, i już nigdy oczy moje jej nie oglądały.

Te kilka dni, przebyte w Dynaburgu, zeszły nam w spokoju. Zbrodniarzom nakazaliśmy dla naszej pięści szacunek, podobno starego niedoleźnego naczelnika więziennego szybko usunięto, straż zaś pobudzono do większej czujności i pilności, słowem, bezpieczeństwo ogólne zostało zabezpieczone.

Całą sprawę i śledztwo prawdopodobnie umorzono, gdyż więcej nigdy nie o tem nie słyszałem.

Nareszcie pod komendą młodego jakiegoś oficera w nocy przywieziono nas do Warszawy. I tu jeszcze wpakowano nas do jakiejś ciupy na Pradze, a na drugi dzień pod konwojem odprowadzono do ratusza.

W ratuszu szybko załatwiono nasze sprawy, ale teraz dopiero domyśliłem się, dlaczego nas całą drogę pilnowano i zamykano. Otóż z pomiędzy nas blisko połowa jechała na śledztwo; być może, tegoż jeszcze roku mieli wrócić na Sybir: w katorgę lub na osiedlenie, a być może, że i śmiercią mieli być karani.

Tych natychmiast po przyprowadzeniu do ratusza wywołano i gdzieś pod strażą uprowadzono; nam zaś, pozostałym, większą swobodę dano, straż odeszła i, zanim nam paszporty wypisano, mogliśmy się iść pożywić.

Tak więc w drugiej połowie listopada 1872 r. stanąłem wolny, bez żadnej opieki, na bruku warszawskim. Jak rozbitek, na bezludną wyrzucony wyspę, znalazłem się na bruku warszawskim bez żadnej specjalnej kwalifikacyi, bez żadnego funduszu.

Znalazłszy się wśród gwaru wielkomiejskiego, oszołomiony zbiorowiskiem ludzkim, przypuszczałem, że się znajdę w sennych marzeniach. Przebyta droga w wyobraźni mojej przedstawiała się jakimś fantastycznym obrazem! wszak to tysiące wiorst, ba! nawet mil przejechałem, a ile to niebezpiecznych miałem przygód, a ile to ja razy witałem się z kostuchą, a głód i tęsknota, niepewność jutra, jak jad

zatruty, wżerały się w mój organizm, organizm tak odporny, że wszelkie zakusy, miraże i pokusy na jedną sekundę nie miały doń przystępu.

I dziś, wykolejony przez los, dążyłem do tego, by czempredziej stanąć w gronie członków swego społeczeństwa. Jestem bezradny na bruku, nie wiem, w którą się udać stronę, nie mając na miejscu ani rodziny, ani znajomych. Gdy tak rozmyślałem, co czynić, właśnie przechodził obok mnie elegancki młodzieniec; poznał mnie i, jako towarzysz niewoli, przywitał serdecznie i zaprosił na noc do siebie. Uradowany ze spotkania i zaproszenia, udałem się za nim.

Ów młodzieniec, którego nazwiska dziś nie pamiętam, był jednocześnie ze mną na Syberyi, ale nawet nie wiem, w której wsi mieszkał, rzadko też i tylko przypadkowo się z nim spotykałem. Nic złego o nim nie słyszałem, wcześniej ode mnie wrócił do kraju i znalazł zajęcie w jakimś biurze.

Obecnie, jak mi opowiadał, ma pokoik przy rodzinie na Zielnej, w którym są dwa łóżka, na jednym więc będę się mógł przespać.

Z wdzięcznością przyjąłem gościnę. Zaprowadził mnie na kolację, za którą zapłaciłem. Po kolacyi znużony zapragnąłem spocząć. Ów pan odprowadził mnie do mieszkania, sam zaś wrócił do knajpy na bilard. Późno już było, kiedy się przebudziłem, czempredziej przeto zacząłem się ubierać. Wtem spostrzegam, że kieszeń od marynarki wycięta!

Miałem tam jedyny fundusz na drogę do matki, pięć rubli, i te zacny mój towarzysz niedoli ukradł. Spodziewał się więcej, zawiódł się, gdyż zawsze

umiałem się tak postawić, że, pomimo nieraz wielkiego niedostatku, byłem uważany za finansistę.

U dzikich, niekulturalnych, wielce na cudze łakomych, w odludnych puszczech zamieszkanych ludów, myśliwstwem tylko się trudniących, z dziką przyrodą tylko obcujących nocowałem, i na myśl mi nie przyszła jakaś trwoga ani o życie, ani też o posiadane przy sobie mienie. Nocowałem w jurtach z Tunguzami, którzy wiedzieli, że mam pieniądze, gdyż sobole u nich targowałem, grosz mi nie zginął.

Stałem w kraju rodzinnym i z ostatniego funduszu przez rodaka i towarzysza niedoli zostałem wyzuty.

Razu jednego zdążyłem do Kańska. Było lato. Noc ciepła, rozkoszna po szalonej spiekocie z zachodem słońca się zapowiadała, kiedy, znużony całodziennym upałem, dojechałem do przewozu na rzece Kanie.

Ani przewoźników, ani promu na miejscu nie zastałem. Nie było nikogo, ktoby mnie objaśnił, co się z promem stało. Poczekawszy bezradny chwilę, usłyszałem, że ktoś w moją stronę nad rzeką jedzie. Był to, jak się okazało, jakiś przyjezdny z za rzeki, i ten mnie objaśnił, że prom przeprowadzony jest o wiele dalej w górę rzeki. Nie wyobrażając sobie, jak może być daleko do przewozu, pojechałem.

Słońce już zaszło, mrok zapadał; od strony zachodniej pierwsze podmuchy ciepłego wiatru uczuwać się dawały, a jednocześnie gdzieś w dali błyskawice, szybkie, jak myśl, widnokrąg przecinały.

Nie zwracałem na zapowiedź burzy uwagi, są-

dząc, że jeszcze przed burzą, aby mnie tylko przeprowili, zdążę do miasta dojechać. Tymczasem do przewozu siedm wiorst trzeba było jechać, noc zaś ciemna, jak prawdziwa noc na nowiu, szybko czarnemi chmurami widnokrąg zasłaniała i kiedy do przewozu dojechałem, tak wściekła, a zarazem wspañiała w swej grozie burza się zerwała, błyskawice szybkie, olśniewające bez przerwy migaly, pioruny zaś i grzmoty na tem pustkowiu potężniej niż gdzie indziej huczały. O przewiezieniu za rzekę nie było co i myśleć. Przewoźnicy, zesłańcy, tej zimy przewiezieni na „posielenie“, o wejrzeniu groźnem, ponurem, półdzikiem, krótką dali mi odpowiedź: „Ni z czortem nie pojedziem!“

Jeden zaś poznał, że ja kupiec i że on mnie już przewoził, ale że wiedział, iż jestem Polakiem, pozwolił konia z wozem wprowadzić na prom i czekać, aż przejdzie burza i dzień się zrobi, obiecując za rubla przewieźć mnie przez rzekę. Nad szeroką rzeką w kucki pod wozem noc przesiedziałem, a czterech wyrzutków społeczeństwa spało o parę kroków w szalasie. Co oni myśleli, nie wiem, wiem tyle tylko, że nic mi się złego nie stało i że rano szczęśliwie na drugi brzeg rzeki wraz z koniem przewieziony zostałem.

W Warszawie zaś, zaproszony przez znajomego towarzysza niewoli, z ostatniego funduszu byłem okradziony.

Wszystko to należy dziś już do przeszłości, nawet nie mam odwagi myśleć sięgnąć w te czasy.

Byłem młody, w wielu razach nierozważny i niepraktyczny, jednak obronną ręką z przygód szczęśliwie wychodziłem.

Bieda i niedostatek wielce mi dokuczały; jedno mi tylko pozostało po Syberyi: wspomnienia i zrujnowany organizm po długiej i ciężkiej chorobie. Dziś jestem stary i lata swe stare we względnym dostatku i spokoju przy schyłku swego życia przeżywam.

KONIEC.



132427